







*Żarna Niebieskie*  
*M. A. Niedzielski*

Copyright 1941  
M. A. NIEDŹWIECKI  
Chicago, Ill.

Wydanie pierwsze, w kwietniu, 1941 — 1000 Egzemplarzy

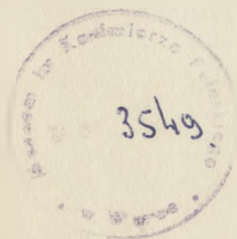


ST. HEDWIG'S PRINTERY  
Niles, Illinois





*Tym spośród Polonji amerykańskiej, którzy podnieśli bunt przeciw zwątpieniu i uwierzyli w czarodziejską moc nieśmiertelności słowa polskiego — pod Gwiazdami — pracę niniejszą poświęcam.*





M. A. NIEDŹWIECKI

*Żarna Niebieskie*  
*Poezje*

*M. A. Niedźwiecki*



## ŻARNA NIEBIESKIE

*Żarna niebieskie mielą —  
sypie się zboże ofiarne  
na gwiazdy — śnieżną bielą,  
na ziemię — prochem czarnym.*

*Kamień o kamień zgrzyta,  
trzęsą się młynów zręby —  
dym spod kamieni wykwiła,  
astralne szumią otręby.*

*Miele się świat i wszechświat,  
przeszłość, obecność i przyszłość —  
na chleb nowego szczęścia,  
pachnący wiosną kosmiczną.*

*Hurkot skrzydlatych wentyli  
dudni i ludzi przyzywa,  
by przyszli — mąkę zmiesili  
w najśłodszy rozczyn pieczywa.*

*Kto zbudzi świat oszalały  
i wezwie ślepego człowieka —  
by przyjął dar wieków — biały?*

— — — — —  
*Nadgwiezdny Młynarz czeka. . .*

# I. Heroika

*Prezydentowi F. D. Rooseveltowi  
Heroicznemu Wodzowi Nowego  
Świata, który wskrzesił serce  
i miał odwagę spojrzeć w przy-  
szłość.*



# HEROIKA

## 1.

Tłumie bezbarwny —  
człowieku szary — nienazwany!  
hałasro śmiesznych powsinogów,  
błękitnych Don Kiszotów: —  
wstań — krzycz i śpiewaj — !  
Oto dzień nowy wschodzi  
i czas dojrzewa!

## 2.

O świecie rozpachnionym słodką jutra wonią,  
o brzasku — który nowe dni słońcem zapala —  
wstań — jak Atlas i twardą, spracowaną dłońią  
sięgnij po przeszłość nową, nadchodzącą z dala.

Nogi zanurz w pachnącej roli skiby czarne,  
ręce podnieś ku słońcu — jak sterczące wieże,  
błękit nieba odrywaj — bierz zorze polarne —  
ściel na chodniki, drogi, pola i rubieże.

Uderz chórem milionów grzmiącej polifonji  
hymn błękitny — ku serc zapomnianej pochwale —  
niech się globus — jak baszta studzwonna rozdzwoni  
i wywinie w powietrzu skok — salto mortale.

## 3.

Na ulice więc — na ulice!  
 na drogi światłem zalane —  
 na mury miasta dymne —  
 huknąć wieszczącym hymnem,  
 zarzucić lassa kawbojską pętlicę  
 i wyciągnąć na słońce — serce zapomniane.

Niech się rozzwoni ziemia,  
 domy zagrają — jak stare basetle  
 i sny o szczęściu niech się rozpromienią,  
 jak anioły skrzydlate w tęcz złocistem świetle.

## 4.

Księżycy łapać w sieć marzeń nocami,  
 gwiazdy przesiewać palcami w błękicie!  
 Srebrem księżyców — gwiazdnymi perłami  
 spać rozrzutnie po serc aksamicie.

Wichry do wozów — zaprząć niespodzianie,  
 w wachlarze zmienić huraganów trąby —  
 pochwycić słońce — gdy w zenicie stanie  
 i — prast o ziemię! . . . słońca ciepłą bombę!

Zburzyć prastarą baśń Archimedesą,  
 skrzydłom nowego szukać rozpostarcia —  
 wszechświat okiełzać i wieść po bezkresach!  
 Stało się! . . . W sercu mamy punkt oparcia!

Niech się wypali w słonecznej pożodze  
 co było z zemsty i co z nienawiści —  
 i niech na słońcem wymoszczonej drodze  
 sen — o zjawieniu ery serc — się ziści!



5.

Naprzód! — nocami, dniami,  
drogami — których niema!  
Niech pędzi — z nami — za nami —  
zbłąkana ziemia!

Oto serce się budzi  
w szumach — w rozstukach —  
tysiąc miljonów ludzi  
nowych dróg szuka! . . .

6.

Przestrzeń zniknęła i na skrzydłach czasu  
popęd podróży wzmaga się wysokiej —  
w dale nieznane — nienazwaną trasą,  
linją wiodącą na wszechświat szeroki.

A więc otworzyć w cztery świata strony  
drogi — przez morza rozpiąć z tęcz pomosty —  
niech ekspres wieków — sercem rozpędzony  
leci dokoła ziemi — szlakiem prostym.

Po szyn szpagatach — pchnąć pociągi ducha,  
niech pędzą w przyszłość i po sercach dudnią —  
aż ludzkość wstanie i w szum się zasłucha  
i geografje — braćmi się zaludnią. . .

7.

Wielkości — jak ci na imię —  
i dokąd wiedzie droga twa daleka?  
W pożarnym idziesz dymie  
z ziem w niebiosą — przez serce człowieka.

Po myśli rumowiskach,  
po zawalonej w gruzy snów ruinie —  
droga daleka twa — i taka bliska  
przed nami oto w gwiazdy płynie.

Kto cię zrozumie i kto cię oceni,  
słyszący i patrzący — ?  
W tobie się kiedyś przyszłość rozpromieni  
w krąg serca — ogniem płonący.

8.

Tu był człowiek — niech wstanie!  
w przyszłość niech patrzy i czeka —  
w jakimś nadludzkim wszechplanie  
iść się sen człowieka. . .

Od wieków śnione mamidła,  
drogi krzyżowe i błędne rozstaje —  
podnoszą się — jak skrzydła  
i Słowo — Ciałem się staje.

Którzy cierpieli i którzy płakali,  
którzy szukali dni nowych w przestrzeni —  
biedni, zbłąkani,  
ci podeptani i poniewierani  
i miłosierni i umiłowani: —  
wszyscy — wszyscy . . . będą dziś BŁOGOSŁAWIENI. . .

9.

Tłumie bezbarwny —  
człowieku szary, nienazwany — !  
hałasro śmiesznych powsinogów,  
błękitnych Don Kiszotów: —  
wstań — krzycz i śpiewaj —  
i bądź gotów — !  
Oto dzień nowy wschodzi  
i czas — i serce — dojrze! . . .

## II.

# Czarna Wiosna

*Tym z Westerplatte, z Modlina, spod Kutna i Lwowa, Tym z uęczonej Warszawy i Tym, którzy trwają przeciw nadziei na rubieżach miodnej ziemi Piastowej lub walczą z wrogiem odwiecznym na czterech krańcach ziemi, w obronie honoru Polski — tworząc przejasny wzór bohaterstwa: — cykl niniejszy w uznaniu najwyższem poświęcam.*



## ZŁOWRÓŻBNA LEGENDA

Mówił mi o niej dawno dziad stary  
wędrowny jasnowidz — ślepy,  
że przyjdzie kiedyś koszmarem czarnym  
przez stratowane stepy.

Ojciec mi czytał w długie wieczory  
zimowe — z Ksiąg Sybilli —  
o ludziach, którzy ludźmi nie byli  
gdyż serca ludzkie zgubili.

Starcy dostojni mądrością życia,  
w srebrzystej włosów bieli —  
opowiadali szeptem lęklwym,  
że już ją idącą widzieli.

Podróźni — idąc z dalekich krain —  
tajemne szerzyli wieści  
o zjawie duchów na pustych polach,  
słyszanej w wiatru szeleście.

I ja słyszałem ją w nocnej ciszy,  
w koszmarnej strachu gorączce —  
jak w drzewach szumi, w okna zagląda,  
w ciemnych zaułkach się płacze.

Widziałem potem — gdy snów granice  
przeszła — tajemna przybłąda —  
i rozwijała w podświadomości  
mej widma widziane w legendach.

Lecz nie wiedziałem kim była — czemu  
stała się czarną powieścią  
i czemu taki strach towarzyszył  
krążącym o niej wieściom.

Dzisiaj — w dalekie echa wsłuchany,  
zgubiony w burzy odgłosach —  
słyszę ją znowu i wiem kto ona: —  
Czarna Wiosna.

## POTWÓR

Widzieli go ludzie nocami,  
gdy pędził ponad ziemią i straszliwie ryczał —  
i kryli się do lochów — pytali ze łzami: —  
człowiek to — czy dantejska zjawa tajemnicza?

Podobny był do innych stworzeń: —  
głowę miał, tułów — nogi wykrzywiaste...  
A jednak budził postrach okropny i grozę,  
gdy cień jego postaci zaszumił nad miastem.

Ręce miał okrwawione i na palcach szpony,  
wąsy szczura — przycięte w ciup — rzęsy u powiek,  
włosy w kosmyk obwisłe, dziób zarłocznej wrony,  
garb nieduży na plecach... Zreszto był jak człowiek.

Widmo... upiór... szeptano jako świat szeroki —  
mara senna... trup żywy... wyobraźnia chora...  
A dzieci, płacząc — oczy wznosiły w obłoki,  
błagając by niebiosa zniszczyły potwora.

A jednak były wieści,  
szły — nie wiadomo skąd i jak — z daleka,  
że miał on kiedyś matkę, która mu w boleści  
dała życie — szczęśliwa stworzeniem człowieka.

Mówiono —  
że miał podobno serce, że z miłości szalał  
i że gniewem wybuchał — nienawiścią płonął —  
i płakał histerycznie na dźwięk Parsyfala.

I był podobno — gdzieś daleko —  
naród zgubiony w dziejów krętych drogach,  
który stał Obraz Boży z postaci człowieka  
i czcił tego upiora — jako swego boga. . .

Popłoch uderzył w dzieje strasliwym pustkowiem,  
ludziom twarze zbieleły zimnym strachu gipsem —  
i zrozumieli nagle — że to pierwszy powiew  
APOKALIPSY. . .



## ALARM

Sto syren zawyło okropnie...  
w ciemność wbiły się ostre noże reflektorów —  
miljon nóg przerażonych zadudniło w stopnie  
i pół miliona ludzi ukryło się w nory...

Okna domów — rozwarte w nagłym przerażeniu —  
zakryły się rżesami rolet — i oślepyły,  
drzwi zaskrzypiały dziko na zawiasach strzemion  
i łykały powietrza duszącego przepływu.

Pustka powiała zimna środkiem ciemnych ulic,  
drzewa poczęły garbić się i kurczyć w strachu,  
płot — drabinami żeber do słupów się tulił  
i pot zimny, kroplisty kapał ciężko z dachów.

Kwiaty w ogródkach ciasnych wytrzeszczyły oczy  
i — pełne przerażenia — patrzyły w obłoki,  
(kryjąc głowy pod kamień, co się z muru stoczył)  
czując w żyłach cierpnące krwi zielonej soki.

Pies jakiś — zagubiwszy w norze ciemnej pana —  
skomlił strasznie i wił się przed maskowym sklepem,  
a koń — z pustą dorożką — potomek Tarpana —  
pędził w szalonym strachu aleją ośleplą.

Nagle huk przeraźliwy — łoskot suchy — ostry —  
buchnął w pustkę — aż milion szyb brzęczących pękło,  
aż na słupach żelaznych podskoczyły mosty,  
jakby w ziemię Bóg trzasnął — zagniewaną pięścią...

A syreny wrzeszczały metalowym piskiem —  
aż powietrze poczęło chwiać się i kołysać,  
aż szum wwałił się w drzewa i w parku pobliskim  
jak zwierz — duszony pętlą — przeraźliwie dyszał.

Drżała ziemia — stękały w gruz walone domy —  
marli ludzie ze strachu w norach swych ponurych,  
z których myszy wylazły i szczury łakome  
i krety . . . nieznające współczesnej kultury. . .

## POWRÓT PTAKÓW

W seledynowych świtów błyskach,  
w mgle wysrebrzonej gwiazd roztopem —  
szumi wiosenny powiew senny,  
powracających ptaków łopot.

Nie widać ich . . . Wysoko lecą  
i tak daleko są — daleko —  
lecz słyhać: — tnie powietrze mokre  
suchy żarłocznych dziobów klekot.

I coraz ostrzej — coraz głośniej  
szumi, przybliża się, narasta —  
świstem stalowym tnie powietrze  
i huczy w sennych murach miasta.

Spoza obłoku rozpiętego  
na wysrebrzonej mgle eteru —  
wypruwa się drapieżny łańcuch  
żądny zniszczenia, krwi i żeru. . .

I nagle zniża lot swój śmigły,  
pędzi tabunem stu jastrzębi —  
aż ziemia drży — aż domy jęczą,  
aż wybuchają dymu kłęby.

Nawrotem ostrym lot wykręca  
i ciszę ranną tnie — jak kosa. . .  
(O ludzie — ptaki powracają —  
i przysła wiosna . . . czarna wiosna!)

I odlatuje — warcząc groźnie,  
stadem potwornych nietoperzy. . .  
A w mieście — bombą zapalonem  
czarny od dymu strach się szerzy.

I ktoś dziecinie klęczeć każe  
na gruzach . . . złożyć w krzyż rączęta —  
i modlić się — żarliwie modlić: —  
„o wiosno — wiosno . . . bądź przekłeta!“ . . .

## ORKA

Nurtem czarnym przewala się ziemia,  
drży i chlebnym pojękuje płaczem —  
oto orka zaczęła się śpiewna  
hukiem armat i świstem kartaczy!

Przez pola — przez ugory —  
z których wieją zapachem słody ziemnych soków,  
czołgają się stalowych pługów ciemne zmory —  
wstrętne kokony — z sierścią żelazną u boków.

I orzą. . .  
ziemię Piastową — tysiąc lat pieszczoną,  
Matkę brzemienną — żywicielkę bożą —  
solą łez użyźnioną i miodem słodzoną.

Ostre, drapieżne radła wżerają się w trzewia,  
wypruwają legendę dziejów romantyczną —  
poczętą w pszczelnej chacie i lirycznym śpiewie  
u zarania historii — nad puszczą dziewiczą.

Nożami kół tępymi krają serce żywe,  
wybuchami granatów wydłubują oczy —  
zatapiają swe szpony żarłoczne i mściwe  
w łan — z którego wyrosnąć ma Jurand proproczy. . .

Od Grunwaldu lat pięćset czekali i rośli  
zemstą Walkiryj krwawych — w dziejów zawierusze,  
aby wypruć z tej ziemi płód i prapłód roślin  
i wykrwawić nożami wszechsłowiańską duszę.

A po lasach — po chatach bombami zwalonych —  
płaczą kmiecie — zmiażdżeni bólem bezlitośnie,  
i bezmownie pytają: — co z tych pól czerwonych  
obsiewanych kulami i ogniem — wyrośnie?...

O bezradni oracze — o cierpliwi siewce!  
Przyjdzie kośba — i będą do ścinania kłosa...  
Czekajcie i tajemnie strużcie MOCNE drzewce  
i osadźcie w nie SZTORCEM kosy... ostre kosy!!!

## SIEJBA

Gdy ludzie spali. . .  
i księżyc srebrną bielą przymilał się łąkom —  
przyszedł upiór potworny — z piekielnej oddali  
i w rolę użyźnioną łzami — zasiał kąkol. . .

I przyszły deszcze —  
ulewą dobrotliwą zrosiły zagony  
i użyźniły w polach ten zasiew złowieszczy —  
kąkol czerwony.

A rano wstało słońce —  
ziarna rozmokłe nagrzało łaskawie  
życiodajną jasnością i ciepłem, rodzącem  
chleb na polach, słód w gruszach i zapachy w trawie.

I nastał cud kiełkowania: —  
drgnęło dreszczem radosnej rodzicielki pole,  
nieświadome — że embrjon czartowskiego siana —  
nie żytem zazieleni — lecz gorzkim kąkolem.

Spod grudek lepkich  
żarłocznie i drapieźnie — jak potworne krety —  
wylazły kul błyszczących najeżone łebki  
i — jak piórka traw ostre — wyrosły bagnety.

W ogrodach ułożonych w fantastyczne klomby,  
gdzie ogrodnicy skrzętni powsiewali kwiaty —  
wynurzyły się grube — jak kaktusy — bomby,  
jak zatrute arbuzy — wyrosły armaty. . .

Zdumieni ogrodnicy, kmiecie przerażeni —  
całymi dniami rwali te osty piekielne,  
lecz gdy pracę kończyli — ciężko utrudzeni —  
pola były — jak przedtem — czarcich roślin pełne.

I wieść poczęła krążyć — że głód się przybłąka,  
gdy plaga strasznych ostów zboża w pokot zwali.  
A potwór — czy czort jakiś . . . chodził i siał kąkol —  
gdy ludzie spali. . .



# KWIECIEŃ

Przyszła wiosna wyśpiewna, rosista, pachnąca,  
zbudziła martwą ziemię symfonią błękitną,  
błysnęła nad sadami reflektorem słońca —  
aby świat się zzielenił, zarosił, zakwitnął.

I powstał szmer na polach, po lasach, po łąkach  
o tajemnicy wielkiej idącego lata: —  
śpiewała ziemia niebu szeptaniem w pałkach,  
że za miesiąc nie pozna — kwitnącego świata. . .

I zaczęła się kwietność — niebywała w dziejach: —  
kwitły grusze, czereśnie, jabłonie rozłożne,  
kwitły pnie wypróchniałe i kłody po kniejach,  
kołki w płotach i słupy i krzyże przydrożne.

Kwitły martwe kamienie, kwitły brony, pługi —  
wozy padły na drogach — na kolana osi. . .  
i zakwitły czerwonym kwiatem — ostrym, długim —  
aż duszny kłęb wyziewu w chmury się unosił.

Kwitły chaty bielone, dachy mchem porośłe,  
kościół granitowy, posągi, marmury —  
kwitły stodoły z brewion budowane prostych  
kwiatem czarnym, kłębiastym, szumiącym — ponurym.

Kwitły sadyby ciche, wsie senne i miasta: —  
dołem czerwono . . . górą — biało jak bawełna. . .  
kwitły oczy bezsenne i twarze siniaste  
i kwitła ziemia cała — kwiatów czarnych pełna.

Wreszcie zakwitły groby — świeżą darnią kryte,  
zakwitły kości ludzi — zmarłych przed stu laty,  
zakwitły dzieje całe — przyszłe i przeżyte —  
cała wieczność wybuchła płomienistym kwiatem.

I dziwili się ludzie: — skąd ta kwietność wielka?  
I pytali — jak przyszła wiosna dziwna taka...  
I kiwali głowami... i płakali cicho...  
I Bóg położył głowę na obłok — i płakał...

## ZAPACH CZARNEJ WIOSNY

Centyljony kwiatów rozsiał ON po ziemi  
i tysiąc zapachów stworzył,  
aby człowiek płucami — życiem przekłótemi  
wchłaniał szczęście i szczęścia ludzkości przysporzył.

Sokom w stuletnich drzewach,  
chwiejnym łodygom w kwiatach —  
w mądrości kwiatotwórczej dał pachnący nakaz,  
aby każdy płód ziemi kwitł, woniał i śpiewał.

Więc na hawajskich łąkach dzikich,  
zapachniały stubarwne storczyki,  
a na dalekiej i mroźnej północy —  
zakwitła Aurora Borealis w nocy.

I owem to łaskawem zrzędzeniem w prawiekach,  
szumiącym pieśnią żywą w słododajnych sokach —  
zakwitło słońce żagwią tęczatą w obłokach  
i zakwiecić się miały kłody serc w „człowiekach“...

Lecz gdy ludzie zmęczeni wonności szukali —  
(a wieczność rozdawała woń żywiczną borom),  
w powiewach Czarnych Wiosen — człowiek się zapalił  
i zakwitł stęchłym muchomorem.

Przeciw mądrej natury pachnącym nakazom,  
grającym hymny soków nad ziemi rozkwitem —  
pień człowieczy zakwiecił się morderczym gazem,  
a mózg — trującym iperytem.

I oto pachnie, szumi, pęczy się, rozrasta,  
wonią dziejów dymiącą, w szumnych poematach,  
pisanych żużlem czasu na płonących miastach,  
na gruzach świata.

I będzie truł woń wieków — kwitnącą błękitnie —  
aż Ogrodnik Nadgwiezdny ujmie topór słońca  
i ręką zagniewaną zamachnie — i wytnie  
drzewoludy trujące. . .

## PLON

Na tych polach oranych czołgami,  
na tych łąkach kulami zrytych —  
zakorzeni się ponad wiekami  
plon ognisty, ziarnisty, obfity.

Po piorunach, po gromach, po burzy,  
gdy pogodny dzień zbiorów nastanie —  
zazielenią się dymne gruzy  
wysrebrzonym rosami świtanem.

Wyjdą ludzie z nor ciemnych — podziemnych  
i oczami — co słońca się złęką —  
po pustyniach powiodą i w niemych  
ustach znowu zachłysną się męką.

Bo zadziwi ich plonu obfitość,  
co się w ogniu i dymach rozkiścił,  
ponad ziemią kulami zrytą: —  
NA TYSIĄCE LAT NIENAWIŚCI...

Bo przerazi ich poszum straszliwy  
kołyszany w zasiewie gęstym  
zagonami trującej pokrzywy: —  
NA DEKADY — NA SETKI LAT ZEMSTY...

Więc zacisną spieczone swe wargi  
beznadziei bolesnym ostatkiem —  
poczną łkać i przepraszać wśród skargi  
pohańbioną swą ziemię — Matkę.

Wonczas do nich — patrzących ze strachem  
w mękę ziemi . . . ON przyjdzie po rosie  
i Swym Krzyżem — jak kosi rozmachem —  
nienawiści i zemsty plon skosi.

I oczyści te gruzy i zgliszcza,  
by spełniło się zbożem i liściem: —  
że — co człowiek trątuje, wyniszcza —  
ON odradza i żywi wieczyście!

## POBOJOWISKO

Na łągach zrytych kulami,  
na rozbitych bombami armatach —  
czernią się krwi zastygłej plamy  
i stado wron żarłocznych coraz niżej lata.

W rowów zielonych niszach,  
w brzdach, które piekielny pług wojny wyradlił,  
kłodami trupów legła martwa cisza  
dla tych — którzy bronili i tych — co napadli.

Tajemnym czasu wyrokiem  
rzuceni w dziejów Malstromę —  
wracają śmiertelnym krokiem  
do wieczystego domu.

Po zemsty wiekach,  
po tysiącleciach nienawiści,  
poznali, że do serca droga niedaleka,  
że w śmierci wszyscy równi i wszyscy są bliscy.

Wróg nagle — przestał być wrogiem —  
położył głowę na obrońcy piersi,  
gdy obaj weszli na wieczystą drogę,  
gdzie ich nagle zrównała ostra kosa śmierci.

A jako wyszli — bez niczego —  
z łona cierplivej matki — ziemi,  
tak też wracają do domu wiecznego  
z rękami próżnymi. . .

I ten — co świat chciał zagarnąć,  
i ten — co bronił domu: —  
posiedli PRZESTRZEŃ ŻYCIA — ziemi grudę czarną,  
zdziwieni niepojętą treścią jej ogromu.

Nad nimi mgła wisi gęsta  
i ołów czarnych obłoków —  
i wichry szumi: — zemsta! zemsta!!!!  
i groby szepcą: — pokój... pokój...



## CMENTARZ

Krzyż z brewion dwóch, związanych sznurkiem,  
piasek zroszony krwią — darń świeża,  
brzoza płacząca nad pagórkiem: —  
to grób — wieczysty dom żołnierza.

Rów zawalony kamieniami —  
i koń zabity w bliskich krzakach,  
pług pracowity — brat kochany: —  
to schron — pośmiertny dom wieśniaka.

Chaty zburzone w bomb rozpryskach,  
okryte sadzą — mgłą żałoby —  
w żołdaków sprośnych pośmiewiskach: —  
to córek i to matek groby.

Ogródki, w których sennych fiołków  
księżyc srebrzysty nie oświeci,  
i krzyż wycięty nożem — w kołku: —  
to ciche groby — domki dzieci.

Żużel wsi czarny, miast popioły,  
łan — co nie zdążył wydać płodu,  
zbрызganý czarną krwią — jak smołą: —  
to żywy grób — zmarłych narodów.

Ziemia trybami czołgów zryta,  
ścięta kulami do wnętrzości,  
miłość bagnetem na krzyż wbita: —  
to cmentarz — wieczny schron ludzkości.

A nad cmentarzem tym straszliwym —  
grabarz potworny — z twarzą kata  
stoi i głosem woła mściwym: —  
pogrzeb narodów . . . koniec świata!

A ponad katem — w gwiazdnych dymach —  
ON — który Prawdy Wiecznej strzeże,  
idzie . . . i miecz ognisty trzyma: —  
podnosi . . . mierzy . . . Czy uderzy?!

## ŻOŁNIERSKI PACIERZ

Na szanccu sfer najdalszych stoisz —  
Genjalny Wszechświata Kanonier  
i front wieczności zabezpieczasz  
piorunów straszliwą bronią.

Oślepiającym reflektorem  
stu słońc przesywasz eter,  
śledząc — czy wojna błyskawiczna  
nie zbliża się do czasów mety.

Gromami huczysz przeraźliwie  
z kosmicznej barykady —  
miażdżąc kolumny piątej ruchy  
przed prymitywem zdrady.

Mkniesz tabunami meteorów  
ponad urwiska wieków strome,  
by — wytropiwszy ruch zdrażliwy —  
pchnąć nań eskadrę komet.

O wszystkim wiesz i wszystko słyszysz  
wywiadem Parakleta —  
czytasz wieczysty sekret czasu  
w płomiennych gwiazd wersetach.

Dominium Twego strzeżesz pilnie,  
Królestwa Wiecznego Żywota,  
stojąc na gwiazdnej linji fortów  
Zygryda i Maginota.

A na planecie — ziemią zwanej...  
szatan z człowiekiem toczy boje  
i — gdy posiłków nie nadeślesz —  
zburzą Królestwo Twoje. . .

O Kanonierze Wszechmogący —  
otwórz baterje Twe płonące  
i kulę — ziemię nabij w lufę —  
i strzel nią . . . jak torpedą — w słońce!

## TU BYŁO MIASTO

PODRÓŻNY: —

Po długich latach pracy i ciężkich dniach podróży,  
w których pieśnią tęsknoty czas w sercu narastał —  
wracam w progi mych ojców — do rodzinnego miasta. . .  
Lecz cóż to? Gdzie jest miasto? Skąd ten proch i gruzy?!

CZŁOWIEK W LOCHU: —

Nie wiem skąd idziesz, panie, ani jakim siłom  
uległeś, że powracasz w kraj łez i rozpaczy?  
Miasta szukasz, człowieku? . . . Tak — tu miasto było —  
lecz go więcej już oko ludzkie nie zobaczy. . .

Pięćset lat tu śpiewało życie hymn pionowy,  
granitem ścian wyniosłych rosła myśl kwaciasta,  
w ostrołukach wysmukłych, w linjach sztab stalowych,  
wytopionych z legendy Kołodzieja Piasta.

Nad rzeką tą szumiały tysiącletnie dęby,  
asfaltami — co pękły już pod rumowiskiem —  
pochód życia falował, burzył się i kłębił,  
idąc w sławę jawiącą się stubarwnym błyskiem.

A w tych domach, po których dziś ino szkielety —  
było szczęście i radość życiem tryskająca,  
noc jaśniała w neonach, grały symfonjety —  
w które powiew dziejowy pieśnią twórczą trącał.

Tak, mój panie! Tu było ongiś miasto szumne,  
nim powiała nad nami głów szalonych burza. . .  
Przeto wracaj skądś przybył — i nie trącaj trumny!  
Nie strasz ludzi umarłych, pogrzebanych w gruzach!

PODRÓŻNY: —

Pójdę . . . Lecz i ty powstań — z lochu wyjdź i bratem  
bądź mi . . . Pójdziemy w ciche i samotne strony.  
Znam ja wulkan płonący . . . Tam zbuduję chatę  
od miast wszelkich i WILKO — ludów oddaloną!

CZŁOWIEK W LOCHU: —

Chętnie poszedłbym, bracie, w nieznaną drogę,  
na pustkowie najdalsze, przez ludzi przekłete!  
Ale proszę cię — spojrzysz! Wszak powstać nie mogę . . .  
obydwie bowiem nogi mam bombą odcięte . . .

PODRÓŻNY: —

Aaaaa!!!

## WYGNAŃCY

Tysiąc jest krain bezludnych i pustych,  
miljon wysp — niepotrzebnych nikomu,  
żeńców czeka plon ziemi owocami tłusty —  
i sto jest milionów ludzi — bez chleba i domu. . .

Jednym fatalnym zamachem  
odcięci — jak gałęzie od pni dębów twardych,  
w noc płonąca łunami i szumiącą strachem —  
wyrębani z ludzkości straszliwym oskarżeniem.

Złamani — zdruzgotani —  
mściwym tajfunem — jak pszenica w łąkach —  
wzywają — by ich zabrał do wiecznej przystani  
okręt błędny, zowiący się: — Fata Morgana. . .

Chleb im razowy pachnie słodko kwasem świeżym,  
(urąga sinym z głodu i pragnienia ustom),  
snią się im sny o pełnych ciasta białych dzieżach,  
w ziemi krwią obryzganej — jak Weroniki chusta.

A w Santos brazylijskiem — paki wonnej kawy  
ranczero — syt i tłusty — wyrzuca do morza. . .  
W U. S. A. — farmer smutny — przybladły z obawy  
o kurs giełdy wszechmocnej . . . przyoruje zboża. . .

W metropoljach tańczących — opitych rozkoszą —  
stupiętrowe drapacze chmur stoją zamknięte,  
i ślepią pustych okien szerzą w świat i proszą,  
by się ktoś ulitował — i zajął je w rentę. . .

A w dali smętny orszak dziwacznych przybłądów,  
nad którym płakać będą kiedyś wieki całe —  
w huku armat i w dymie pożarów się szwęda,  
i nie wie już co będzie — ani co się stało.

O Mierniczy Niebieski! Kolonizatorze!  
Któryś — tworząc świat ludziom — sto epok się trudził,  
osadź smętnych bieżęćców wśród żarłocznych stworzeń,  
na planecie najdalszej . . . Wybaw ich od ludzi!!!



## MODLITWA DZIECKA

*Kazano w kraju niewinnej dziecińie  
Modlić się za mnie. . .*

*Słowacki—Hymn o Zachodzie Słońca.*

Święty Franciszku z Asyżu,  
zowiący — wilka bratem —  
wiem, że już jesteś w pobliżu,  
więc przyjdź i uczyn sąd nad światem!

Wezwij stworzenia najdziksze,  
z którymi prowadziłeś śmieszne Twe rozmowy!  
Niech wilki i niech lisy wyjdą z lasów chytrze  
i niedźwiedzie, lwy, kozły — wyskoczą z dąbrowy!

Niechaj niebiescy ptakowie  
na głos Twego wołania — z daleka przylecą,  
i usiądą ostrożnie na Twjej łysej głowie  
i latarkami oczu niechaj Ci poświęcą.

Niech lew, król zwierząt — usiądzie za stołem  
i wilkom biegłym surowo nakaże  
przyprowadzić tu wszystkich — a wszystkich pospołem —  
morderców i zbrodniarzy!

Niechaj przed sądem staną ci, co w wielkich, czarnych  
ptakach nad miastem z hukiem się wznosili —  
i niech prawdę powiedzą — bez wykrętów marnych —  
dlaczego nam dom spalili?

Trzeba sprowadzić także tych, co straszny hałas  
ognistymi z daleka robili drągami,  
a — choć ja się tak bałam i strasznie płakałam —  
zabili mi siostrę i mamę. . .

A gdyby trzeba nawet szukać za górami  
i jechać nie wiadomo gdzie — na koniec świata —  
tych trzeba także znaleźć, co tatę sznurami  
związali . . . i spytać: — gdzie tata?

Niechaj wiedzą zwierzęta jacy źli są ludzie,  
niech poznają ich dobrze i niech się im przyjrzą!  
I nie gniewaj się na mnie, że tak Ciebie trudzę —  
Święty Franciszku z Asyżu!

## SUPLIKACJE

Święty Boże — !  
w kosmicznej stojący jasności —  
wyrąbaj z ziemi ZŁA piekielny korzeń  
i weź nas w dyktaturę świętości!

Święty Mocny — !  
rozpędzający stada gwiazd po niebie —  
uderz piorunem w zimną pierś ludzkości,  
dodaj nam siłę i chęci — wyzwolić siebie — od siebie!

Święty i Nieśmiertelny — !  
kwitnący tęcz kołami w bezdennym błękitcie —  
rozsnuj się ponad nami obłokiem kadzielnym,  
by nad trumną serc naszych — zmartwywstało życie!

Od powietrza, głodu, ognia i wojny  
Tyś nas zachować nie raczył —  
abyśmy sami nareszcie poznali  
co nasza własna „SIŁA“ znaczy. . .

„Dałeś nam wszystko, co dać mogłeś, Panie“: —  
łądy kwitnące i szumiące morze,  
a my — szukając wad w genezy planie —  
zgubiliśmy Twe Myśli Boże.

Zstąp więc — Błękitny i Piorunujący —  
i w ziemię uderz pieścią — jak w brzeg stołu,  
byśmy poznali — nim czas się zakończy,  
sekret braterstwa ludzi i aniołów.

Ukaż się bielą Swą w płomiennym świetle  
nad pożarami miast — krzykiem morderców —  
wyłumacz ludziom, że PRZESTRZENIĄ ŻYCIA  
jest PRZESTRZEŃ w sercu!

Czekamy — w burzę wsłuchani straszliwą,  
niosącą ziemię w wir dziejów piekielny —  
mali, bezradni i umierający. . .  
Święty Boże! Święty Mocny!! Święty i Nieśmiertelny!!!

## ROZMOWA Z ZIEMIĄ

O ziemio orna — żytem pachnąca,  
krwią użyźniony ugorze!  
Kto ucałuje twój zagon chlebny  
i kto twą nagość przyzorze?

Czyje to pługi w złotawym świetle  
przyjdą i linją miarową  
poczną — rozsypnym szelestem piachu —  
szeptać litanję radłową.

Jakież to brony krzyżem upadną  
do twego wonnego łona,  
rany zrównają i jęk uciszą —  
ziemio bombami umęczona!

I czyje ręce błogosławiące,  
znużone długą męczarnią —  
spłyną modlitwą ziaren pszenicznych  
w cierpliwość twą ofiarną.

W płomiennych świtach czekasz oraczy  
i siewców — których niema. . .  
po których nikt już nawet nie płacze,  
ino ty — Matka Ziemia. . .

O ziemio święta — kulami zryta —  
czekaj i bądź cierpliwa!  
Oraczy niema. . . Lecz żence wróca. . .  
i przyjdzie wielki DZIEŃ ŻNIWA!

Czekają hasła — ukryci w tobie,  
którą tak ukochali,  
że oto życia się nawet zrzekli  
i ziemią czarną się stali.

O ziemio Polska — chlebem pachnąca —  
czekaj — wsłuchana w ciszę!  
Oto duch dziejów polami chodzi  
i WYROK PISZE. . .

## PRZYJDZIE TAKA WIOSNA

O przyjdzie kiedyś taka wiosna,  
zahuczy grom w NIEBIESKICH ŻARNACH —  
i zbudzi kmieci, by powstałi  
i poszli siać chlebowe ziarna.

Powstaną —  
i zagonami — które wróg orał czołgami,  
rolą krwią użyźnioną i łzami oblaną —  
pójdą, szepcząc: — O ziemio — zmiłuj się nad nami. . .

I rozwinie się pochód smętnych żywosiejów,  
twardych — jak owa ziemia, którą wróg tratował —  
i zaszumi ciąg dalszy prasłowiańskich dziejów,  
miodem życia zapachnie Legenda Piastowa.

Zanurzą chude ręce, wichrem wysmagane,  
w wory pełne szelestu wieszczącego życie —  
i zaczną się cud tworzyć — pieśnią rozśpiewaną  
skowronkami w obłokach, w srebrnorosym świcie.

A oni —  
nurzając bose nogi w chłodnych, lepkich skibach —  
przejdą włości Piastowe — od błoni do błoni,  
siejąc życie w umarłych wioskach i sadybach.

Z rąk ich — jak z bożych kulomiotów —  
wytryśnie śpiewnie złote ziarno,  
padając miłosną ochotą  
na ziemię umęczoną i od dymu czarną.

W muzycznych rozsypach żyta,  
w szorstkim szeleście pszenicy —  
zadudnią rozpędzone pradziejów kopyta. . .  
Bóg piorunem nakreśli kurs nowej granicy.

I tak się oto ziści cud poczęty w męce,  
szelestem ziaren śpiewnym — słyszany w niebiosach —  
przez twarde, wysmagane wichrem kmiecie ręce. . .  
Przyjdzie — o przyjdzie taka wiosna!



### III.

## Rapsodja Tragiczna.

*O mieście umęczonem za grzechy  
miast wielu...*



# RAPSODJA TRAGICZNA

## 1

Warszawo!

Przestrzenia jak toporem od pnia twego odcięty,  
Rzucony w piekło życia, w czarnych dziejów odmęty,  
W noc płonąca łunami, w których świat się zapali,  
W tłumy ludzi wyjących gardzielami szakali —  
Wstaje opiewać twą sławę. . .

---

Na polach użyźnionych krwią i miodem Sarmatów,  
Zasłuchana w szum dziejów prasłowiańskich daleki —  
Wyrosłaś ty na podziw Czarnym Wiosnom i światu,  
Wichrem czasu rzucona na brzeg lirycznej rzeki.

I kwitłaś nam — szumiąca, promienna, legendarna,  
Świecąca renesansem Syberjom i Kamczatkom —  
I byłaś wyspą cichą w huczących dziejów żarnach,  
I byłaś nam legendą — i mitem — i zagadką. . .

Kto cię w życiu raz ujrzał i kto cię podsłuchał,  
Muzyczną i śpiewnistą — jak arfa eolska —  
Ten jakby opętany w misterjum twego ducha,  
Czuł, że ty jesteś Polską — i w tobie jest Polska.

## 2

Aż oto — w śnie szaleńców zrodzony —  
Powstał duch czarny i mściwy nad ranem  
I zaszumiał nad tobą tajfunem czerwonym,  
Piekielnym huraganem.

Zachłyśnięty teutońską furją,  
Opity krwią cuchnącą pysznych Wizygotów —  
Runął na ciszę twą burzą ponurą —  
Upiór z tysiącem rąk żelaznych — z milionem grotów.

I wyplunął ze siebie nienawiść dziejową,  
Wykutą w kuźni szatana —  
Aż padłaś na brzeg Wisły zdruzgotaną głową  
Na wstyd narodom wszystkim — ludzkości całej rana.

3

Na Saskiej Kępie cisza jest złowroga  
I krwią tężeją w Łazienkach laguny,  
Kaleki domów modlą się przy drogach  
O zemstę — o pioruny.

Na skwerach leżą strzaskane kolumny,  
Posągi w wieńcach podeptanych kwiatów —  
Podnoszą ręce — jak nieboszczyk z trumny  
Na postrach opętanemu światu.

I śmierć koścista szwęda się w ciemności,  
Wlokąc za sobą czarny welon dymny —  
I na klarncie z ciepłej jeszcze kości  
Wygrywa haniebne hymny.

Miasto umarłe, w rozpachy zakrzepłe,  
Stało się widmem potępionych lądów —  
Skargą ludzkości stojącej przed piekłem,  
Oczekującej sądu. . .

4

Gdzie wieków cywilizacja,  
Wiodąca nas przez dzieje w błękity astralne —  
Gdy świat umywa ręce w obłudzie Piłata  
I w strachu stoją ludy — sentymentalne — neutralne?!

Gdzie jest porządek świata,  
Płomiennym alfabetem wryty na karcie —  
Gdy pociskami odezw bombardują katów. . .  
Dyplomatyczne demokracje?!

Gdzie są wszechludzkie manifesty,  
Głoszące byt narodów żywy, niezawisły —  
Gdy skośnooki Gruzin śle czerwone protesty  
I nad Wisłą kozackie połyskują spisy?!

Gdzie wstyd — co oczy wypala  
I bryzga w twarz hańby cykutą —  
Gdy w mieście umęczonem robaczywa Walhalla  
Depce trupy dziecięce okrwawionym butem.

5

Warszawo!  
Gdy w noc jesienną księżyc wstanie swem własnym  
światłem przerażony,  
Gdy zegar twój, zepsuty bombą — zacznie godzinę bić  
dwunastą —  
Wstań cała w łunach szcerwieniała i kościotrupem  
zadymionym  
Idź w cztery świata strony straszyc — żyjące i tańczące  
miasta.

Niech widmo domów twych — szkieletów, sterczących  
kikutami w chmurzy  
Wejdzie w ulice miasta wesołych, które ludzkości się  
wyparły —  
I na piszczelach kości suchych — niech gra grobowy  
marsz ponury  
Werbłem trzeszczącym, ostrym, strasznym: — o karły  
karły karły karły. . .

I niech dołami wyrwanymi wybuchem bomb i kul  
ognistych  
Niby oczami wyjętego z grobu po tysiącleciach trupa —  
Spójrzy na skwery roztańczone, wejdzie do jasnych sal  
z poświstem,  
I krew zamrozi w żyłach ludzi — siedzących na zdobych  
łupach.

Niech duch twój stanie się tętentem śmierci straszliwym  
i proroczym,  
I niech co nocy w szumie wielkim ponad ginącym światem  
dudni —  
Aż ludzkość strachem zdruzgotana — na dno zagłady  
swej się stoczy,  
Albo w miłości odmłodzona — braterstwem świętem  
świat zaludni.

6

O dziatki umęczone — o matki zabite podle,  
O kalecy krwawiący, żołnierze zatruci iperytem!  
W tej godzinie dziejów tragicznej klękam i do was się  
oto modłę —  
Ja człowiek przez ludzkość pohańbiony — ze sercem  
bombą rozbitem.

O domy zadruzgotane — o drzewa połamane,  
O kościoły spalone — o księgi jasne — o poezje —  
Klękam przed wami, całuję wasze rany  
I przeciw śmierci wiecznej — w życie wieczyste wierzę.

O emętarze, na których las krzyżów wyrasta,  
O ulice, którei krwi płynęła rzeka —  
Wierzę, iż z was wyrośnie wizja żywego miasta,  
Na które Polska cała — umęczona czeka.

Wierzę, iż przyjdzie jutro cicha noc kwietniowa,  
Kiedy duch czarny szeźnie w krwi gorzkim przesycie —  
I anioł życia przyjdzie o świcie — z Wilanowa  
I z grobowców umarłych — wyprowadzi życie.

— — — — —  
*Przyśpiew:* —

W tęencie dni pędzących ku nam  
Tabunem apokalipsy czerwonym —  
Pozdrawiam cię — o Miasto Jasne —  
Za grzechy wielu miast ludzkości sromotnie umęczone.

IV.

Ojcze Nasz.





## BRATERSTWO

Ojcze Nasz — królujący  
w niebieskich łąk rozkwicie —  
idziemy drogą krzyżami znaczoną  
w płonące na gwiazdach życie.

Wołamy: — Ojcze w Niebiesiech. . .  
lecz kto z nas rozumie  
wieczyste braterstwo ludów,  
w tym obłąkanym tłumie?

Las mroków nas otacza,  
piętrzą się, szumią właśnie  
na drodze, u której krańców —  
słońce w ukośnych załamaniach gaśnie.

Oto — stajemy u bramy  
wiekuistego ogrójca —  
i nie wiemy — o Modlitwo Pańska!  
że mamy Jednego Ojca. . .

## POSZUKIWANIA

Idą dni — siostry i bracia — miesiące,  
ojcowie — lata, wieki — praojcowie —  
drogi ich kreśli elipsami słońce  
i księżyc sierpem tnie błękit w ponowie.

W rozlewie blasków wieczystych,  
w lawie ognistej rtęci,  
na stoczni wieków spadzistej —  
Imię Twoje Astralne przedwiecznie się święci.

Świętość błogosławiona  
zakwita w ducha rozlewie  
i szuka zacisza — w serc ludzkich miljonach —  
a nikt z nas o tem nie wie. . .

O święć się Imię Twoje — !  
w słońcu odwieczny kres ludzkości błyska;  
zapatrzeni w doczesność — idziemy konwojem  
po latach, jak po zżętych przez Boga ścierniskach.

## WALKA

Bezkresy są do podziału. . .  
pieśni odwiecznej przemierza je stanza —  
na drogach mlecznych omiałów  
iskrzy się ducha bonanza.

Łachmaniarze i czerń chuchrawa —  
wloką się kupą po błędnym wygonie,  
królestwo ziemi rozsiadło się w ławach,  
gorączką złota — mózg ludzkości płonie!

Wpatrzeni w rzeczy wieczne przemijanie —  
nikt z nas nie widzi tajemnicy bytu,  
a ponoć w Twoim sferycznym wszechplanie  
wzniosłeś nam trony — na szczytach błękitów.

I wymościłeś słońcem drogę jasną,  
u której krańców tęcz wiszą podwoje.  
Idziemy — przecież! . . . ale drogą własną!  
przemocą wydrzeć Ci — Królestwo Twoje. . .

## NIECH SIĘ STANIE. . .

Po drogach pustych  
po ugornych polach —  
ścielą się mgielne chusty  
i błąka się ludzka dola.

Sprzedaje serca na raty,  
miłość wypuszcza w rentę —  
czort jej zawodzi obłądne roraty  
i chwieje dusze pomięte.

Buduje trony i obala trony,  
siłą rozumu wyrasta w obłoki.  
Dokąd—ach dokąd . . . wiezie pęd szalony?!  
Wicher zasuwa piachem mylne kroki. . .

Tak — mamy wolę! Dumni z tego daru —  
walkę toczymy z Tobą w wiecznych bojach;  
któż z nas dopina powziętych zamiarów?  
O Panie — niech się stanie Wola Twoja!

## TRZY ZIARNA

Pękają śpichlerze nadęte  
przesytem obfitych żniw,  
złocą się pola niezżęte  
w szumie pachnących niw.

Ekonomję siejemy i zbieramy zyski,  
ciężkie ziarnem pszenicznym kłosa nas nie cieszą;  
rozum nasz jedzie autem, pasem drogi ślizkim,  
kędy Ty ongiś, Chryste, przechodziłeś pieszo.

Giełda nam drogę wytycza,  
i patrz — jak mądrze dzieli Twe błogosławieństwa: —  
po świecie chodzą szerniałe oblicza,  
rozpaczą kwitną szumiące przekleństwa.

Chleba naszego powszedniego...  
Słysz — oto jęczy pieśń łaknących tłumów!  
Chleba? I pocóż?... Za dużo — za dużo!!!  
O Panie, daj nam TRZY ZIARNA rozumu.

## NIECH RZUCA KAMIENIEM. . .

Jest szczęście w przebaczeniu  
i w zmiłowaniu cisza,  
słodka — jak boża antyfony  
kwitnąca melodią w klawiszach.

Lecz dziś . . . któż melodji słuca?  
Zemsta nam serca rozpiera!  
Na ostrzach sądów roznosimy ducha,  
jak krew niewinnych — na rapierach.

Bo wieluż nas takich jest — wielu,  
wierzących w przebaczenie?  
Na tych drogach wiodących do wiecznego celu: —  
kto niewinny — niech rzuca kamieniem!

Kiedys — w doświadczeń przesytach,  
wysrebrzą się oczekiwań godziny  
i jasność śpiewająca nad ziemią zaświta  
i Krzyżem — jak toporem — zetnie ludzkie winy.

## POKUSA

O kędyż są granice chęci,  
gdzie kres ludzkiego zasięgu?  
O ludzie na krzyżach dni rozpięci,  
wśród niezmiernych życia łągów!

Omotął was zysków sznur pajęczy,  
w beczasie — w bezprzestrzeni —  
stoicie oto na wieków przełęczy,  
jak ongiś Nazareńczyk na skale — kuszeni.

Zatraceni w pożądań szale  
wołacie: więcej, więcej, więcej!!!  
Pożerani pragnieniem przesyty — Tantale,  
płonący w wiecznej męce!

Jedno jest tylko godne pożądanie,  
wielkie — jak rozlew jasności w błękitach,  
jedno dostojne — boże pokuszenie: —  
Serce — gdy ciszą na gwiazdach zakwita.

## WIEDZA

Ponad wszelkie stworzenia,  
ponad trud życiowego rzemiosła —  
myśl ludzka, w tęsknoty płomieniach,  
ponad wszechświat szumnie wyrosła.

Na czasu chwiejnej wadze  
zważyła bytu fundament —  
zmierzyła chęci i władze  
i wsiąkła w życia zamęt.

Wszystko już wiemy — tajemnic już niema!  
Wiedza odwieczne zawikłania prości,  
tajnią jest tylko serc ludzkich dylemat  
i niezbadany jest — problem boleści.

I wieczne jest cierpienie człowiecze,  
nierówny podział szczęścia ziemskiego;  
pochód wodzów i mędrców — obłądnie się wlecze. . .  
Któż nas i mędrców — zbawi ode złego?!



## BEZRADNOŚĆ

W wszechświecie nic nie ginie. . .  
taka jest bytu władza: —  
życie — trawione śmiercią —  
właśnie, że w śmierci się odradza.

Wszystko co było i wszystko co będzie,  
jest ino punktem środka — w grze materji,  
odmładzającej się w boskiej potędze  
w coraz to nowe orbity i sfery.

I w tem jest właśnie nasza wieczność  
i pokrewieństwo duszy z Bogiem —  
siłą istnienia tkwimy tu bezsprzeczną,  
leżącą w beczasie odłogiem.

Kiedyś — gdy zrozumiemy boskie tajemnice —  
bezradność nasza wybuchnie czynami,  
w drogi mleczone zamienią się — krwawe ulice. . .  
Nim to przyjdzie — o Panie! zmiłuj się nad nami!

## SŁONECZNY ZNAK

Jest rozpacz jak noc czarna,  
której wiedza pojąć nie może: —  
dusza mielona w lat zawrotnych żarnach,  
myśl zabłąkana w zagadek rozdroże.

Daremne ludzkie zasięgi,  
zachwyty władzy i złota — daremny;  
nie stłumi wiecznej mordęgi  
absynt upojeń przyziemnych.

Niema szczęścia — poza serca zrębem!  
Prawda Boża — wraca wieczną falą: —  
plany ludzkie, tarte na otręby  
w młynie wieków — na sadze się palą. . .

I tylko serc zbratanie,  
które (mówią) — już zbliża się — zbliża,  
zaważy ciężko w prawd wieczystym planie,  
gdy Bóg na szalę złoży — słoneczny znak Krzyża.

## PRZEPAŚĆ

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,  
w Twojej rozrzutności świętej: —  
życie i wieczne z Tobą królowanie  
Stwórco — na krzyżu lat rozpięty!

Lecz wielu nas z darów korzysta  
i wielu czerpie obficie  
z chłodzących źródeł i pije w zachłystach  
miód, co się zowie: — życie?

A choć tęsknotą bez końca  
płoniemy — jak anieli strąceni,  
zamiast ulatać kadzidłem do słońca —  
spadamy w czarną przepaść — cienie własnych cieni.

Rozmłłowani w sobie i własni wrogowie,  
w ziemię wrośli, głowami zanurzeni w niebie —  
wiecznie się zatracamy i wiecznie szukamy...  
O kiedyż wreszcie w sobie — odnajdziemy siebie?!

## PIELGRZYMI

Pożądaniem bez miar — bez granic,  
przestrzenią bez wybrzeży —  
wlecze się wieków różaniec,  
na którym Stwórca — odmawia pacierze.

Idą pochody pątnicze,  
znużone życiem — ginące —  
liczę pielgrzymów — liczę: —  
miljon . . . milionów tysiące . . .

Mówił im ktoś o szczęściu,  
o ciszy przybytków bożych —  
zgubionej w wieków poczęciu,  
w zamroczu najdalszych rozdroży.

Więc idą szumnie i tłumnie  
z wiecznym pożądań łopotem;  
o Panie! — stań w ognia kolumnie  
i nasyć ich wieczną tęsknotę!

## ŻNIWO RADOŚCI

Jest szczęście w pracy — gdy z pod ciepłej ręki  
wykwitną kwiatem paprotnym — jak w baśni,  
czynów pachnących żywopłodne pęki  
i zasiew trudów — w kłosach się rozjaśni.

Po utrudzeniu długiem,  
po dniach czekania i cierpienia,  
złocistej drogi wysmugiem  
wywstężą się ludzkie marzenia.

I dosyt życia — słońcem się wymości  
w pierwowzór płócien — odwiecznej Arachnie —  
w dostojnej pracą starości  
owoc dojrzały — słodyczą zapachnie.

Wówczas nad wszystkim, co ziemskie i marne,  
radość objawi się nam porą żniwną;  
słabi powstaną, jak króle mocarne  
i ludzkość pozna — drogę bożą — dziwną. . .

## NADZIEJA

Idziemy drogą tęsknoty  
w iskrzące gwiazdami sfery,  
anielskie śnią się nam loty,  
słoneczne jawią się ery.

Echem antyfon dalekich  
owiani — jak bożą zawieją,  
beztroskie śnimy wieki  
i umieramy — z nadzieją. . .

Śni się nam jakieś szczęście,  
na łęgach słonecznych połaci,  
gdzie w skrzydeł łagodnym chrzęcie  
dusza się w Bogu zatraci —

i problem odwiecznych sporów  
zakwitnie — w pojednań sakrament,  
chwalebny hymnem niesporów,  
w rozmowach z gwiazdami — Amen!

V.

Odwieczne Pieśni o Prawdzie





## Z BOGA POCZĘTA

W cyklu prawieczy poczęta,  
w barwnych pierścieniach tęczy,  
gdzieś na rodzących się wieków przełęczy,  
w mglistej koncepcji wszelkich dróg —  
wstała w obręczach słońca —  
Prawda, abstrakcja święta —  
a zrodził ją dobry Bóg.

I odtąd: —  
w klepsydrze bytu — piasek złoty  
sykim szelestem w wieczność leci,  
cięcia błyskawic i gromów hurkoty  
wśród błędnych gwiazd zamieci —  
pędzą przez kosmos drogą mleczną —  
Prawdą odwieczną.

Bo nieśmiertelna jest — choć zatracona  
i wszechobecna — a wszak niewidzialna,  
wiecznie się rodzi i bez końca kona,  
mrokiem dławiona — a jednak astralna.

W obłądnym życia kieracie  
ludzkość pędząca  
obłudą ją rozpiera, depce i roztrąca.

A ona — w śnieżnej szacie —  
szumi wszechświatem, cel wieszcząc daleki —  
z prawieczy wyszła — trwać będzie po wieki.

I ten jej znaleźć nie może — kto pragnie,  
szatan nie zdoła utopić jej w bagnie —  
i ten — kto krzyczy, że dawno zabita. . .  
ujrzy ją kiedyś, gdy jaśnią spowita  
stanie w pożarach słońc — na gwiazd kobiercu,  
odwieczna  
niezniszczalna  
nieśmiertelna —  
bo z Boga wyszła — mieszka w ludzkim sercu.

## NA ROZDROŻU

Od wieków szuka Prawdy świat  
i znaleźć jej nie może,  
w pędzącym kołowrocie lat  
w obłędne brnie rozdroże.

A choć ją zrodził Dobry Bóg  
i tchnął w nią treść wszechbytu —  
czort przywłókł się z wykrętnych dróg  
i strącił ją — z granitu.

W Edenie praszczur nasz jął kłam,  
zjarmarczył prawdy słońca —  
i zginął marnie praszczur sam  
i ludzkość z nim — ginąca. . .

Gdy Chrystus ongiś — w szumie lat  
wstał głosić: — Już się zbliża. . .  
to czort kulawy — a z nim świat —  
przybili Go do krzyża.

Więc choć odwieczna jest i trwa,  
bielejąc w mrokach nocy —  
pomiędzy nią — a nami mgła  
i czort . . . i źli prorocy.

I chociaż wiemy, że nam brak  
tej jaśni — co bieleje. . .  
nasz pochód wieków idzie wspank,  
a czort się z tego śmieje.

Lecz przyjdzie, przyjdzie kiedyś czas,  
gdy Prawda wstanie — w bieli;  
zapłacze czort — szydzący z nas,  
uśmiechną się — anieli. . .

## ORSZAK ZATRACONY

W szalonym kołowrocie,  
przez bagna, przez pustynie —  
pochodów idą krocie,  
pątniczy orszak płynie.

Bagaż w karki wżarte  
wgniatają grzbiet w dół zgięty,  
oponcze ich podarte —  
przed nimi szum — odmęty...

Z obłądem w ócz orbitach  
człapają w gęstem błocie —  
ich sen o Prawdy szczytach  
zaginał gdzieś — w martwocie.

Od buty embrjonu  
ten orszak zatracony  
iść począł drogą skonu —  
i pójdzie tak w eony.

Za nimi — czort kulawy  
błotnistą idzie drogą,  
piekielnym ryczy śmiechem —  
kulawą stuka nogą.

I szydzi — czort kulawy,  
że idą tak w katuszy  
straconej Prawdy szukać —  
a Prawda... jest w ich duszy...

## OBŁUDA

Idą — krzycząc przez życie: —  
Prawda... Prawda — wszędzie...  
Było tak od początku,  
tak po wieki będzie.

Każdy niesie przed sobą  
afisz swój jaskrawy,  
za którym — jak za lustrem  
kryje fałsz swej sprawy.

Czort kulawy — na górach  
pali im ogniska,  
z których światło na lustra  
jak ze słońca tryska.

Ostrokątem złamane  
z luster — w tłum się wcina...  
Świat zalany czerwonym  
światłem — jak lawiną.

Wszyscy noszą te lustra  
lśniące jak ryngrafy.  
Prawdę pod nie ukryli  
do żelaznej szafy.

A gdy Prawda istotna  
gdzieś zabłyśnie w bieli,  
czort ją lustrem swym zaćmi —  
strąca do topieli...

Świat się cały zanurza  
w bagno, w kał, w odmęty —  
a nad światem — jak balon  
wisi czort nadęty.

Drwi z głupoty trawiącej  
kołowate ludy...  
Jego Prawda — jest tylko  
lustrem ich obłudy!

— — — — — — — —  
Gdzieś na komet elipsach,  
w ogniu słońc — jak w zbroi,  
Słowo „Stań się“... jak ongiś  
z piorunami stoi.

Chwila jeszcze — a z szumem,  
na ognistej łodzi —  
Prawda wstanie... Czy jednak  
ludzkość się odrodzi?

## SZUKALI LUDZIE PRAWDY

Szukali ludzie Prawdy;  
pytali filozofa: —  
Prawdą — rzekł ten — jest wszystko,  
co rusza się — nie cofa. . .

Nie wiedząc co to znaczy,  
pytali profesora: —  
Prawda — to abstrakt — odrzekł,  
to dziś już rzecz znachora.

Więc weszli do senatu  
zapytać senatora;  
ten krzyknął: — nie mam czasu,  
ma żona mocno chora.

Wstąpili do ministra,  
co z mądrej słynął głowy —  
ten, śmiejąc się, rzekł: — Prawda  
to — frazes szablonowy.

Szedł młodzian drogą — gwizdząc;  
pytali więc młodziana  
gdzie Prawda? — Ten rzekł: nie wiem,  
to sprawa zapomniana.

Do huty weszli — pytać  
starego robotnika,  
ten skrzywił się — i mruknął: —  
pytajcie mechanika.

Pytali mechanika,  
co motor robił z rana;  
ten rzekł: — skąd ja mam wiedzieć?  
pytajcie się formana.

Kobieta stała w lustrze —  
pytali więc kobiety: —  
Prawda? . . . Słyszałam o tem. . .  
dziś nie wiem już — niestety.

Pytali nawet dzieci,  
a te, w dziecinnej mowie  
odrzekły: — Prawdą wszystko,  
co tatuś z mamą powie.

Więc smutni szli do domów,  
szukając Prawdy wszędzie;  
jak błędni wyszli w drogę —  
wracali w większym błędzie.

Gdyż całkiem zapomnieli  
w wędrówek swych rozterce,  
że Prawda — była z nimi: —  
ukryła się w ich serce. . .



## JARMARK PRAWDY

Na wielkim świata rynku  
rozpięli swe stragany —  
i każdy zatknął w górę  
swój afisz połatany.

A na nim w szumnych słowach,  
czerwonym atramentem —  
wypisał swój — Dekalog  
piśmidełem strasznie krętem.

Bezcenny klejnot Prawdy  
na fałszu krzywej szali  
ważą . . . mierzą i krają. . .  
swój towar każdy chwali.

Pomiędzy straganami  
czort włóczy się kulawy,  
jak faktor chytry — kibic —  
zachwala fałsz ich sprawy.

Przybyły tłumy z dala,  
zaległy rynku kąty —  
kupują — (wszak to tanio. . .)  
na karki swe — chomonty.

Tu — pod czerwoną płachtą  
plugawy komunista  
zachwala swoją prawdę,  
ochrypłym gardłem śwista.

A obok niego stoją,  
surowo marszcząc twarze —  
nazizmu i faszyzmu  
handlarze i tragarze.

A dalej jeszcze, w zwojach  
błyszczących złotem kiści,  
składają swoją prawdę  
na stos — kapitaliści.

Tysiące tu straganów,  
opiętych gładkim pluszem —  
najgęściej jednak stoją  
szachraje — ateusze...

Wśród zgiełku, szumu, wrzawy  
łachmanów zbitych szczelnie,  
tłum błędnych kupców łązi —  
ogłupiał już zupełnie.

Już nie wie co jest Prawda,  
co błaga, co obłuda —  
targuje — wódkę pije...  
kupuje co się uda...

A czort — kulawy kibic,  
arc-faktor zezowaty —  
od śmiechu rycząc... w kieszeń  
pcha srebro i dukaty.

— — — — —  
A gdzieś — na dróg rozstaju  
cień jakiś się kołacze —  
to Prawda Boża idzie  
i, łkając — cicho płacze...

## WIDZIELI JĄ NAD RANEM. . .

Widzieli ją nad ranem  
oracze wiodący lemieszem,  
gdy niebem poświatą zalanem,  
nad ziemią z szelestem leciała —  
przejrzysta w mgle świtów i biała.

Widziały ją dzieci niewinne,  
odzianą w biel szat, w pióropusze —  
gdy z mroku płynęła w brzask świtów,  
radując przezyste ich dusze.

Widzieli ją także ci wszyscy,  
co serca mieli bez skazy —  
gdy w obłok pąsowy wtulona,  
nad ziemią krążyła — dwa razy. . .

— — — — —  
Lecz ludzkość już jej nie widziała. . .  
nad życia popieliskiem,  
na zgliszczach ziemi —  
w chaosie bowiem stała. . .  
z rękami w krwi umaczanemi,  
ważąc i mierząc — krając swe zapędy,  
mnożąc szachrajskie zyski,  
dzieląc nasiąkłe łzami — dywidendy. . .

A chociaż czas był bliski,  
choć leciała tuż prawie — nad nimi  
i ponoć nawet spoglądała tędy —  
ludzkość — wpatrzona w proch i błoto ziemi,  
oślepla nagle. . .  
i nie ujrzała — tej Bożej Przybłądy.

— — — — — — — — — —  
A jednak — Prawda jest.  
O tak — jest wszędzie!  
Od wieków była i po wieki będzie,  
gdyż w każdym tkwi atomie  
i w każdym elektronie,  
w każdym protonie —  
jak Znicz przez Boga zapalony płonie!  
Sam czort jej nawet nie strąci z granitu,  
gdyż jest początkiem i końcem wszechbytu!

A choć świat krzyczy,  
że dawno skołała —  
i swą obłudę wywiesza na dachu,  
zwie Ją naiwną — dla dzieci legendą,  
wytacza przeciw niej ogniste działa: —  
nie miejcie strachu. . .  
oto jej znaki są — i zawsze będą!

— — — — — — — — — —  
A gdy Ją zabić zechce gawiedz mnoga —  
to musi najpierw — zabić Boga. . .

VI.  
W Klasztornym Ogrodzie.

*KOLEGOM SZKOLNYM  
ku pamięci dni życia słonecznych  
i  
OO. FRANCISZKANOM  
za otwarcie drogi przejrzanej ku  
niebotycznym szczytom piękna  
i wiedzy.*



## MODLITWA SADU

Tu jest harmonja wieczysta,  
uśpiona w stuletnich drzewach —  
oto sad — boski psalmista  
słoneczne hymny śpiewa.

W łagodnych szmerach,  
w tęsknym poszumie liści —  
brama tęczowa w wieczność się otwiera  
i wieczność w pieśni się isci.

Kasztany poskładały liściwia palcate,  
jak dzieci w modłach, dęby załamały ręce,  
grusze zapachem siodu wioną ponad światem,  
jabłonie pąsowieją owocem w jutrzence.

Akacje kornie się kłonią,  
agresty — jak chłopięta przed bożym ołtarzem —  
śpiewają: — Ave! . . . Kwitnące piwonje  
czytają białych płatków brewjarze.

Nasturcje — siedzą i kwitną,  
pachną kadzielnie rumianek i mięta —  
drogą wiodącą w odwiecza — błękitną  
idzie ku słońcu słów procesja święta.

Ave Regina Coeli! . . .  
Kwietnią się, jarzą słów kręgi prorocze;  
po sadzie chodzą z koszami anieli  
i słowa — jak dojrzałe zbierają owoce.

## NAJMILSZY ZAKĄTEK

Jest takie miejsce i takie zacisze  
pod baldachimem cienistych jabłoni,  
gdzie tylko motyl w trawach się kołysze  
i rosa kapiąc — po łopianach dzwoni.

Tu wrzawa świata  
zagubionego w szalonym rozkłębie —  
stapia się w ciszę i w chmury ulata,  
jak przerażone wichrami gołębie.

Tu głębin serca nic nie zmąca,  
dzieła człowieka są jak imitacje;  
słucham i słyszę — jak w rozlewie słońca  
wieczność wytapia nowe konstelacje.

Słucham i słyszę — trawy, gdy szeleszczą  
mową najśłodszą, jak struny grające —  
i jak owoce przyjście zbiorów wieszczą,  
lilje piją wino rós i słońce.

W szeleście trawy,  
w szeptach łopianu —  
pełnią się życia tajemnicze sprawy,  
tak ważne — jak byt ziemi — w serji boskich planów.

Tu więc usiędę  
i — zasłuchany w ponadziemską ciszę —  
tak długo czekać i tak słuchać będę,  
aż głos Najwyższej Mądrości usłyszę!



## SEKRET KLONOWY

Aleją — która wiedzie w dale niezbadane,  
ścieżyną pnącą się w słoneczne zwiady,  
w cienistych skrętach — rozpachnionych sianem,  
sam nie wiem dokąd idę. . .

Idę — bo taki cel człowieka: —  
pęd nieskończony do najwyższych marzeń,  
droga odwieczna i przystań daleka,  
rozpromieniona w złociste miraż.

Cisza. . .  
nikt zamyślenia tu nie zmaça —  
nikt nawet nie zna mnie — przybysza,  
ni moich dróg — wiodących w słońca.

Rozmawiam z klonem pochyłym,  
co przeżył lat słonecznych tysiąc —  
pokoleń stu widział mogiły  
i pachnie sokiem — jak melissą.

I o czymże są te rozmowy? . . .  
Nikt się nie dowie —  
sekret to nasz wieczny — klonowy,  
w bezsłownej zamknięty mowie.

Bo gdy już wszystko stracone  
i niema innej drogi —  
idę rozmawiać z klonem pochyłym,  
a klon nocą spowiada me skargi przed Bogiem.

## KASZTANOWA KATEDRA

Dziś w klasztorным ogrodzie zakwitły kasztany,  
liście nasiąkłe rosą złożyły jak dłonie  
i sokiem — pieśnią życia w korze rozszeptanym —  
skandują rozkwieconą Bogu antyfonę.

W gałęzie podniesione ku niebu — jak ręce  
ujęły świece kwiatów — białe i pachnące  
i stoją oto w rzędach, w rannej dnia jutrzence,  
wpatrzono głów czubami we wschodzące słońce.

Palcami mokrych liści rachują miarowo  
rosę — kroplę po kropli — jak ziarna różańca,  
szepcą pacierz . . . roślinom tylko znaną mową,  
kasztanową — kwitnącą w rozmodlonych palcach.

Ogród jest żywą katedrą  
gotycką — w świtów pożarze,  
a drzewa — w sznurach chmielu na zielonych biodrach  
klęczą — jak zielni jacyś Bracia-Tercjarze.

Dzień falami napływa,  
sokami gra w gałęziach jaśń rozbulgotana,  
chorałem godzin szumi w ponadrzecznych iwach  
ascezą nasiloną — zielona litanja.

W takie przedziwne rano  
chodzę — namokły rosą — wśród miłych kasztanów,  
wzniesion duszą nad ciałem, pijany błękitem —  
i uczę się od roślin — życia i modlitwy.

## LIPY KWITNĄ

W porannem ciepłym słońcu,  
w ogrodzie opylonym miętą i rumiankiem,  
w szeleście młodych liści sennym i gorącym —  
sad wypłata chmielami wianki-świętojanki.

Drzewa stanęły w rzędach — zielenią zdumione,  
kornymi otworami wachają z zachłystem  
fale wiatru — żywicą lepką nasilone,  
nasiąkłe wonią słodką i jak kryształ czystą.

Zapach faluje sennie po drzew górnym zrębie,  
snuje się w trawach białym dymem z trybularzy,  
szumi śpiewnie nad sadem stadami gołębi,  
w płomiennie-barwnych makach — sen kwiatowy marzy.

Zakwitły lipy. . .  
melodją słodkich, ciepłych aromatów  
przypominają śpiewnym kory skrzypem —  
*misterium* kwiatów.

Chodzę po sadzie — zasłuchany w życie  
lip pachniejących i kwitnących maków,  
w niebie roślinnym — w kwiatowym zachwycie,  
nie jako człowiek — ale jeden z krzaków. . .

W gałęzi szumnych zielonym chorale,  
w hymnie szelestów liściastym —  
stałem się oto — jak poziomka — małym  
ostem . . . i chwastem. . .

## ALTANA

Na wzgórzu —  
gdzie stoi lip kępina liściem rozszeptana  
i pszczoły brzęczą śpiewnie i mak się purpurzy —  
jest małeńka pnączami spowita altana.

Tam — gdy słońce równika dobiega już prawie  
i drzewa poczną kipieć sokiem — jak szampanem  
i wiatr — jak kosiarz senny — położy się w trawie: —  
można usiąść i spojrzeć na świat — przez altanę.

W dole cały sad widać jasno jak na dłoni,  
w prawo — aż ku niebiosom pnie się kwietna łąka,  
w lewo — strumień wód srebrem po kamieniach dzwoni,  
a w górze — obłok biały, jak wata — się błąka.

A z drugiej strony — nad chmielem liściatym,  
ponad łąkami i nad żyta falą —  
widać gościniec wiodący w zaświaty,  
a może nawet dalej. . .

Wszędzie tak cicho, słodko — a śpiewniście,  
tak owocowo, zielnie i soczyście —  
jakby się wieczność zzieleniała w kiście,  
cieniście i promieniście.

Tu usiądź, bracie . . . chwila jest przezczysta — !  
i spójrz bez celu — w dal — przez okno lata,  
a ujrysz może — zbłąkany turysta. . .  
siebie i życie — treść i mądrość świata!

## BRAT IDZI — OGRODNIK

W grzędach kwiatami oblepionych,  
w krzakach porzeczek, malin i agrestów —  
chodzi i liczy pachnące zagony  
Brat Idzi (zwany Cichym) — owocowy kwestarz.

W kobiątkę usłaną liściem  
strąca jagody, sokiem — jak winem nalane.  
„Niech będzie pochwalony“ . . . pozdrawia bżów kiście,  
agrestowym różańcem słaWi dobroć Pana.

Zapach róż i jaśminów, niby brewjarz czyta,  
z owoców, jak z kantyczki — kancjonał śpiewa,  
do grusz przemawia, klony śmiechem drzewnym wita,  
nie jak człowiek już, ale — jak Braciszek-Drzewo.

Z chórem śliw rozmodlonych  
skanduje psalmy na przemian,  
aż echo recytałem zakwita zielonym  
i basem odśpiewuje organista-ziemia.

Cisza jest taka w ogrodzie,  
że można słyszeć w drzewach pulsowanie soków  
i — najśłodszą ze wszystkich — poziomki melodję  
i ciepły oddech Stwórcy — na białym obłoku.

Wszystko to czuje dobrze swem sercem ukrytem  
pod ostrowłosą tuniką i zgrzebnym habitem —  
sam już marna roślina — ino chwast . . . Brat Idzi,  
więc choć patrzy wciąż w ziemię — Boga tylko widzi.

## BRAT MODESTUS — PSZCZELARZ

Jest w ogrodzie klasztornym małeńka pasieka,  
ukryta w cieniu wiśni i w krzakach agrestu,  
pełna ulów bieluchnych — jak chłody dzban mleka,  
w której żyje pszczoł życiem Brat-Truteń-Modestus.

Cichym krokiem śród ulów stąpa — jak w kościele,  
z pszczołami — niby z braćmi — rozmawia serdecznie,  
melissą ul naciera, miętę w kątach ściele —  
jakby nie rój — lecz serce w nim chował człowiecze.

Plastry złotego miodu  
wycina i układa ostrożnie pod gruszą,  
z taką jawną boleścią i piętnem zawodu,  
jakby z bandytą dzielił się swą własną duszą.

Tak się w pszczoły zapatrzył, że wzrok ma jak miodem  
nasycony — a słowa serca ciepłym woskiem  
pachną Bogu na chwałę i sławią przyrodę  
we wszystkim co jest ziemskie — a przeto więc — boskie.

Śpiewa psalmy poranne  
nie jako człowiek już — ale Brat-Pszczoła;  
słowami byczy, brzęczy — szmerem nieustannym,  
nie głosem — ale woskiem do obłoków woła.

W roje miodem pachnące, przyczajone w szmerach  
wsiąknął jak echo pieśni fujarczanej w rosę  
i widzi tak przedziwne nadziemskie *misteria*,  
jakich mędrzec nie dojrzy w sobie — ni w kosmosie...

## BRAT IWO — STOLARZ

W stolarni pełnej strużyn taśmistych i świeżych,  
nad białą deską jodły kornie pochylony —  
Brat Iwo — stolarz boży, mistrz drzewnych pacierzy  
wygrywa dźwięczną piłą śpiewne antyfony.

Ślizki hebel po słojach melodyjnie szasta,  
suchą mową skrzypliwie świszczę wąska piła,  
stanza fresków kwiatową łodygą wyrasta,  
słodką jak sok brzozowy i tak Bogu miłą.

Gładkie deski, w napięciu mistrza pewnej ręki,  
gną się biernie — posłuszne młota silnym ciosom,  
formą żywą pęcznieją w węgła i obłęki,  
dudniąc w głębi stolarni pieśnią skrzyniogłosą.

Trudom pracy oddany Iwo — stolarz korny  
wyśpiewuje swą duszę heblowaną mową,  
wyrzępała na desce piłą psalm nieszporny  
i rośnie prosto w niebo — linją pjonową.

Czasem połą habitu zmiata strużyn pęki  
i ogląda swą pracę, ręką pieszczotliwą  
głaszcze deskę — jak gdyby chciał jej ból i męki  
koić — prosząc, by cichą była i cierpliwą.

Słucha mowy tej deska nieoheblowana,  
pewna, że w niej — po życia nieszpornej godzinie —  
Brat stolarz w zaświatowe dale oceanów,  
jak w łodzi — rzeką mleczną — ku gwiazdom popłynie.

## BRAT KAMIL — KSIĘGARZ

W skryptach zbutwiałych, w zwojach foljałów,  
w księgach pachnących mądrością i w tekach  
żyje zamknięty — jak stronica mszału  
Brat Kamil — bożych dzieł i snów biblijotekarz.

Zgubiony w lesie tomów —  
zapomniał jak się mówi do ludzi żyjących,  
więc mową tylko rzędom starych ksiąg wiadomą  
z skrybami dawnych wieków w rozmowie się łączy.

Świat, rzeczy, ludzie i banalne sprawy,  
codziennosc szumną wijąca się wstęgą —  
mijają nad nim jak kłęby kurzawy  
i rosną w przyszłość nową dziejów księgą.

Nic już nie widzi — ino rzędy długie  
ksiąg opęczniałych mądrą wieków treścią,  
wyrosłą z wielkich serc — myśli wysmugiem  
najprzedziwniejszą o życiu powieścią.

A gdy się czasem zdrzemie utrudzony  
w słonecznej chwili letniego południa —  
śni, że dni nowe piszą się jak tomy  
i świat mądrością bożą się zaludnia.

W cichem z księgami mędrców obcowaniu  
stał się sam cichy — jak księga przeżyta,  
pełna przedziwnych zdań i poematów,  
którą Bóg tylko — otwiera i czyta. . .



## BRAT KUSTOSZ — ANASTAZY

Przygarbiony latami, zgięty troską życia,  
zapatrzony w nadziemskie dale i obrazy —  
kontrabandę mądrości odwiecznej przemycą  
do serc młodych — Brat kustosz boży — Anastazy.

Gdy pauza śmiechem młodym jak winem nalana  
zaszumi w korytarzach krzykami beztroski,  
przerzywa pracę — którą wielbi mądrość Pana —  
i serce rośpiewane zatapia w błahostki.

Gorszy się i unosi — na brak posłuszeństwa,  
na psoty, w których młodość nad życie wykwita,  
sławi cnoty poczęte w ciszy dostojenstwa  
i mówi o najwyższych marzeniach i szczytach.

On zna duszę studenta — fantazję młodości,  
wie co może ją smucić — a co wypromienia;  
gniewa się, kiedy w auli ktoś „ćmi papierosy“  
i cytuje — jak „straszne są skutki palenia“...

Maksymy serafickie biednego Franciszka  
na skrawkach pergaminu skopjował i skrzętnie  
porozwieszał w pracowni, by — gdy śpiewna cisza  
zapadnie — czytać szeptem przedziwne sentencje.

O Bracie Anastazy — kustoszku cierpliwy!  
(gdy życie nas wyrzuci na odległym szańcu)  
zniż psoty nasze w długi różaniec oliwny —  
pomódl się za nas czasem — na wspomnień różańcu!

## BRAT DZWONNIK — SYLWESTER

Gdy wieczór zapada siny  
i laguny parują zapachem lotosów —  
Brat dzwonnik w starej wieży wydzwania godziny  
melodyjną kantatą metalowych głosów.

Ave — Ave Maria! . . .  
Stugłośną polifonią wyśpiewują dzwony,  
pieśń fontanną wytryska, w obłoki się wzbija,  
gwiazdy kolebie echem w spizach rozmodlonem.

W drzewa wplata się hymnem — jak owoc pachnącym,  
serca ludzi wypełnia drzeniem melodyjnym,  
w sad napływa hejnałem jak wieczór chłodzącym  
i pachnie nad łąkami — jak kwietniowe lilje.

Czuje to Brat Sylwester — organisty boży,  
mistrz w sztuce nagrywania pieśni metalowej —  
więc sam — jak dzwon już żywy — stugłośnie się mnoży  
i rozmawia z wiecznością w dzwonoślownej mowie.

Tak się w dzwony zasłuchał, że w śpiewnej harmonji  
stał się jak sygnaturka — wymowny i słodki;  
nie głosem — ale sercem w pierś radosną dzwoni  
Bogu tylko wiadome kancjonałów zwrotki.

W taki wieczór — chorałem dzwonów rozśpiewany —  
Anioł Pański nad ziemią z szelestem przelata,  
zbiera skargi serc ludzkich, życiem zdruzgotanych  
i Bogu niesie w pieśni — ginącego świata.

## ŁAWECZKA

Pod starym omszałym klonem,  
kędy wije się w skrętach ocieniona ścieżka,  
na wzgórzu ku ogrodom sennie pochylonem —  
stoi miła rozmyślań i marzeń ławeczka.

Tam — gdy wieczór żabami rozśpiewa się nagle  
i ciepły letni wietrzyk zabłąka się w miętę —  
można usiąść, rozwinąć marzeń białe żagle  
i płynąć w poza światy myślą — jak okrętem.

Droga mleczna, przypięta mgłą do brzegu ziemi,  
chłodem wód szmaragdowych nęci myśl wędrowca —  
płyniesz w górę szlakami ludziom nieznanymi  
gwiezdną mapą niebieską — po snach i manowcach.

Troski w dali zostawiasz, jak zbyt ciężki bagaż,  
jawę na sen wymieniasz, kończysz rzeczywistość,  
i odpływasz w nieznaną — błędny życia tragarz. . .  
linją białą jak mleko i jak kryształ czystą.

Gwiazdy — kule ogniste — szumią ponad głową,  
koła tęcz i księżyców wirują w pierścieniach;  
mijasz wieczność — zajeżdżasz w zjawę bytu nową,  
kędy w nicość się zmieniasz — w cień własnego cienia.

Krótką ciepłą noc letnia mija — gwiazdy bledną,  
cienie kładą się rzędem — niby drzewa ścięte,  
rosa szmerem sad budzi . . . Ty wiesz tylko jedno: —  
wracasz nowy już człowiek — ławeczki okrętem.

## OGRÓD W NOCY

Po dnia letniego utrudzeniu,  
gdy ludzie usną twardym snem w kamiennej ciszy —  
noc wchodzi do ogrodu procesją cieniów,  
szwędą się po alejach i drzewa kołysze.

Grzędy warzyw ogląda, mięty zmywa rosą,  
wacha gruszki soczyste — opęczniałe słodem,  
osty, mlecz i pokrzywy straszy ostrą kosą,  
agrest, wiśnie i jabłka ciepłym syci miodem.

Rosę białą nalewa malinowym sokiem,  
aż — jak wino musuje purpurowa piana —  
kielichami róż pije i tonem wysokim  
śpiewa stanzy rosiste — letnia noc — pijana. . .

Potem siada pod gruszą — wonna, zarosiała,  
drzewom — już podchmielonym — każe stanąć w chórze,  
na zagonach wygrywa pieśń, jak na pedałach,  
sennie palce rozplata na grzęd klawjaturze.

Malwy, mak i porzeczeki tańczą menueta  
w takt wygranej na grzędach śmiesznej kantyleny,  
podrygują do okien — gdzie ksiądz katecheta  
śni na smętym tapczanie mako-sen płomienny.

Gdy świt niebo zabieli — Brat ogrodnik błądy  
godzinkami strącając z sennych grusz owoce,  
dziwi się, gdy w warzywie gęste widzi ślady: —  
skąd w ogrodzie klasztorным tak burzliwe noce? . . .

## OKNO NA ŚWIAT

Dziś w klasztorным ogrodzie straszny wicher szalał,  
miętoszył maki — trawy darł — miotał wysoko,  
przy parkanie kasztany stare powywalał  
i otworzył z ogrodu w świat szerokie okno.

I oto widać teraz — jasno jak na dłoni  
świat radosny . . . żyjący za murem klauzury,  
ludzi — w wiecznej za szczęściem i złotem pogoni  
i wiszące nad nimi czarne życia chmury;

ulice parujące asfaltem gorącym,  
chodniki deszczem zmyte, wiatrem wymiecione,  
i prąd ludzi — bulgotem ku miastu płynący  
i chaty biednych — troską w ziemię pochylone. . .

Po burzy — wicher życia dmie w ulicach miasta,  
zakrętem lejkowatym zmąca wieczór boży,  
po sercach — jak po hałach pustych — bólem szasta  
i tak się z ludźmi do snu — szumiący położy.

Dzień chyli się jak klon — toporem słońca ścięty  
w pachnącą świeżem sianem i rumiankiem ciszę,  
sad śpiewa hymn rosisty — pacierz szepcą mięty,  
miasto kłębi się, szumi — i sadu nie słyszy.

Wkrótce gwiazdy wypłyną błyskotliwym tłumem,  
księżyc wozem plejady ruszy drogą jasną —  
ale miasto misterjów tych już nie zrozumie. . .  
Spokój wrócił do sadu — i bramę zatrzasnął.

## SIESTA DNIA LETNIEGO

Jest w ogrodzie klasztornym taka dziwna chwila,  
kiedy drzewa gałęzie obwieszają jak ręce,  
z nad kwiatów miód i pyłek wonny się wypyla,  
a w trawie — jak w kościele — panuje *silentium*.

Warzywa — jak dziewczęta — klękają przy agreście  
w kornym oczekiwaniu na rosy kapiące,  
maki spłoną się szczęściem w różowym szeleście,  
malwy pochyłą głowy odurzone słońcem.

Pszczoły pasieczne cichem brzęczeniem leniwem,  
mijając kwiaty miodem i woskiem pachnące —  
splączą się sennie w białych pajęczyn przędzywie  
i opadną zmęczone — w pokosach na łące.

Nawet stary ogrodnik — Brat Idzi — znużony  
uśnie na kupie siana w cieniu, pod czereśnią  
i śni powieść o pracy życia nieskończonej,  
tęsknotą wyrastając ku niebu — jak pieśnią.

W takim przedziwnym *silentium* —  
gdy sad mszalną siestę południa odprawia,  
pełnią się nadzmysłowe — tajemne sentencje: —  
Stwórca przedsmakiem ciszy wieczystej przemawia...

Kto w owej chwili sennej sad nawiedzi kiedy  
i niezbadanej zmysłem nie złąknie się ciszy,  
niech położy się w trawy chłodzący seledyn  
i słucha! . . . Może wieczność i Boga usłyszysz! . . .

## OWOCOWANIE

Zabębniła w sadowym ogrodzie  
kapela drumli — grająca;  
śród drzew brzemiennych szum-ogrodnik chodzi,  
potrzęsa gałęziami i owoce strąca.

Gradem pachnącym — monotonnym  
sypią się gruszki dostałe słodyczą,  
aż postępują zgarbione zagony,  
w podołki brózd zbierając owoce i licząc.

Jabłka — spęczniałe sokiem kwaskowatym —  
zaczerwieniają trawiaste podłoża,  
sine węgiarki — słodyczą brzuchate  
lecą pod nogi pni — jak manna boża.

Sad pustoszeje. . .  
ostatniem echem życia głucho dudni,  
śni sen makowy — o kwietnej nadziei,  
co go znów kiedyś owocem zaludni.

Drzewa prostują konary przygięte,  
podnoszą w górę — błogosławią słońce,  
rozradowane brzemiennością świętą  
matek rodzących.

O przenajświętszy dniu owocowania,  
wypełniający obietnice boże — !  
iścisz się wieczną treścią przykazania  
tym — co twą rolę pługiem serca orzą!

## SEN O BRATERSTWIE

Świat jest klasztornym ogrodem,  
my wszyscy — bracia zakonni: —  
rodziny, szczepy, narody,  
grusze, jałowce, mak polny. . .

Ptaki i chrząszcze i granit  
i muszki w życie brzęczące —  
jesteśmy braćmi — siostrami —  
jednego mamy Ojca!

Tylko w podróży —  
wiodącej nad latami — z wieczności — przez serca,  
w szumie wypadków — w życia burzy —  
zgubiliśmy piętno braterstwa. . .

Wyrośli w górę piennością,  
jak osty pluwjalne i chwasty;  
w zawikłań nieskończoności —  
świat stał się krzakiem kolczastym.

W wiecznej za szczęściem pogoni,  
za złudą niedościgniętą —  
zgłuszyliśmy tony najwyższej harmonji,  
serca przestały pachnąć rumiankiem i miętą.

Kiedys — w dzień żniw dziejowych,  
w wieczór wypadków śpiewny i nieszporny: —  
czas wydzwoni nam w sercach treść mądrości nowej  
i zbratamy się znowu — w ogrodzie klasztornym!



VII.  
Preludja Poranne.



## O WIECZYSTEM OCZEKIWANIU

Siedzę w rozświtach złocistych  
i czekam Cię . . . o jasna moja!  
Kiedyż — ach kiedyż przyjdiesz,  
w wieńcach liljowych i w chmielu powojach?

Oczy już wypatrzyłem,  
patrząc daleko — daleko —  
w obłoki kapiące złotem,  
i w sny — co w purpurach się wleką.

Z jasności niebieskiej i świtów  
lecą srebrzyste mowy skrzydlate,  
siadają na dach mój omszony —  
jak duchy obsiadły mą chatę. . .

Słyszałem —  
że kiedyś — w takie rano —  
spłyniesz rozkosznym chorałem  
i wsiąkniesz — o kwitnąca — w mą duszę stroskaną.

I śniłem. . .  
śniłem pieśń szumną, radosną: —  
o słońcach, chodzących po ziemi,  
o błękitnych aniołach  
przyjść mających w cichości i skrzydły białemi  
goić krwawiące rany,  
w jakiś poranek — czy wieczór różany —  
śniłem sen srebrny — o Wieczysta Wiosno!

Mówiono. . .  
że przyjdiesz kiedyś — w kokardy upięta,  
jasna — błękitna — i święta —  
i ręce Twe kojące  
złożysz na oczy me od łez piekące. . .  
i usiądziesz — jak siostra na mój wklęsły próg.  
Wówczas . . . w obłoku . . . objawi mi się Bóg!

# O SIEJBIARZU NIEBIESKIM

## 1

Siejbiarz niebieski polami  
chodzi w rozświtach i ziarno  
szczęścia garściami nasiewa  
w rolę pachnącą i czarną.

I ręką błogosławiącą  
zakreśla półkola gorące: —  
siejce słoneczność i kwiaty  
po ludziach, po polach, po łące.

Skrzydłami białymi — jak brona  
bronuje swą siejbę błękitnie —  
i rosą nakrapia rześistą,  
aż w pęki wytryska i kwitnie.

## 2

O wstańcie stroskani i smutni —  
ta siejba jest wam przyniesiona!  
Słyszycie jak pachnie rumiankiem  
i jak się rozkiścica w nasiona!

Do żniwa żniwiarze, kosiarze,  
opuście grożące swe pięście!  
Dziś w nocy — Bóg chodził po ziemi  
i zasiał wam kwiaty i szczęście.

Po rosie chłodzącej — a wonnej  
puszczajcie sierpice i kosy —  
w rozświtach wam plony urosły  
w pachnące — miętowe pokosy.

Obfitość zasiewów niebieskich  
jest wielka — i w plon się rozkiści;  
ach pocóż ta zazdrość i chytrość?  
Dla wszystkich wystarczy korzyści!

3

Powstali . . . Już idą polami,  
gdzie wzrasta ruń boża, zielona —  
i depcą zasiewy niebieskie,  
jasności i szczęścia nasiona.

Człapając bezmyślnie po rosach —  
wygnietli rumianki i mięty. . .  
Siejbiarzu Niebieski — i pocóż  
zasiałeś radości plon święty?

Ujrzały to świty — i płaczą.  
Łzy rosą spływają poranną. . .  
Bóg tylko pozostał cierpliwy  
i sieje wieczyście — swą mannę!

# O MUZYCE Z ZAŚWIATÓW

## 1

Pod nieba kopułą różową,  
gdy w sadach zakwitną piwonje —  
orkiestra niebieska zasiada  
grać ziemi świetlistą symfonię.

Na skrzypcach rozwiewnych zefirów  
dzień szumi koncertem — jak fala;  
muzyczność po niebie się włączy  
i słońca w bezkresach zapala.

Na skrzydeł tęczowych rozpięciu  
pieśń płynie i sercem tak targa,  
jak gdyby sam Stwórca organem  
odwiecznych prabytów grał — larga.

## 2

Ekstazą w marzeniach poczętą  
sen wieków w poranku się iści.  
O wstańcie zmęczeni i senni,  
niebiescy wam grają artyści!

Już słońce płomienne rozbłysło  
w skrach rosy, kwiatami paproci;  
otwórzcie swe chaty na oścież,  
niech świt wam głąb serca rozzłoci!

Niech koncert świtania gorący  
szelestem łagodnej symfonji  
wam nerwy — jak struny napięte —  
rozpieśni i w pacierz rozzwoni.

Niech wleje wam w serca pęknięte  
dźwięk boski — co gwiazdy rozdzwania,  
aby wam na cały wiek męki  
starczyło tych tonów i grania.

3

Powstali z okropnym harmidrem,  
porwali kilofy i młoty  
i w kuźni — nabrzmiałej hałasem —  
zgłuszają szmer boskiej pozłoty.

Puścili wrzaskliwe maszyny  
w szum wartki, krzyczący, szalony,  
i tłuką swe serca pęknięte,  
porannej symfonji rwą tony.

Ucichła muzyka słoneczna,  
wśród szczęku, zaduchu i pary. . .  
Któż dzisiaj chce słuchać snów duszy,  
gdy światu potrzebne . . . towary?

4

Symfonjo poranków rosistych,  
pachnących rumiankiem i miętą —  
spłyn w świtach do myśli starganych  
i w sercach zrób pokój i święto.

Artysto chorałów niebieskich  
przygrywaj nam świtem i ciszą!  
Dzień szczęścia już idzie . . . już bliski,  
gdy ludzie piew duszy usłyszą.

Powstaną w uśmiechach serdecznych,  
zdziwieni swą długą głuchotą —  
i wówczas nie będzie już smutnych. . .  
To ziść nam — prosimy Cię o to!

# O GOŚCIU NIEPROSZONYM

## 1

Aż przyszedł wreszcie o świcie,  
podniósł żaluzje, firanki —  
długo czekany i śniony,  
ubrany w sny i w rumianki.

Skłonił się grzecznie, jak lokaj,  
dostojnie siadł na framudze —  
i siedzi — w świtach różowy...  
Widzę go... Wszak się nie łudzę!

## 2

Długo czekałem i śniłem,  
że spłynię cichym szelestem,  
głośnie mnie słońca muśnięciem  
i powie: — widzisz już jestem!...

Śniłem, że w ranek słoneczny,  
jakąś jesienią, czy wiosną —  
śmiechem rzęsytm mnie zbudzi  
i ja zaśmieję się głośno.

Ujmie mnie lekko pod ramię,  
wesół, jak dziecię przy święcie;  
On — pożądany, czekany —  
LOS mój słoneczny — me SZCZĘŚCIE!

I pójdziem w dal roześmiani,  
dwaj towarzysze serdeczni —  
ciszę zasiewać po sercach  
w plon — który świat rozśłoneczni.



## 3

O tak! Nie darmo czekałem!  
 przyszedł dziś — widzę go przecie!  
 Kto mi to kłamał — że SZCZĘŚCIE  
 dawno umarło — na świecie?!

SZCZĘŚCIE wciąż chodzi po domach;  
 u mnie jest — wszak się nie łudzę...  
 Patrzcie — ot siedzi różowe  
 na okna białej framudze!

Takie szerokie i wielkie,  
 takie ponętne do brania...  
 Może aż trochę za duże —  
 słońce mi sobą zasłania!...

## 4

Wstań, ty niezdaro!... powiada —  
 ranek cię dawno już czeka!  
 Jak ty spać możesz i marzyć,  
 gdy podróż taka daleka?

I nad mą twarzą się chyli;  
 słyszę szum jakiś i łopot...  
 Szczęście? — O zgrozo! Poznałem!  
 To przyszedł ON — ON MÓJ KŁOPOT!...

Wstałem więc prędko i idę  
 z wym przyjacielem — KŁOPOTEM  
 i śmieję się, śmieję serdecznie  
 i z nikim nie mówię nic o tem.

I będę śmiał się i szydził,  
 w twarz natrętnemu przybłądzie —  
 aż rozpacz rozplynie się w chmurach  
 srebrzystym radości łabędziem.

# O PORANKU DESZCZOWYM

## 1

Po kłębach obłocznych — świt chodzi  
otrząsa perlistych rós mannę,  
aż ziemia się budzi zdumiona  
i szepce pacierze poranne.

Cienie koszmarnych przybłądów  
chodzą obmokłe po lesie,  
a mgła — żebraczka zgarbiona —  
w ogromnym tłumoku — dzień niesie.

Ćmy fantastycznych oparów  
skrzydeł podartych łopotem —  
człapają po łąkach i polach  
i kładą zasiewy pokotem.

Zapachy zgarniają do worków  
i pną się ku niebu po łąkach —  
a do wsi — ktoś idzie nieznany,  
w okna zagląda — i puka. . .

## 2

I wchodzi — (gość nieproszony)  
do chaty . . . wilgotne swe ręce  
składa na twarz mą gorącą  
zaplótem palców — jak wieńcem.

Wywija kropidłem rosistem,  
i chrzest mi wyprawia na twarzy —  
kroplami zimnemi jak bobem  
twarz rozspaną mi praży.

Ej, proszę... a cóż to za psota?  
Kto mnie tak budzi rós szmerem?...  
Sen miałem taki srebrzysty —  
byłem (we śnie) miljonerem...

3

Zrywam się prędko i patrzę  
oczami pełnymi strachu...  
Kto tu?... Aaa — deszcz dzisiaj pada!  
i woda przecieka z dachu!

Pułap zamienił się w mapę —  
mokry — miejscami spłowiły...  
Wiem, kto mi twarz tak wykropił: —  
dach przeciekł... ciecze z powały...

Porozstawiałem naczynia  
drewniane, blaszane i szklane  
i słucham jak deszcz mi wydzwania  
pluszczące preludja poranne.

Dzwoń ksylofonie kapiący!...  
Wiem, że za tobą dni jasne  
idą... Nim przyjdą — powstanę  
i stworzę słońce własne!

# O CZŁOWIEKU, KTÓRY ZASPAŁ

## 1

Po sadzie mym pachnącym,  
rozkwitłym bardzo wcześniej —  
ktoś chodzi i otrząsa  
jabłonie i czereśnie.

Złociste płatki kwiecica  
sypią się w biel — na runo  
puszystych traw — jak mewy,  
kiedy na żagle sfruną.

I lecą, szemrzą, dzwonią  
złocistej łuski dzwonki —  
i pachną — jakby wszystkie  
zapachły nagle łąki.

## 2

Srebrzystą gęźbę szmerów  
przez sen wyraźnie słyszę.  
Kto mi tak rozmuzycza  
porannych marzeń ciszę?

Ksylofon rozperlony  
łka coraz głośniej — głośniej —  
i w jakiś trynkot dziwny  
pęcznieje, szumi, rośnie.

I coraz ciurniej, pełniej  
wierci się, świrdrzy, kręci. . .  
Gdzieś już ten głos słyszałem —  
plącze mi się w pamięci. . .

Nareszcie sam pozostał  
i szczeka — a capella —  
fałszywym jakimś zgrzytem,  
przebrzydły bagateła!

3

Aż nagle jęknął ostro  
końcówką jakąś złąką —  
jak tenor bohaterski,  
gdy mu fortissime pękło.

I oto — w śnie, czy w jawie  
tak tyka, cyka, człapie —  
jak gdyby ktoś plackami  
bił muchy na pułapie.

Przez marzeń pełne rzęsy  
widzę jak mój skrzywiony  
budzik — przykucnął w kącie  
i patrzy prerażony.

Pod stołem leży — cykacz —  
spogląda ocz nabiąłem: —

— — — — —  
dzwonił, dzwonił... aż pęknął — zdziwiony,  
że oto Bóg mnie wołał — a ja nie słyszałem...

# O CZYHANIU NA ANIOŁA

## 1

W rozbrzaskach świtów i ciszy,  
gdy sad zaśpiewa roraty —  
zakrada się ktoś w mój ogródek  
i, szelma — zasiewa mi kwiaty. . .

Zasiewa i skrapia rzeźsiście  
deszczem perlistym i rosą,  
aż rozsypują się w kiście  
sytkim szelestem — jak proso.

Astry, piwonje, rumianki,  
mięty, konwalje, dziewanny,  
stają kwitnącem półkolem  
śpiewać mi chorał poranny.

## 2

I pachną słodko i kwitną,  
patrzą w sypialni firanki,  
oczu jasnością błękitną —  
bezwstydne — mięty, rumianki. . .

Biel słońca słodką — jak mleko  
dają mi pić na talerzu —  
i szepcą: — wstań, ty kaleko,  
błądny, bezkonny rycerzu!

I — jak rusałki przejryste,  
biorą się chwiejnie za ręce —  
i rumby tańczą faliste,  
aż świt się płoni rumieńcem.

Któż tu się nocą wałęsa —  
skąd te kwieciste przybłądy?...  
Spać mi nie dają zapachem,  
depcą pietruszki mej grzędę.

Aż pewnej nocy — wykryłem!  
Wiem, kto mi wsiewa pachnidła: —  
postać srebrzysta i biała,  
na plecach związane ma skrzydła...

Anioł? O psoto przedziwna!  
Stanie się rzecz tu wesoła: —  
jutro — przyczaję się w kwiatach  
i złapię sobie — ANIOŁA!...

# CHŁOP I SŁOŃCE

## 1

I przysła wreszcie wiosna...  
W poranek ladajaki,  
nad stawem żabno-mulnym  
zakwitły tataraki.

Spiczaste, wiotkie palce  
wytknęły nad opary,  
a z wody — jak rusalki —  
wyjrzały nenufary.

Wilgotne, kwietne wargi  
rozwarły w śmiech nad wodą —  
i szept miłosnej gędźby  
z tatarakami wiodą.

A dołem — mchy rozpięły  
osnowy gęstej krosna...  
*(Ujrzała je i wlaźła  
po szyję w wodę — wiosna...)*

## 2

Chodziły tu bociany  
i czajki — w bieli słońca,  
aż woda — od całunków  
stała się mdła, gorąca.

Poranne mgły pieściły  
rozwiewne trawy kosy —  
i świty rozpylały  
kolońskiej wody — rosy.

A kumy żaby — gwarzac —  
siadały na łotacie  
i — ręce założywszy —  
patrzyły w chmur połacie.



I dobrze było — słodko  
łotacjom, stawom, łące...  
(*Wieczorem — spadło z nieba  
i dało nurka — słońce...*)

3

I przyszedł chłop wąsaty —  
(skusiła go łąk krasa),  
przestraszył kumy zaby  
i w wodę wlaź do pasa.

Zaglądał w dno mulaste  
przez wodorostów szpary —  
i ręce w głąb zanurzał,  
wrywał — nenufary.

Tarasił i miętosił  
wysmukłe tataraki  
i pchał do sakwy łupy: —  
kwiaty, ślimaki, raki...

Aż nagle zbladł. O rety!  
Pod wodą — coś gorące!  
Porwał do sakw — i uciekł...  
O złodziej... *złapał słońce!*

## O ŻYCIU CODZIENNEM

W różowo białym świecie  
wstał człowiek —  
otarł sen z powiek,  
i w nozdrza życiem rozdęte  
wchłania woń ranku — jak mięte  
i błogosławi życie. . .

Przez okno wpół rozchylone —  
patrzą nań maki czerwone;  
malwy rozkoszne swe oczy  
rozwarły w błękit przezroczy —  
i wietrzyk — niby kochanka,  
muska mu twarz chłodem ranka,  
a na rozkwitłej czereśni  
ptak jakiś rzępoli trel pieśni.

I marzy człowiek —  
majaczy o cudach świata,  
śni o piękności żywota. . .

Co mu tam głupia hołota!  
On — rozpiął skrzydła i wzłata —  
w górę — w obłoki różowe,  
w słonecznych nitek osnowę  
wplątał rozkosznie dłonie —  
i po niebieskim wygonie  
leci — jak miotła komety. . .  
(O rety!)

Aż nagle —  
istoty jakieś niemrawe  
podniosły wrzawę. . .  
O zgrozo — duch jakiś niski  
zabrzęczał w rondle, w półmiski!

Zerwał się duchów kochanek,  
kopnął doniczkę z kwiatem,  
zdarł z okna robron firanek  
i klątwą — świsnął jak batem...

— — — — —  
„psia krew!! ot życie niemrawe“...  
I poszedł — do kuchni — na kawę!

## ŚLEPIEC

Na lny, maki, chabry, zboża,  
na liljową ruń, na bluszcze —  
rozzłocona jaśń słoneczna  
tęczą spływa, blaskiem pluszcze.

I rozpachniał się świat cały,  
w woni kwiatów — jak w powodzi  
drży — w rozkosznych snów ekstazie —  
a nad ziemią — słońce chodzi.

Dzień się w szczęściu zapamiętał,  
miodem spłynął w malw kielichy,  
rozkrzyczał się i rozpętał;  
wstał i człowiek blady, cichy. . .

Mimo grzmiących słów chorału,  
bijącego wonią w chmury —  
on bez szczęścia, bez zapału  
powstał groźny i ponury.

Oto idzie już do biura!  
Spojrzał w słońce zakochane,  
splunął na czerwone maki —  
i łbem począł tłuc o ścianę. . .

I zagłuszył pieśń słoneczną,  
rozzumioną w rannym chórze —  
uderzając skronią w kamień,  
co od wieków sterczał w murze.

Tak już było od początku,  
że — gdy kwitną boże stepy —  
człowiek widzi tylko nędzę  
i po ziemi chodzi — ślepy.

## O WAGABUNDZIE SŁONECZNYM

Widzieli go ludzie na polach,  
rozkwitłych chabrami i makiem,  
gdy chodził i kwiaty całował  
i słońce przesiewał przetakiem.

I śmieli się z niego — (mądrale!),  
że w głowie ma pękłe wrzeciądze: —  
bo tylko naiwny sny sieje,  
gdy można zasiewać pieniądze. . .

— — — — —  
*Wagabunda śpiewa:* —  
Tak — jestem próżniak niemiły,  
miewam nałogi szkaradne: —  
chodzę po łąkach i polach  
i Bogu słoneczność kradnę.

Kradnę — i chowam do sakwy,  
wiążę w tłumoki i w pęki —  
i chodzę po świecie, rozdając  
taśmy słonecznej jutrzeńki.

Niby żyd chytry, straganiarz,  
jasność słoneczną — gdy ważę —  
zawsze oszukam kupczących,  
za darmo im dając miraże. . .

Chwila, godzina, minuta,  
słońcem splukana — sekunda —  
rozrzutny popęd mój syci,  
bom słońca wagabunda.

Czas cały poświęcam tym figlom,  
(a bardzo dużo mam czasu!)  
i łupy swe pozłociste  
rozdaję smutnym fagasom!

Stosy mam słońca w mym domu;  
zapchałem poddasza, werandy,  
skrzynie mam pełne, walizy —  
słonecznej kontrabandy.

Słońcem ogrzewam mieszkanie,  
słońce mi służy za strawę,  
a rano — słoneczność nalewam  
w szklanki i piję — jak kawę.

Pijany jestem jasnością!  
Gdy idę — zakreślam zygzaki —  
i gubię słoneczne pieniądze  
przez dziur mych kieszenne przetaki.

Kiedys — odbędzie się uczta  
dla wagabundów — gorąca. . .  
Siędziem — wypijem słoneczność!

— — — — —  
A wówczas co zrobicie — wy wielcy — bez słońca?!

# O ZAMKACH NA LODZIE

## 1

Przez chaty walącej się szpary,  
codziennie — wcześniej rano,  
w brzask świtów patrzył szary —  
czy w srebrnych mgłach nie wstaną  
wizje — mary —  
i czy w porannym chłodzie  
w purpurach zórz nie błysną —  
ZAMKI NA LODZIE. . .

Śmiali się z niego ludzie: —  
marzyciel i fantasta —  
w głowie mu gmach wyrasta,  
w zwichrzonych snów ułudzie —  
buduje miasta. . .  
duchami pełne łodzie  
widzi w snach nieziszczonych —  
ZAMKI NA LODZIE. . .

## 2

Więc poszedł w świat — sam jeden.  
Czas za nim zatarł ślady. . .  
On — bohater z ballady —  
chciał stworzyć w świecie — Eden. . .

A przy stołach biesiady  
gawędzić — było w modzie  
o tym — co wznosił śmieszne  
ZAMKI NA LODZIE. . .

Wy — którzy macie ducha  
o skrzydłach archanioła —  
jeśli ten duch was woła  
i ogniem wizji bucha: —  
przytnijcie myślom skrzydła,  
w odwiecznym dni pochodzie,  
sięgajcie po mamidła —  
budujcie — ZAMKI NA LODZIE!

---

Albowiem z zamków na lodzie  
powstają — PAŁACE NA ZIEMI. . .



## O SMUTNYM POECIE

### 1

Natchnienie przyszło rano,  
zbudziło go o świcie —  
i mówi: — patrz, poeto,  
jak pięknie wstaje życie!

W perlistych kroplach rosy  
tęczowe skrzą się zorze,  
pachnące łąki dymią,  
jak trybularze boże.

Symfonia szczebiotliwa  
preludja gra poranne —  
las sący woń żywiczną,  
przesłodką — boską mannę.

W ekstazę wpadła ziemia,  
w objęciach zórz poranka —  
w rozkosznych mdleje dreszczach,  
jak w słodkich snach kochanka.

Przez okno rozchylone  
woń życia szumem chlusta  
i wiotkie malwy wchodzą —  
całować chcą ci usta!

### 2

Poeto, chwyć oburącz  
roztruchan wonny życia —  
i pij — aż się upijesz!  
Wszak szczęście jest do picia. . .

Pijany tą jasnością,  
w objęciach malw omdlały —  
fanfara słów wybuchnij,  
o szczęściu pisz hejnały.

Niech świat się wreszcie dowie  
z płomiennych poematów —  
jak słodko śpiewa zieleń,  
do słońca i do kwiatów.

3

Poeta wstał — kaszlący,  
naciągnął w płuca woni;  
przy biurku siadł ponury,  
nad stosem ksiąg się kłoni.

I smutną twarz tak skrzywił,  
jak człowiek — co z kazamat  
na szafot wylazł — umrzeć. . .  
I zaczął pisać — dramat.

Zamachnął piórem ostro,  
z fantazją promienistą: —  
„życie — to kłamstwo“ . . . pisał —  
był bowiem — pesymistą.

# O RUSAŁCE I KOSIARZU

## 1

Kiedy ranne wstają zorze,  
chłop na sianie śpi w oborze —  
i śni sen przedziwnie słodki  
tak niewinny — jak dewotki.

Niebieskie pewno migdały  
śnią mu się. W uśmiechach cały —  
pomrukuje, ciężko sapie  
na słonecznej swej kanapie.

Przez pochyłe wierzej szpary  
rannej mgły płyną opary  
i słoneczna dnia pozłota,  
sączy się przez krzywe wrota.

## 2

Zaskrzypiały drzwi w oborze —  
to rusałka pewno . . . Boże!  
Jakaś postać rozmarzona . . .  
Pójdź, o cudu! . . . Aaa? — to ona . . .

---

Żona: —

A ty chamie — a ty draniu! . . .  
Toś ty jeszcze na posłaniu? —  
A do pracy — tu guzdraju . . .  
Cóż ty myślisz — żeś już w rajcu?!  
Chłopy dawno sieką zboże,  
a ten leń — leży w oborze . . .  
A żeby cię też wciurności —  
ty mazgaju bez litości . . .  
Jak też chyczę w rękę cepy —  
to ci strzaskam łeb w czerepy! . . .



# CZŁOWIEK I PTAK

## 1

Przez okno mojej chaty,  
na którym mróz artysta  
misterne rył witraże —  
raz zajrzał ptak — turysta.

Skąd wracał — dokąd dążył?  
Nikt pewno się nie dowie. . .  
stargany kościotrupek  
z rozpaczą w ptasiej głowie.

I zrzędził tak serdecznie,  
jak niemowlęce duchy,  
więc żal mnie zdjął — przez okno  
sypnąłem mu okruchy.

On zaraz na futrynie  
do sutej siadł do biesiady;  
używał i ucztował —  
jak perski szach — z ballady.

W mej duszy zagrał organ  
preludja snów poranne,  
więc czułem się — jak bóstwo,  
gdy rzuca ludziom mannę.

## 2

I odtąd w brzaskach świtów,  
gdy wstawał dzień słoneczny —  
ucztował ze mną codzien  
mój mały druh serdeczny.

Ja za królewskim stołem  
obfitym — w chleb z herbatą,  
a on na swej futrynie. . .  
Ba — żyliśmy bogato!

I był mi on kochanką  
i kochającym bratem;  
nie dbałem jakie zmiany  
szły nad ginącym światem.

Wiedziałem jedno tylko,  
że gdyby druh mój miły  
miał zginąć... mnie by ognie  
tęsknoty w proch strawiły.

3

Raz zbudził mnie o świcie  
pisk ptasi i huk strzału —  
skoczyłem więc do okna  
jak żołnierz — bronić wału.

Spojrzałem — jak lunatyk  
na wąski gzyms futryny  
i dreszcz mnie przeszedł zimny —  
nie było tam ptaszyny...

Za oknem, które zdoił  
artysta — mróz misterny,  
z dymiącą w ręku flintą —  
stał sąsiad mój z tawerny.

I wlepił we mnie głupio  
swój tępy wzrok opiły;  
na śniegu drgał — konając  
skrzydlaty druh mój miły...

4

Ha ty — przekłęty chamie  
zabiłeś mego ptaka!...  
Krzyknąłem głosem strasznym,  
co groził, klął i płakał.

Czekaj-no zaraz wyjdę  
twój głupi łeb rozwalę!...  
Życ przecie nie powinni  
tacy — jak ty — szakale!...

A on ptasiego trupka  
podnosząc zgięciem niskiem —  
śmiał się jak ludożerca,  
czerwonym swoim pyskiem.

—I cóż się tak przejmujesz,  
i drzesz w takim zapale...  
rzekł... nie rozumiesz sportu —  
to milcz... bo w łeb ci wpałę!...

—Ptak piękny był — więc pocóż  
miał zdychać... Mróz cholerny!  
Zabiłem go... Dam wypchać!...  
I poszedł do tawerny...

5

Ja w chacie sam zostałem,  
z tym mrozem — co misternie  
na szybach rzeźbił kwiaty  
w kościele — i w tawernie.

I stałem tak, jak stoją  
nad grobem matki dzieci,  
lub nad dramatem krwawym  
w tragicznych snach — poeci.

I czułem — jak konały  
w mej jaźni życia władze...  
Życie — ach znam je dobrze!  
Zważyłem je na wadze...

A ponad ziemią słońce  
wstawało jakieś szklane —  
i mróz na soplach lodu  
preludja grał poranne...

# PSZCZELARZ I SZCZĘŚCIE

## 1

W noc letnią, pachnącą i cichą,  
w bzu szeptach i trawy zamięcie,  
pod gruszą rumianą kwiatami —  
usiadło znużone — SZCZĘŚCIE. . .

Po długiej podróży błędzącej,  
ścigane przez ludzkie istoty —  
pod kwiatów rosistą kopułą  
usnęło — i śniło sen złoty. . .

Jabłonie pachnące i grusze  
zatrzęsły czupryną swą białą —  
sypnęły nań kwiaty garściami,  
aż SZCZĘŚCIE — od woni — ZEMDLAŁO. . .

## 2

O świcie — wstał stary pasiecznik  
podglądać pni pszczelne i ule —  
i SZCZĘŚCIE ZEMDLAŁE odnalazł,  
w pachnącej kwiatami kopule.

Ucieszył się wielce i zdziwił: —  
skąd-że to od wieków wysnione  
namidło zbłądziło w pasiekę?  
Czemprędzej obudził — swą żonę. . .

I wzięli przybłądę słoneczną,  
siejącą uśmiechy i zorze —  
zanieśli ostrożnie — do chaty  
i cicho ukryli — w KOMORZE. . .



Od wieków tak było i będzie,  
w klepsydry sypiącym się chrzeście: —  
łakomi — znajdują i kryją  
w komorach i w domach swych szczęście.

I — gdy go jest wszędzie bez końca,  
gdy chodzi świtami, mgłą białą —  
ktoś kradnie je ciągle i chowa  
i ciągle — jest SZCZĘŚCIA — za mało...

Lecz przyjdzie dzień kiedyś błękitny,  
słoneczność po ziemi rozprzędzie —  
i SZCZĘŚCIE wywiedzie z ukrycia —  
i odtąd — JUŻ SMUTNYCH NIE BĘDZIE!

# UCZTA Z ANIOŁEM

## 1

Na drogach wiodących ku słońcu,  
w mgle świtów i rosy rozchrzęście —  
pachnące rumiankiem i wiosną —  
podąża ku ziemi — SZCZĘŚCIE. . .

Od wieków czekane i śnione,  
wykwitłe z prabytów pamięci —  
już idzie, by rozdać się ludziom  
i życie ich ciszą uświęcić.

I wszędzie wstępuje po drodze: —  
do piwnic, w pałace, pod strychy,  
gdzie tylko są serca gorące,  
gdzie ino przybytek jest cichy.

## 2

Otwórzcie drzwi domów szeroko,  
usiądźcie dostojnie za stołem,  
nakrytym bieluchnym obrusem —  
jakoby do uczty — z aniołem. . .

Płatkami kwietnymi i bielą  
wyścielcie przydroża i progi —  
bo przecież przybywa gość wielki,  
niosący dar święty i drogi.

I w ciszy ogromnej — słuchajcie,  
odłóżcie zasuwę i kłódki —  
bo szczęście, gdy puka — to szmerem,  
a szmer ten — jest bardzo cichutki. . .

I przyszło . . . ogromne i jasne,  
skrzydłami białymi szeleści.  
Lecz cóż to — czy ludzie ogłuchli,  
czy nie chcą uwierzyć powieści?

Błękitne i takie rozkoszne  
podchodzi do każdych wierzei —  
i puka . . . O ludzie — otwórzcie!  
Lecz ludzie — boją się złodziei. . .

Chodziło więc długo, pukało —  
i w mgłę rozplynęło się białą  
i znikło . . . Ból tylko pozostał —  
A SZCZĘŚCIA . . . WCIĄŻ MAŁO I MAŁO. . .

# O DNIU OCZEKIWANYM PRZEZ BOGA

## 1

Kiedyż o kiedy — dzień błysnie słoneczny,  
który nam serca i dusze wybieli —  
tak . . . że wstaniemy rankiem roześmiani —  
nowi już ludzie — ze starej pościeli.

I usłyszemy — jak do wnętrza domu  
wejdzie ktoś wieczny — przez zwarte podwoje  
i pacierz zacznie cichutki, serdeczny  
szeptać półgłosem:—PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE. . .

I zobaczymy nagle — w świtów błyskach  
wieki rodzące się w mglistym eterze —  
jak wymłacane ziarna na klepiskach,  
wyrastające w wieczne słowo: — WIERZĘ!. . .

## 2

Wówczas — świat stanie w bezkresnym błękicie  
i ludzkość cała zaśmieje się głośno;  
serca zakwitną, jak chabry po życie —  
a ludziom nagle — w snach skrzydła urosną.

I uśmiechnięci — ruszą w świat podróżni  
szukać cierpiących i koić ich troski.  
Bogacz biednemu — swą kieszeń wypróżni,  
biedny możnemu — wróci uśmiech boski. . .

A jako dzisiaj każdy siebie chroni,  
tak wówczas będzie szczęściem darzył brata —  
odwieczny problem bytu się rozsloni  
z zagadki, — w jasne abecadło świata.

Dnia tego ludzkość od wieków już czeka  
i znaków jego szuka w każdym świecie —  
gdy zawikłane schematy człowieka  
w dziwnie spokojne ułożą się życie.

I Bóg podobno — czeka owej chwili,  
gotów wieczyste palić światu zorze.  
Lecz póki w sercach — śmiech się nie rozpyli —  
NAWET SAM STWÓRCA—NAM POMÓDZ NIE MOŻE...



VIII.

O Poetach, Strachach i  
Słonecznikach.





## MODLITWA POETY

Do Ciebie modlę się — Poezjo Bytu!  
nie jako inni — o moc i pieniądze —  
lecz o pieśń, w której dawno zabłądziłem  
i do dziś — błędny trubadur — w niej błądzę.

Wyciągnij ku mnie płomienne Twe ręce,  
Symfonjo słońc stu i stu światów Panie!  
Palce Twe rozpędź w duszy mej i zagraj  
piew — na mnie starym, kościelnym organie.

Bo oto jestem pełen dziwnych pieśni,  
śpiewanych w nocy najcichszym dyskantem,  
niby rozdarty śpiewnik prasłowiański  
zaklęty arją — w zegarze z kurantem.

A choć w mem sercu — jak w starej harmonji  
gra wciąż ksylofon rondo menueta,  
Ty ino słyszysz ton i Ty zachęcasz. . .  
największy Twórca, Pieśniarz i Poeta!

Przeto siądź przy mnie — Organisto Święty — !  
Zagramy „Burzę-Pieśń“ na cztery ręce,  
grzmiaćcą — jak wichur, co wszechświaty pędzi  
i tak cichutką — jak dziecięce serce.

Jeśli tą pieśnią ludzi nie wzruszymy  
i uskrzydłone nie wstaną kamienie —  
to wówczas — zniszcz mnie — jak stary futerał  
i pieśń mą zagaś . . . wieczystem milczeniem!

## ŁÓDŹ ZAPOMNIANA

Odeszłaś mnie — i długo już nie wracasz,  
sam pozostałem — żyję tylko w sobie,  
serdeczna moja snów i marzeń praca  
zgubiła drogę na gasnącym globie.

Łódź — co mnie w świat jak Magellana niosła,  
wpływa na jakieś nieznane bezdroże,  
przeto złożyłem w krzyż bezczynne wiosła  
i czekam — patrząc w noc — jak żeglarz w morze.

Wiatr — co mi żagle wzdymał jak łabędzie,  
ciszą bezdenną w sercu się rozlewa —  
wicher — co nosił mnie na gwiazd krawędzie,  
jakąś banalną pieśń o życiu śpiewa.

Może i lepiej tak — niż tak jak było,  
że otoczyła mnie nostalgia śpiewna —  
niech inni robią w tłumie głupców wyłom!  
ja — chcę zatracić się w falach i w mewach. . .

Bo wiem, że kiedyś przyjdzie prąd łabędzi,  
zrodzony w wyższych niż myśl ludzka sferach,  
uderzy w żagle i łódź mą popędzi  
w kraje olbrzymów — z baśni Gulliwer.

I wszystko małe, banalne i marne  
zostanie za mną we mgle i w podziwach —  
a ja, płomienny . . . wszechświaty ogarnę  
i będę szumiał pieśnią w prymitywach!

## CZARNY POEMAT

Gdybym w rycerskiej zbroi i szyszaku  
chodził i nosił błyszczący pugiuał —  
tobym przed wami karku nie ugiuał  
i was bym wyparł z obłądnego szlaku.

I pod tułowia waszych ciał opastych  
rzuciłbym takie niezniszczalne tany —  
ażby wasz pochód — połącane chamy! . . .  
stanął przy lampach ciemnych i wygasłych.

I po łbach twardych, które pycha pęczy —  
przeszedłbym ostrzem — niby nożycami,  
ażby wam w sercach, bijących czasami —  
zadrzał tajony skrycie — lęk zajęczy.

Ale że miecz mój rdza dawno pożarła  
i puginały nie są dzisiaj w modzie —  
przeto pójdziecie nieść w swoim pochodzie  
tłuste podbródki i krzyczące gardła.

Ja dalej będę rozmawiał z gwiazdami  
mową, — o której wam się ani śniło —  
i spoza grobu — jeszcze swą moglią  
rzuce w was! . . . Tak się zemszczę ja nad wami! . . .

A potem w czarne widmo się przemienię  
i co noc patrzeć będę w wasze okno —  
aż wam ze strachu serca w krwi rozmokną,  
aż uwierzycie — w ducha objawienie! . . .

## STRACHY

Nie można służyć dwóm przeciwnym siłom,  
dwóm panom palić dwie lampki oliwne.  
Tak będzie wiecznie, jest i zawsze było,  
takie są życia antytezy dziwne.

Orzeł — co mieszka na odległych gwiazdach  
i na planetach w locie wypoczywa,  
na słońcu wije swe płomienne gniazda —  
z pogardą patrzy na wróble w pokrzywach.

Ranek — co w świtach nowe dni zapala,  
słonecznym pyłem nad ziemią się przędzie —  
będzie powracał — jak wieczysta fala,  
gdy was i waszych rachunków nie będzie.

Poeta — choćbyście go nie poznali  
i pomniejszyli w ułamki dziesiątne —  
w nowy prymityw ognia się zapali,  
bo on jest wami . . . i serc waszych tętnem . . .

Możecie rąbać go siekierą zimną,  
możecie głowę ściąć mu w gilotynie —  
duch jego wyjdzie zeń kolumną dymną,  
a z serca — zamiast krwi — pieśń mu wypłynie.

I nieskończona — w słońce się ulotni,  
wsiąknie w okapy domów i poddaszy,  
a gdy spać będą wasze czarne sotnie . . .  
będzie nocami krzycheć — i was straszyc!

## POECI

Żyje na świecie wagabundów zgraja,  
zgubiona w sobie — jak wśród nocy dzieci —  
i w najmądrzejszych i w najgłupszych krajach  
grasuje plaga ta — zwana: — poeci. . .

Taki syn — gdy się raz niebem zachłystnie  
i raz upije zorzy seledynem: —  
gwiazdy kraść będzie — jak dojrzałe wiśnie,  
błękitem sycić pragnienie — jak winem.

Na słońce będzie czatował o wschodzie,  
wieczorem zerwie pióropusze zorzy —  
księżyc ukradnie w ciemności — ten złodziej,  
leń gwiazdożerny . . . wagabunda boży!

Można mu złotem brząkać, jak gitarą,  
można mu drogę usłać banknotami —  
on będzie łowił nosem woń oparów  
i pójdzie — depcąc złoto — za gwiazdami.

Taki to już gatunek zatracony,  
że choć posiada pół nieba i słońce —  
rozdaje chętnie gwiazdy — jak lampiony,  
a sam . . . pijany słońcem — śpi na łące. . .

I jest bogatszy niż kalif Bagdadu,  
(chociaż największym jest rachmistrzem biedy)  
gdy z waszych banków nie zostanie śladu —  
on będzie zawsze miał — u Boga kredyt. . .

## CODZIENNOŚĆ POETY

Ledwie świt niebo wschodem zaróżowi  
i spąsowieją w słońcu czuby drzewa —  
poeta wstaje — myje się, podstrzyga  
i, ukradzione nocy, strofy śpiewa.

Hej, ha! . . . wskakuje pod prysnicę zimną,  
hasa po wannie, nosem pyrcha — parska —  
wdziewa koszulę . . . (jeśli ma) . . . i surdut,  
przyszywszy najpierw guzik — do naparstka.

I wylatuje jak bomba w podwórze,  
łokciami chmury mierzwi i roztrąca —  
maluje słońce na zielonym murze  
i — na śniadanie — pije kufel słońca. . .

Słońcem — jak szyld lampami rozjaśniony —  
biegnie ulicą na pola i żyta,  
rozśmiesza sobą świat handlem znudzony —  
całuje drzewa — kwiaty czapką wita.

Kładzie swe ciało natchnione na łące  
i nosem łowi roztańczone chmurki —  
perły rosiste zgarnia i rozrzutnie  
sieje na pola, doły i pagórki.

Dziwi się tylko, — że świat tak zajęty,  
gdy on ma tyle czasu do stracenia —  
i myśli — jaki statut przeforsować,  
by zaprowadzić wszech-system marzenia.

## WIELKI BOGACZ

Wielki majątek — bogactwa bez liku  
nosi poeta w kieszeni swej togi,  
która — choć zwiewna i niema guzików —  
daje mu postać generała Nogi. . .

Wszystko, co mogą wymarzyć giełdziarze  
i co w swych szafach kryją wielkie banki —  
zawsze mieć może i biedaków darzyć,  
ten wielki magnat i hrabia birbancki.

Podróże — w bajki żeglarza Sindbada  
może brać kiedy chce — na zawołanie,  
na ziemi wsiada, na słońcu wysiada —  
i podróżuje w wytwornym pullmanie.

Gwiazdy przesiewa rzeszotem — jak mąkę,  
słońce — jak bochen chleba nożem kraje,  
sny łuszczy nocą — jak szafirów strąki  
i po królewsku szeroko rozdaje.

Można mu ukraść skarbiec jego złoty,  
pisany słońcem na kajecie duszy —  
on — jak Hudini — wytrząśnie klejnoty  
ze swych magicznych, starych kapeluszy.

Myślę — iż kiedyś tak się rozpienięży,  
że świat zakupi za sny i miraże —  
i wysłoneczni, rozzwoni jak wieżę —  
i Bogu da — na imieniny w darze. . .

## POETA CNOTLIWY

Zdarza się nieraz poeta cnotliwy,  
który — choć panem jest niebieskich włości —  
bywa w jedzeniu, tańcu powściągliwy,  
nie chce pić, palić — i surowo pości.

Lecz przy tem sztuki czarodziejskie płata,  
ukradkiem wpada w egzotyczne grzechy —  
swą rozrzutnością porwany dla świata  
rozmarnotrawia strof i wierszy przepych.

Puszcza się wówczas jakąś krętą drogą  
na wzór błędzących z małpą kataryniarzy —  
i jeśli spotka na swej drodze kogo,  
zaraz go śmiechem zaraźliwym praży.

Idzie na place, na ulice, skwery  
i rozrzutnością swoją dalej grzeszy,  
wyszczorza zęby — jak kaloryfery  
i szczęka niemi — jak klucze w depeszy.

A kiedy spotka kogoś płaczącego,  
bierze za rękę — prowadzi w kąć ciemny —  
i — jak kusiciel — namawia do śmiechu...  
Zapowietrzony ten zbrodniarz podziemny!

I swoją śmieszna filozofję gderze,  
najdziwaczniejszą bajkę z wszystkich bajek: —  
że więcej szczęścia ma — nie ten, kto bierze,  
ale ten właśnie — kto mając... rozdaje!



## ŚMIESZNY DYPLOMATA

Z torbą wypchaną planami śmiesznymi,  
jakimś bezładnym objazdem dalekim —  
krąży po wszystkich kapitolach ziemi,  
Dyplo-Poeta . . . minister bez teki.

Świadom najskrytszych układów i planów,  
wtajemniczony w dziwaczne aljanse —  
chce raz — zielenią kwitnących zagonów  
pokryć fort-nory . . . i zawzione szańce.

Ministrów kusi, kradnie im podpisy,  
paktuje, knuje — kombajny, intrygi,  
działa tajemnie, wchodzi za kulisy  
i w stu językach rozmawia — na migi.

Prętem słonecznym przemierzył już kopce,  
wie czyje po tej i po tamtej stronie —  
rozdaje naftę, gumę i surowce,  
wyspy, mandaty . . . ba! — nawet kolonje!

W czarnym cylindrze, w fraku śmiesznym w kroju —  
roboty pełną ma głowę i ręce —  
majaczy wiecznie — o wiecznym pokoju,  
knuje tajemne ludów konferencje.

I tak już będzie paktował i latał —  
i tak wsłuchiwał się w serc ludzkich ciszę,  
aż — świat zbratany — z Bogiem wreszcie zbrata  
i wszechwieczystą umowę podpisze.

## CZARNOKSIĘŻNICY

Gdy noc rozpostrze swe skrzydła pierzaste  
i lampy w rzędach staną na ulicy —  
schodzą się — w ciemnym miejscu — poza miastem  
żonglerzy słów i snów czarnoksiężnicy.

I zaczynają swój seans straszliwy: —  
wążają kwiaty, wyłazą na stogi,  
falują żyta, podlewają iwy  
i wyściełają tęczę — ciemne drogi.

Koszą rumianki, macierzanki, siano —  
i słoneczniki wiążą w grube pęki  
i wysyłają — pocztą zakazaną —  
ludziom . . . z przestrożą — „To Od Czarnej Ręki“ . . .

Potem wychodzą na ruchliwe szosy,  
tam — zatrzymują pieszych i pojazdy,  
każą podróżnym wążać traw pokosy —  
całować księżyc i połykać gwiazdy!

A o północy — zejda się pod lasem,  
wrzaskiem okropnym rozpruwając ciszę —  
i kult swój ciemny zakończą seansem,  
zatańczą przytęm — skacząc jak derwisze.

Jeśli ich kiedyś nie wytropią władze  
i nie zakończą czarnoksięskich grzechów —  
świat zaczarują i ludzkość sprzedadzą  
w niewolę czarnej magji — serc i śmiechu . . .

## HANDLARZE ŚMIECHU

W każdym jarmarku i na każdym rynku,  
gdzie tylko przemysł kwitnie, szumi handel —  
spotkać ich można — (gdzieś w pobliżu szynków)...  
handlarze śmiechu i żonglerów bandę.

Pod pachą noszą dziwne zawiniątka,  
przechodniów gestem znawców oceniają —  
długo wpatrując się z swego zakątka  
okiem wytrawnych — a chytrych szachrajów.

Chodzą — trącają ludzi — i cichaczem  
szepcą tajemnie: — Chcesz pan kupić szczęście?...  
Sprzedam i tanio... na spłaty, na raty...  
A przyda ci się — codzień i przy święcie...

Kup, bracie, uśmiech i zawieś na twarzy...  
dobrze ci będzie z tem — i malowniczo,  
lżejszymi staną się życia bagaże —  
i — uśmiechnięci... gwiazdy odziedziczą...

I tak się włóczą natrętnie, od rana,  
kusząc — by każdy uśmiech sobie kupił...  
wreszcie chowają swój towar w straganach;  
bo któż to kupi?... wszak dziś niema głupich...

Ale jest Kupiec — Wielki i Bogaty,  
znawca przedziwny serc ciepłych i bratnich!  
On — kupi szczęście na niebieskie raty —  
dobrze oceni i grubo zapłaci!

## GRACZ SŁOWA

Wysubtelnioną grą słów obosiecznych,  
jak sztygar skałę stalowym kilofem —  
patrycjusza i plebejów siecze,  
jak gauczo batem — prętem ostrej strofy.

Czasem podniebne pieje dytyramby,  
a czasem gładką ślizga się satyrą —  
w iskry zamienia błyskotliwe jamby,  
skrzydła przypina podskocznym daktylom.

Jak z walcem Straussa — ujętym pod pachę,  
tak on z swą sztuką chodzi rozśpiewany,  
aż wywijasem chwiejnym amfibracha  
w takt podrygują kwitnące kasztany.

Czego nie mogą wydudnić maszyny,  
ani wyszumieć szeptem liści drzewa —  
on czterowierszem lub strofą sekstyny  
w niespodziewanych półsłówkach wyśpiewa.

Tam — gdzie kark łamią prozy zimne sztormy  
i gdzie bezsłowną jest klarnetów mowa —  
on trochej blaskiem wypieszczonej formy  
zaklnie w błagalny krzyk żywego słowa.

Kiedyś — gdy jasnym stanie się cel wieków  
i wybieleje w słońcu życia temat —  
usiądzie w ciszy krępowych smereków  
i świat zamieni — w Przedziwny Poemat.

## DZIENNIKARZ NIENAJĘTY

Zatraconemi w błękitach drogami,  
zbląkany w szumie dni i życia krzykach,  
okrętem, który niema swej przystani —  
krąży po świecie — dziwaczny dziennikarz.

Nikt go nie najął i nikt mu nie płaci  
wydatków drogi ni miesięcznej gaży —  
choć listy jego — słonecznych połąci  
pełne . . . są szczytem ludzkich reportaży.

Z pełnym sensacyj serdecznych — kajetem,  
wtajemniczony w serc najgłębszą ciszę —  
w drukarni bożej dziwną swą gazetę  
zczionkami gwiazd — na firmamencie pisze.

Na mlecznej drogi pasie papierowym  
kreśli przedziwnych powieści prędziwo;  
wynałazł nawet system pisma nowy,  
najcudowniejszą pisany kursywą.

I tam wysyła swe korespondencje  
i nieczytane przez nikogo listy —  
w mistyczne jakieś zaplótł je sentencje,  
wypromieniował sercem — w słup ognisty. . .

Gdy w gruzach czasu legną biblioteki,  
kultura zgaśnie w ostatniej iskiecce —  
reportaż jego — odczytają wieki  
i w nim odrodzi się ginące serce.

## POETOREADOR

Jak na arenie hiszpańskiej — wśród byków,  
z połyskującą w słońcu ostrzem szpadą —  
stoi w poszumie krwi pragnących krzyków  
największy serca — poetoreador. . .

W kurzawie walki i w płaszców czerwieni,  
na tratowisku ludzi-aparatów. . .  
on — konkwistador — z rękami w kieszeni  
wibruje śmiechem w pysk całemu światu.

Po przemoczonym krwią i łzami piasku,  
na chudych koniach — lecą pikadorzy,  
rzuceni w walki wir magnezą wrzasków,  
śmiechem czerwonych warg z królewskiej łoży.

Padnie napewno . . . pod bestji przemocą. . .  
jak dąb strzaskany nawałnicą pada —  
w słońcu guziki srebrem zamigocą  
i jak szkło pryśnie w rękę — pióroszpada.

Koń pikadorski zwlecze go z areny  
i przyjaciele na stypę się zbiorą,  
a w cyrku dalej wyc będa *carmeny*  
i racicami piasek ryć — *el toro*. . .

Jak błyskawica — zgaśnie pamięć o nim,  
śpiącym pod brzozą — na wzgórzu cmentarnem;  
nocami tylko . . . Pieśń mu będzie dzwonić  
płomiennooka — czarnowłosa *Carmen*. . .

## NAPAD RADOŚCI

Niezaproszeni i niepożądani,  
w kłębach fantazji i w różowym pyłe —  
idą ku miastu krętymi drogami  
wedrownych kłownów śmieszne wodewile.

Nadejście wieszczą muzyką i śpiewem!  
Wchodzą już w rynków i placów rotundy —  
rozwgar bulgotem w podwórza się wlewa  
i podzwaniają jak gongi — sekundy.

Radość w ulicach szumi . . . radość-burza!  
Natchnienie drzewa trzęsie za czupryny,  
szyldy ożyły — skaczą po nadmurzach  
i serca wałą w krtań — jak kolubryny.

Chmurki, miesięczną bielą wysrebrzone  
mlekiem spływają na ciemne poddasza,  
ulica pachnie chlebnym cynamonem,  
a głodni gwiazdy łykają — jak kaszę.

Kulawi tańczą na drutach kadryla,  
pomniki chodzą z pospółstwem pod rękę,  
bezdumni smacznie śpią w wytwornych willach,  
ślepi portfele — w śnie — łowią na wędkę.

Krzyk jest wspaniały — i niema co mówić  
serca wam z piersi jak fasolę łuszczy.  
Lecz baczcie — aby w roztańczonym tłumie  
nie stał się głosem . . . krzyczącym na puszczy!

## WSZECHPIEWNOSĆ

Wszystko jest pieśnią i wszystko muzyką,  
czego dotknęła twórcza ręka Boga: —  
gwiazdy najdalsze i słońca płonące  
i chabry w łąkach — rosnące przy drogach;

kaskady rzek, dudniące po urwiskach,  
morza — co w wiecznych szumach się bałwanią,  
świerszcz śpiewający nocą w uroczyskach  
i rozpachnione cząbrem świeże siano.

Dęby szumiące pod pełnią miesiąca  
i wątle trawki w pustynnej ustroni —  
są jak przedziwna wiola grająca  
solową partję w odwiecznej symfonji.

Nic to nie znaczy, że ludzie cieleśni,  
zgubieni w życia bezcelu dalekim —  
nie widzą tonów i nie słyszą pieśni. . .  
Ona jest — wieczna, bo grają ją wieki.

Najrealniejsze są bowiem te rzeczy,  
których nie widzi nikt — i nikt nie słyszy;  
w układzie dni, lat, wieków i wszechwieczy —  
w nich to najśłodsza gra melodia ciszy.

I gdy już wszystko — jasne i realne  
w cyklu kolejnych przemian snem się prześni: —  
one powstaną — głośne i widzialne. . .  
w cudownych formach wiecznie żywej pieśni!



## SŁOWO

U prapoczątków — było tylko Słowo...  
i zeń — w kolejnym cyklu zmian i rzeczy  
powstały — ruch, czas... i linią pionową,  
z woli najwyższej Słowa — byt człowieczy.

Z Słowa wyrosła — w ogniu słońc — materja,  
siłą kosmiczną związana z gwiazdami —  
w miliony światów — w milion tęcz... w misterja  
ponad gwiazdami i nad aniołami.

A jako źródła bijących z wieczności  
wszechświat nie stłumi i czas nie wyczerpie —  
Słowo wcielone w ludzkość wciąż się wznosi  
wizją Dziewicy — na miesięcznym sierpnie.

Gwiazdy widzialne — choć dawno zagasłe —  
i te — co w orbit smugach drogą nową,  
cyrklem wkręconym w eliptyczne pasy  
pędzą... bo pędzi je wszechwładne Słowo.

Wszystko powraca do początku swego,  
cokolwiek w ruchu kręgów wir unosi,  
po dokonaniu sferycznego biegu —  
wróci w punkt wyjścia — w KRZYŻ — Centralnej Osi...

I tak się kiedyś wszystko ziści w Słowie  
w najprzedziwniejszym wszech-harmonji planie,  
gdy — jako stan się — Stwórca: PRZESTAŃ... powie  
i Słowo w Słowie Słowem Słów się stanie...

## PIEŚŃ KWITNĄCA

Oczarowała mnie samotność śpiewna,  
poszumem kaskad bijąca po wiekach,  
wyrosła w pyle gwiazd i w słońc odlewach,  
zakłęta słowem w trzon serca człowieka.

Siadł bowiem przy mnie Organista Święty...  
o struny serca mego lekko trąca,  
więc gram i śpiewam — jak dzwon wniebowzięty,  
pełen melodyj i szelestów słońca.

Pod ciepłym bożych rąk dotykiem smyczka  
pieśnią się stałem czarodziejskich skrzypiec,  
jak pełna kolęd — przedziwna kantyczka  
i jak sycony miodem pszczelny lipiec.

Nie wiem skąd płynie ta dziwna *canzona*,  
gdzie jest jej finał i jak się poczyna?  
Wiem tylko jedno: — drzę jak nastrojona  
na koncert duchów — żywa mandolina.

I czuję — że mej pieśni skrzydła rosną —  
śnieżno-różowe... ogromne — jak tęcze...  
że — jakąś słońcem rozzłoconą wiosną —  
zakwitnę w sobie — jak w uśmiechu szczęście!

I wiem — że kiedyś ton się ucieleśni  
i będzie chodził po ziemi widzialny: —  
wówczas — z rąk ludzkich — umoczonych w pieśni —  
zamiast bagnetów — poczną rosnąć palmy...

IX.

Na Klawikordzie.



## NA KLAWIKORDZIE

Na klawikordzie — Bóg gra hymny,  
po strunach lat melodja leci —  
płynie nad ziemią pośpiew dymny  
wzdłuż dni, er, wieków, tysiącleci.

Po dniach, jak po klawiszach białych,  
po czarnych nocach — jak półtonach —  
prześwietla się melodja chwały  
harmonją gwiazd błogosławiona.

Śpiewność po łąkach płynie szumna,  
kwiatem jabłoni gra po sadach —  
w błękity rośnie słów kolumna,  
osypem gwiazd na serca pada.

Echem antyfon nieskończonych  
odbija się od słońc płonących,  
na gongach tęcz wydzwania tony —  
Boga z człowiekiem — w wieczność łączy. . .

# ŻYCIE

W bólach człowiek się rodzi,  
żywot pędzi w męce —  
głową niebo dziurawi,  
w bagnie nurza ręce. . .

A gdy — rosnąc w potęgę  
ziemski glob rozpiera —  
czynem jego największym  
jest ból — gdy umiera. . .

## FABRYKA

Stoją i patrzą —  
i śledzą — z daleka...  
wzrokiem oliwy pełnym,  
(ludzie — manekiny!)  
nie poto, by maszyna  
nie zmełła CZŁOWIEKA,  
lecz by człowiek — broń Boże —  
nie zepsuł MASZYNY...

## WIARA

Gdy przyjdiesz do mnie z daleka,  
ze światów — których nie było,  
po długich marzeń wiekach  
snów wiecznych drogą zawiłą: —

zapukaj lekko w wierzeje  
palcem bezmownej ciszy —  
dusza ma — śniąca o Tobie  
pozna Cię i usłyszy!

Bo oto zasłuchany  
w głosy nieistniejące —  
słyszę Twój szmer mistyczny  
i widzę oczy Tve płonące.

Czekam już od tak dawna,  
pożądaj z taką siłą —  
i wierzę, że przyjdiesz — przyjść musisz —  
choćby Cię nawet — nie było! . . .



## DROGOWSKAZY

Są drogowskazy znaczące rozdroża,  
w przetopie światów ulane z granitu,  
które Opatrzność postawiła Boża —  
jak kopce wieków — na drogach wszechbytu.

Są drogowskazy ludzkości stawione,  
by dać idącym poznać kędy droga;  
to duchy w ogniu życia wysrebrzone,  
co z Boga wyszły — i dążą do Boga.

A ludzkość, patrząc w ich myśli i czyny,  
zdumiona — szumne podnosi okrzyki,  
czoła ich zdobi w złociste wawrzyny,  
piersi w ordery — i stawia pomniki.

Lecz Bóg — co głębie ich serca wyszperał  
i w słupach ognia tam wieczność zobaczył —  
dał im już order — On, Wielki Generał...  
odlał go w słońcu — i Sam ich odznaczył.

## MŁYNY BOŻE

W wszechświecie miłą młyny boże,  
w gwiazdach kosmiczne huczą żarna —  
choć mąka biała — złote zboże —  
przeszłość i przyszłość... czarna, czarna...

## NA JASNYM BRZEGU

Plaża nagrzana słońcem  
połyka namuł lepki —  
pływacy w namokłych kostjumach  
czernią się — jak żywe wysepki.

Po ciężkiem dnia utrudzeniu  
spoczęli na jasnym brzegu —  
i zapomnieli o jutrze  
w leniwym krwi obiegu.

Z oddali miasto wzywa  
turkotem kół po szynach,  
a woda szumi sennie  
i — wieczność przypomina.

## NA PLAŻY

Z daleka przynieśli swe smutki  
i pogrzebali je w piasku,  
przykrywszy białymi płachtami  
ciepłych, słonecznych blasków.

W chłodzistym bulgocie wody,  
w rozpiętych żaglach flotylli —  
boleści codziennej powody  
obmyli i utopili.

I nikt pamiętać już nie chce  
o kupnie, wymianie, sprzedaży —  
w pobzykach much zginęła  
pamięć o życiu . . . Na plaży.

## POTĘGA ZIEMI

W zawrotnej oddali kosmosu,  
wśród er, tysiącleci i wieków chaosu —  
pyłek atomu w bezdna czasu padł: —  
to ziemia nasza — to nasz świat!

## POGOŃ

Człowieku!  
Szybkobiegaczu niemrawy —  
pędź dżunglą życia — jak meteor po niebie!  
Może wyprzedzisz swe doniosłe sprawy —  
może . . . (kto wie) kaleko —  
dogonisz wreszcie SIEBIE!

## ŻYCIA KRZYŻ

Wciąż mi się zdaje, że już byłem  
w tem nieuchwytnem, mglistem gdzieś —  
i ślady swe pozostawiłem —  
dom ostrzeszony, smętną wieś.

Stale mi coś się przypomina,  
okrętem z białej płynie mgły —  
pociągiem złud po lśniących szynach  
pędzą wspomnienia, mary, sny.

Nie wiem — powracam, czy odjeżdżam,  
upadam w dół — czy lecę w zwyż?  
I w tem jest cała moja nędza —  
i w tem jest wieczny życia krzyż!

## POSZUKIWANIE

O każdym świecie, w rannej ciszy,  
gdy świat znudzony życiem śpi,  
wyruszam w podróż gorączkową —  
szukać zgubionych snów i dni.

Idę — i siebie wciąż spotykam. . .  
Któżby nie poznał, że to ja —  
człowiek zgubiony bezpowrotnie  
w słońcu muzycznym, w płynnych snach.

Kto mnie odszuka — wyprowadzi  
na linję gwiazdno-mlecznych dróg?  
Zgubiłem się w zgubionym świecie  
i nie wiem czy mnie znajdzie — Bóg!



# ŚWIT

Ziemia —  
wielka, pękata basetła,  
poranek —  
srebrny smyczek: —  
Bóg ujął smyczek w rękę i hymny wyświetla  
na strunach chmielowych tyczek. . .

## ANTYFONA

Gdy znowu kiedyś będziesz Stwórco  
męczył się i trudził,  
by życie nowe stworzyć jeszcze  
po strasznej rozterce —  
to nie twórz więcej „nadczłowieków,  
ino zwykłych ludzi  
i włóż każdemu w piersi zimne —  
ciepłe ludzkie serce!

## TYLKO TAKA

Wiosna jest wonna, kwietna i zielona,  
rozszczebiotana, śpiewna — ale cicha —  
gorącą falą chodzi po zagonach  
we dnie, a w nocy — śpi w lilij kielichach.

Wiosna jest słodka, miodonośna, lśniąca,  
zielna i pszczelna i w sokach rozlana —  
noce wysrebrza pobłyskiem miesiąca,  
świty wyzłaca na słońcu co rana.

Wiosna jest śnieniem — lirycznym zjawiskiem,  
duchów uśmiechem — objawą świetlaną,  
bajką zieloną — i Stwórcy odbłyskiem. . .

Lecz tym — co z zimna kurczą się pod ścianą,  
czekając przyjscia jej, z sercem zakrzepłem: —  
wiosna jest tylko — ciepłem. . .

## ŚNIEG

W pylących płatków zawierusze  
prószy i ściele się po ziemi —  
puszyste dzierzga pióropusze  
na polach łysych od oziemin.

Oblepia drzewa, słupy, domy,  
w szczeliny, w szpary ulic wsiąka —  
realny świat — już nie widomy,  
ziemia — to z baśni dziwnej łąka.

I wybieliła się codzienność  
w pałac cukrowy Aladyna —  
biała jest nawet nocy senność,

i w bieli smutek się poczyną —  
i bielą przyszłość jutra prószy...  
Czemuz nam nie wybieli duszy?

## PROŚBA O CISZĘ

Przyjdź do mnie czasem o słońca zachodzie,  
kiedy się niebo w zorzach rozpurpurzy,  
a ziemia rzuci warkocz cienia duży —  
i dzień przystanie w wiecznym pochodzie.

Przyjdź do mnie wówczas i chłodne twe ręce  
połóż na skronie me życiem znużone  
i sny wywołaj — od wieków nieśnione  
i przyszłość zapal płomiennych zjaw wieńcem.

Bo oto jestem jak anioł strącony  
z wyżyn nadgwiezdnych — na ziemi rozłoża...  
Jest nas przybłądów takich miliony,

jak gwiazd rzuconych w najdalsze rozdroża.  
Duchy nam w słońce po błękitach pną się,  
a ciała żyją w bezdennym chaosie...

## SEN NIEDOŚNIONY

Śnił mi się sen o wielkiej ciszy: —  
szła świtem — po tęczowych łukach,  
jak pieśń odcięta od klawiszy,  
jak baśń — co barda z lutnią szuka.

A za nią szedł korowód długi  
myśli — o których świat nie słyszy —  
i lały się błękitne strugi —  
i dudnił rytm psalmodyj mniszych.

Chwyciłem więc formingę w dłonie,  
palce oparłem w strun rozpięcie,  
aby wyśpiewać w unisonie

myśli zgubionych wniebowzięcie.  
A gdy już miałem pieśń zadzwonić,  
ujrzałem . . . Nie mam rąk ni dłoni . . .

## O PIĘCIU POCAŁUNKACH

Jest pocałunek słodki i kojący,  
pachnący miodem — jak liljowe płatki,  
jak promień słońca na wietrze lecący: —  
to pocałunek kochającej matki.

Jest pocałunek, co jak motyl lata  
nad łąką — gdy się w słońcu rozkołysze: —  
to pocałunek siostry, albo brata,  
rodzący w sercu myśli bożych ciszę.

Jest pocałunek — co serce przepala  
ogniem błyskawic w burzliwe poranki,  
jak woń jaśminów, jak gorąca fala: —  
to pocałunek płomiennej kochanki.

Jest pocałunek gorzki, jak cykuta,  
co serce dusi — aż się rozsżkarłatni,  
smutny — jak śpiewność w kajdany zakuta: —  
to pocałunek śmierci — ten ostatni. . .

Ale jest jeszcze pocałunek taki,  
co się rozpływa w błyskach słoneczności  
tam, gdzie na gwiazdach anioł pisze znaki: —  
to pocałunek mistyczny — wieczności!

## POŁÓW WIATRU

*(Transkrypcja z wiersza Stephen Andersona)*

Dziś pójdę wiatry łowić. . .  
w poły podwiewnej mojej chałateli  
będę zgarniał poszumy i blask śnieżnej bieli.

Trawiony trudem — kłamię żywot duszny,  
gęstość powietrza, co mi płuca żarła. . .  
Tak! Klęło nas dwudziestu przez rur oschłych gardła!

Słyszycie? Oto w węglach domu świszczę!  
Pójdę i połknę haust słodki z zachłystem,  
przewietrzę rury — i puszczę z poświestem.

Boć nie zużyłem jeszcze mojej schedy.  
Ozon falisty po świecie się tłucze —  
schwytam go — płuca i piersi przepłuczę!

A gdy dwudziestu nas łapaczy słońca  
pocznie frymarczyć ozon w karaweli —  
dom nasz i dusza w słońcu się wybieli.

Wyprostujemy w garb zagięte plecy,  
po dniu utrudzeń pełnym i hałasu —  
chłaśniemy życiem w pysk — technikę czasów! . . .



## ROZPACZ

Powstałem z dna letargu,  
spęczniałymi ramiony żylastych mięśni  
rozparłem własny tułów...

Podarłem przeszłość całą — jak fałszywą mapę  
i zatrzęsłem mój dom, jak Samson pułapem  
i trzasłem w stół pięściami z tak nadludzką siłą,  
że pięści już, ni stołu, ni huk — nie było...  
a wzniosłem już nie pięście — ale dwa ochłapy,  
krwią czarną, ciepłą kapiące,  
dwie straszne żagwie gorące...  
i trząsłem kikutami, rozpaczliwym gestem —  
krzycząc: — kto jestem... kto jestem?...

A oto ciszą wieków bluznęła słoneczność,  
tęcza wirujące kręgi —  
kwitnące boże łęgi  
i wieczne — a wciąż nowe ducha widnokręgi...

I ktoś przysunął się ku mnie —  
i lał i sączył w duszę mą słoneczność  
i szeptał: —  
jesteś NICOŚĆ i WIECZNOŚĆ...

## O CHLEBIE NA GWIAZDACH

O Duchu Jasny i Biały!  
wiem, że gdzieś jesteś,  
bo oto czuję,  
że wieczność Twa wśród gwiazd koczuje —  
zefiry Twe chłodzące serce me owiały.

Pozwól niech się przysunę  
i w cieniu Twym usiędę  
i troski me opowiem —  
nie wiele mówić będę. . .

Na rozłożyskach błękitów dalekich  
tysiące akrów masz nieba —  
mleczne rzeki Ci płyną  
i nowe gwiazdy obradzają wieki,  
gdy stare, przepalone ogniem czasu giną;  
miljony skrzydlatych siejbiarzy  
chodzi błękitem w rozświtach i wiecznie  
siej Aurore Borealis,  
aby Ci było jasno i słonecznie —  
to wiem —  
mówił mi o tem raz Święty Paschalis.

Tam, gdzie tysiące słońc ognistych płonie  
i gdzie się wszechświat przelewa w bezmiary —  
podziel Twe jasne niebo na kolonje,  
na farmy wymierz gwieździste obszary  
i rozdaj ludziom na wieczystą własność —  
bo patrz! na ziemi jest nam już za ciasno. . .

Niech siewcy przyjdą i w tę szachownicę  
wsieją pszenicę —  
niechaj oracze  
ruszą niebieskim szczytem  
i żyzny błękit zagonów  
zasieją żytem —  
i niech się wszechświat  
jak płótno Arachnie  
rozzłoci w łany...

---

Zobaczysz, Boże — w niebie milej będzie,  
gdy żyto chlebem — na gwiazdach zapachnie.



X.  
Album Najmilszych  
Pamiętek.

*Stefci: —*

*Za niezłomną wiarę w tryumf słowa twórczego i za krzepienie ducha w momentach zwątpienia i apatji.*



## DOM POD SŁOŃCEM

Dom mój jest pełen śmiechu — jak ogród zapachu,  
radość srebrzy w nim kąty i wyłacza sprzęty,  
w nocy bieli się nowiem, w dzień paruje z dachu,  
jak obłok pełen słońca na wietrze rozpięty.

Gdy świt ranne opary kremowo zabieli  
i wrzawą dnia do wnętrza domu chluśnie oknem,  
skaczę w słońce jak biegły nurek do kąpeli  
i jak pączek wierzbowy w bieli ciepłej moknę.

Śpiewam pieśni — choć nie wiem sam po co i komu,  
pełne śmiechu, pachnące macierzanką strofy —  
aż poemat okrętem chwieje się po domu  
i jak łodzie pływają — szafy, stoły, sofy.

Potem biorę swe życie — niby śpiewną bajkę,  
sakwy słońcem wypełniam — idę senną drogą —  
i rozdaję śmiechliwe niezapominajki  
tym, co śmiaćby się chcieli — a śmiać się nie mogą. . .

Garście pełne radości biorę i rozrzutnie  
sypię na trotuary słoneczne dukaty;  
niech bierze każdy — biedny, zapomniany, smutny  
i śmiechem szczerozłotym niech będzie bogaty!

Każdy może mieć taki dom — takie poranki —  
musi tylko wyważyć sercem drzwi skrzypiące,  
podnieść w górę żaluzje, rozgarnąć firanki  
i zaprosić do wnętrza — przestrzeń, wiatr i słońce!

## RACHUNEK SERDECZNY

Mam album, w którym wszystko piszę dokumentnie,  
jak buchalter w bilansie zrównanym do centa —  
w najdrobniejsze pozycje, w kolumny rozpięte  
notuję i o wszystkim troskliwie pamiętam.

A więc lampę przykrytą białym abażurem,  
pod którą siedzę w długie zimowe półmroczka,  
stół schowany pod kapą — jak mnich pod kapturem  
i obraz ze staruszką o płomiennych oczach.

Gablotkę obarczoną ksiąg mądrym ciężarem  
i okno — skąd napływa życia melancholja,  
wazonik, w którym siedzą dwa kaktusy stare,  
roz tęsknione do preryj, zapatrzone w pola.

Fortepjan roześmiany zębami klawiszy,  
plikę nut, z której śpiewa mi KTOŚ BARDZO MIŁY  
i zegar prętem czasu mierzący snów ciszę,  
na taśmie zdarzeń śmiesznych i strasznie zawiłych.

Drobnostki nic nie warte, kartek zatrząsienie,  
rytmem zakłęte w pieśni, spowite w miraże —  
niby tęcze wprawione w słoneczne promienie,  
które kocham i których — ludziom nie pokażę. . .

Wszystko to mam w albumie mych śmiesznych pamiątek,  
zapisane wzorowo w sekcje i pozycje —  
jestem bowiem dziwakiem, który snów majątek  
w szkatule serca chowa — i jak skarby liczy. . .



## ZEGAR

Z czarnymi wskazówkami, zadartymi jak wąsy,  
na przykucniętej w kącie płaskiej etażerce —  
stoi mój budzik stary — śpiewak srebrnogłosey  
i tyka — jak serce . . . jak serce . . .

Oczami schowanemi w kluczowych otworach,  
przykrytych kapturkami dzwonka — jak spod powiek  
patrzy w głębie mej duszy z taką melancholją,  
jak stary, zabłąkany w obce kraje człowiek.

Kreskami czarnych sekund błyska jak ząbkami,  
wgryza się w pomyłony czasu kołowrotek,  
na motowidło godzin zwija monotownie  
sny i marzenia moje — w posrebrzany motek.

Pieśni niewyspiewane, pogubione w życiu —  
jak perły w muszli serca przez Boga zamknięte,  
skanduje w każdym ruchu, w każdym dzwonka biciu  
i unosi w dal wieczną rytmicznym tętentem.

Pokój napełnia szmerem szeptów tajemniczych,  
przypominając dziwnie wymownym szelestem,  
że wszystko jako było — jest i będzie niczem  
i niczem tylko — ja jestem . . .

Czasem zadzwoni krótkim, przełęczonym dźwiękiem,  
jakby przeczuwał nagle, że nic życia przędzie,  
że słońce kiedyś zajrzy światem do pokoju,  
w którym już ani jego — ani mnie nie będzie.

## FOTEL

Mam kącik w moim domu — cichy, ukochany,  
a w nim duży i ciepły — jak dłoń matki — fotel,  
w drzwi wpatrzony, w szmer klamki pilnie zasłuchany,  
oczekujący na mnie i moją tęsknotę.

Gdy wieczór tłumem cieniów wtoczy się do wnętrza  
i to — co jest realne — zmiesza z bagatelą  
i miastem snów płonących w siną dal się spiętrza,  
wówczas siadam pogwarzyć z mym bratem — fotelem.

Jak ojciec syna bierze — on mnie — na kolana  
i pluszowe swe ręce kładzie mi na skronie.  
Ja mu skarżę się . . . Mówię o tajemnych planach  
i o wiecznej poździe — co w mem sercu płonie.

Otwieram mu swą księgę śmiesznych poematów,  
o strofach pogubionych, nieskończonych pracach,  
o tworzeniu się nowych, nadkosmicznych światów,  
które wieczność buduje — a człowiek zatracą.

A on szeptem mi o tem — że sprzęt nawet lichy  
ma swe doniosłe miejsce w życiu i znaczenie —  
i skanduje drewnianogłose akrostychy,  
że niby nic nie ginie — cokolwiek się stanie!

Ach ileż to już razem gwieździstych wieczorów  
przegwarzyliśmy — knując śmieszne poematy —  
i dziś wiem, że sprzęt martwy — gdy serca fosforem  
nasiąknie — jest wierniejszym od człowieka — bratem!

## WIĘŹNIOWIE

Roztęsknione do słońca, zapatrzone w dale  
niedostrzegalne oczom pełnym łez — człowieka,  
w ramie okna wąziutkiej dwa kaktusy małe  
siedzą, jak ptaki w klatce — przybyłe z daleka.

Ojczyznę ich pachnące wrzosem dzikie prerje,  
kraina słońca pełna, w bezkresy rozpięta,  
tęsknotą opylona, rozszeptana szmerem,  
nad którą wiatr przelata w szumiących zakrętach.

Siostrami — kwiaty polne i płonące zorze,  
pieśnią — szepty mietlicy, orkiestra grająca,  
bratem — orzeł, co ostrym lotem błękit porze,  
domem — przestrzeń otwarta w siną dal bez końca.

Nie dziw przeto, że siedzą z taką melancholją,  
patrząc w dale owiane błękitnym welonem,  
jak ludzie . . . których serca krwawią się i bolą,  
zapatrzeni w największe szczęście — utracone.

Ach zerwać się z framugi i nad wrzawą miasta  
ruszyć lotem orłowym, w buntowniczym trudzie,  
w życie . . . którym żył pierwszy kaktus — protoplasta,  
jaknajdalej od parnej cieplarni i ludzi!

Patrzę na nie codziennie i dobrze rozumiem  
tęsknotę, która w sercu roślinnym skowęczy,  
zgubiony jak i one — w obłąkanym tłumie —  
płonę buntem — i tęsknię — i cicho się męcę. . .

## GOŚCIE

Bywa czasem — gdy wieczór oknami się wklebi  
i siądzie na kanapie w dostojnej ciemności,  
dziwne jakieś postacie wchodzą, stają w głębi  
sieni — prosząc o nocleg, jak przejezdni goście.

Nigdy ich nie widziałem — jednak są mi wszystkie  
znane od lat dziecinnych, jak rodzone siostry —  
i jak siostry są takie ukochane, bliskie,  
roześmiane zapachem Siedemnastej Wiosny...

Więc zapraszam je dalej... Siadamy przy stole: —  
ja, Radość, Melancholja i Tęsknota cicha...  
Stawiam wina dzban — pijem w miłym druhów kole  
najsłodszy tokaj wspomnień — w tęsknoty kielichach.

Opowiadamy przytem niezwykle powieści;  
każde słowo poezją nam szumi — jak palma,  
w każdym zdaniu jest więcej mądrości i treści —  
niż może dać codzienność pusta i banalna.

Wówczas jawi się Ona... Siedemnasta Wiosna,  
ta najśłodsza ze wszystkich, wykąpana w świetle,  
jak dziewczyna rozkoszna — jak dziecko radosna —  
wschodem słońce muskająca nadchodzące życie.

Całą noc tak marzymy, mówimy do syta,  
(gdyż o świetle dopiero odchodzą me cienie)  
i znów cisza zapada... tylko echo pyta: —  
czemu sen nie jest życiem — a życie marzeniem?

## PRZYJACIELE

*(Maurycemu Maurowskiemu)*

Mam ja wielu przyjaciół wiernych, ukochanych,  
którym troski i radość dni zwierzam tajemnie;  
oni koją me serce — opatrują rany,  
słuchają mnie cierpliwie i ufają we mnie.

Kiedy fala wypadków rzuci mnie na asfalt  
i falangą nóg twardych podepce z tętentem,  
wracam — niosąc zniszczone, połamane hasła —  
do nich — braci mych w księgach zgłoskami zamkniętych.

Księgę — jak świeży bochen chleba na stół kładę  
i spożywam jej mądrość sokiem grusz pachnącą,  
tak długo — aż nad życiem, jak dziecko bezradnem —  
wejdzie zorząd płomienną wiary ciepłe słońce.

Czytam — a dom się cały rozjaśnia jak kościół,  
jutro wchodzi do wnętrza — jasne i promienne  
i okadza me serce wonnych słów mądrością,  
w której topią się wszelkie intrygi przyjemne.

Marną staje się nagle cała rzeczywistość;  
wzrok podnoszę i patrzę w ponad gwiazdne jaśnie,  
gdzie mi przyszłość wyrasta wierzbą rozłożystą  
i gdzie troska — jak lampa wypalona — gaśnie.

O druhowie najmilsi — mówcie słów szelestem!  
Będę słodycz rad waszych pił jak miód zachęty,  
z wami tylko chcę gwarzyć . . . bo wśród ludzi jestem  
niby dziecko bezradny — i jak tom zamknięty.

## KLON

Przed oknem mego domu rośnie klon wysoki,  
stary — bo przeżył może lat sto — (może dwieście?),  
zakorzeniony w ziemię, wpatrzony w obłoki,  
sam — jak pielgrzym zbłąkany w stutysięcznym mieście.

Oglądam go codziennie, rozmawiam jak z bratem,  
witam rano i żegnam przed nocą wichrową,  
wiem co mówią konary jego rosochate. . .  
(bo klon też umie mówić — swą mową klonową).

Słucham, gdy mi szeleści — jak ongiś po prerjach  
tabun rżących mustangów gnał pod wiatr z tętentem,  
w łunie lasów płonących snuły się misterja —  
nim sen o wiekiem mieście był (we śnie) poczęty.

W treści słów wystukanych gałęzią na sęku —  
słyszę Tomtom bojowy walecznych Komanczów  
korowodem wojennym — za Czerwoną Ręką  
biegnących palić pierwsze białych twarzy ranczo.

Dziwię się mu, że przeżył długich wieków burze,  
egzul drzewny — wygnany z swej ojczyzny leśnej —  
i stoi oto wsparty krzywym pniem na murze,  
zbłąkany wśród ludzi — jak poeta w pieśni.

A gdy wiosną szczebiotem wróbla się rozspiewa  
i bajki — szumograjki świergotliwe zbudzi, —  
żyję pieśnią tą — sam już podobny do drzewa. . .  
Bo drzewo jest (o ludzie!) — szczęśliwsze od ludzi!

## CZŁOWIEK Z CIERNIEM W NODZE

Z twardej bryły marmuru — mistrz jakiś nieznanym,  
zapatrzony w sznur wieków wleczonych zdaleka,  
w tajne szmery serc ludzkich duchem zasłuchany —  
wykuł dłutem misternym białą twarz człowieka.

W czulej i jako serce matki — ciepłej dłoni  
mistrza — zimny kreolit przybrał formy ciała;  
z głową w dół pochyloną, z melancholją w skroni,  
mały — a tak ogromny — niby ludzkość cała.

Jak mu na imię? Nie wiem! Ot poprostu — człowiek. . .  
jak sto miljonów innych w cyklu tysiącleci,  
beziemiennych, jak drzewa i jak wiosny powiew,  
bezradnych — jak przez zbójców ukradzione dzieci.

Wiem tylko, że wciąż idzie — zgubiony w pochodzie,  
zapatrzony w niewidy — strudzony niezmiernie;  
czasem tylko przysiada na odwiecznej drodze  
i z bosych stóp zbolałych — wydobywa ciernie. . .

I dalej śpieszy drogą pełną niespodzianek,  
winkiem ciała rozpruwa wichry w twarz wiejące;  
w drodze go noc napada — w drodze wita ranek,  
poza którym daleko, daleko gdzieś — słońce. . .

Poznałem go po długim kosturze pątniczym,  
po okrytej kurzawą zdarzeń białej szacie.  
Jeden jest — a miliony istot w sobie liczy,  
a na imię mu: — Ludzkość. . . To ja i ty, bracie!

## JAŁMUŻNA

Do drzwi mych, zasłuchanych w szmer idących zdarzeń  
przychodzą i pukają nieśmiało i skrycie  
ludzie — co w walce z losem pogubili twarze  
i na rulecie świata — przegrali swe życie.

Szklaną bielą wylęklých oczu patrzą w ręce  
i bełkotem — co jest już ino widmem głosu —  
mówią słowa poczęte w strasznej ducha męce  
o największem nieszczęściu swem — o zdradzie losu. . .

Ułożyli zdarzenia jak dni w kalendarzu,  
aby mi opowiedzieć dzieje swe płonące;  
nagle — gdy się spotkali z nieznaną twarzą —  
wszystko dziwnie się miesza im i strasznie płącze.

Utracili największy bowiem skarb: — odwagę. . .  
co im z serc — jak przekłękły wichrem ptak uciekła,  
czego pewno nie pojmie gruboskórny błagier,  
który nigdy nie spojrział w smutną twarz człowieka!

Stoją więc jak złapany złodziej w cudzym domu  
i twarzami, co w ścisku szczęk jak psy skowęczą —  
patrzą bielmem bezmownych oczu pokryjому  
i bolesnym półśmiechem bladych warg się wdzięczą.

Potem idą ze wstydem swym — niby chorałem —  
w rozpętane tabuny dni — jak żeglarz w burze. . .  
Dziwni ludzie . . . Bo przecież to nie ja im dałem,  
ale oni — przyjmując — mnie dali jałmużnę. . .



## KRZYŻ

W pracowni mojej wisi krzyż dębowy, prosty —  
wyciosany jak ongiś — przed wielu wiekami  
z brewion twardych, z Mądrości Odwiecznej wyrosłych,  
w pień tak mocny — by Stwórca mógł zawisnąć na nim.

W szarym zmierzchu wieczoru, kiedy wrzawa miasta  
ucichnie niby człowiek nocą przerażony,  
dąb jak gdyby ożywał — i znowu wyrastał —  
ale już duchem dębu . . . gdzieś w niebie dębowem.

Krzyżownice podnoszą się niby dwie ręce  
matki, która na syna zbłąkanego czeka —  
okalają glob ziemski miłosiernym wieńcem,  
jakby chciały ogarnąć wszechświat i człowieka.

Wiatr sferyczny uderza i gra jak organem  
konarami, co z ziemi w kręgi planet wrosły  
i chorałem wszechbytu — jeszcze nie słyszany . . .  
wieści nowe zwycięstwo Prawdy nad chaosem.

W szumie dziwnym, płynącym jakby spoza światów,  
z konstelacyj najdalszych, z zagranic kosmosu —  
Mądrość Wieków przemawia głębiną tematów,  
echem Chrystusowego, proroczego głosu.

Tu przychodzę zmęczony pracą dni minionych,  
by wiecznością odradzać utracone siły;  
na krzyżu — jak na tronie — rosnę wywyższony  
i odnajduję wszystko — co w życiu zgubiłem.

## NIEDZIELA

Ranek słońcem — jak stągiew — sładem grusz nalany  
przeświała się srebrzyście ponad ciszą miasta,  
struny bieli muzycznej kapią z drzew organem,  
śpiewność arją niedzieli w dzbanie dnia wyrasta.

Świt do okien zagłada i promieniem słońca  
jak cymbałem uderza w szyb muzyczny kryształ,  
w serca ludzi nalewa słodycz dnia gorącą,  
rozpachnioną jak sosna i jak klon soczystą.

Dzień niedzielny podobny do dni stu tysięcy,  
nawleczonych na sznurek lat w maszynie wieków —  
wschodzi jak jubileusz marzeń — nawet więcej. . .  
budzi oto śpiącego człowieka w człowieku.

Ludzie wstają zdziwieni i jak instrumenty,  
potręcane dotykiem muzykalnej ręki,  
w chwiejbie jaśni słonecznej płyną snów okrętem,  
gubiąc na trotuarach własnych śladów dźwięki.

Każdy nagle bogaty jest — niby milioner: —  
kupi szóstą część świata, wymierzy, podzieli,  
i rozda, by mniej było — nas wydziedziczonych,  
coraz więcej ranczerów, snów i właścicieli.

Śmieszna jest ta niedzielna uczuć serenada,  
co nam serca jak dzwony w wieżach ciał kolebie  
i muzycznym spokojem chaos dnia owłada. . .  
Może w niej właśnie człowiek odnajduje siebie?

## OKRĘTY

Artysta jakiś biedny, spragniony podróży —  
wymalował na bieli płótna dwa okręty  
z portu wypływające — w cichą noc po burzy,  
w ocean snów i marzeń, w bezkresy rozpięty.

Nabyłem gdzieś ten obraz (sam nie wiem już poco?)  
(Może w biednym artyście odnalazłem brata?..)  
i gdy srebrem księżycą fale zamigocą —  
siadam i płynę w podróż naokoło świata.

Porty na globu krańcach, wyspy nieodkryte —  
jawią się jak złudzenia — na mapie snów — blisko,  
egzotyczne krainy — za siódmym błękitem —  
Panama, Złota Brama, Meksyk, San Francisco...

Kraje podzwrotnikowe w mórz sinym ogromie,  
Honolulu, Wajkiki z atlasową plażą,  
gdzie żar słońca na głowy leje się jak płomień  
i nocami — jak duchy — wały fal się jarzą.

Borneo, Karafuto, Kobe, Nagasaki,  
Szanghaj w kurzawie opjum, Celebes, Formoza,  
czarne dżungle febryczne, purpurowe ptaki,  
łowcy pereł — ginący z łupem na dnie morza...

Cały świat tak objeżdżam (śniącym się okrętem),  
gwiazdy czytam, zaglądam w kratery wulkanów,  
a choć płynę przed siebie — w punkt sercem wytknięty —  
wciąż mi dziwnie się zdaje — żem człowiek zbłąkany.

## MUZYCZNOŚĆ

Na wieku fortepjanu, pochylonem w ciszę —  
leżą pieśni uśpione — jak szum lasu stare,  
zapatrzona muzyczną twarzą nut w klawisze: —  
dumki śpiewne, nokturny i płomienne arje.

W gorejącem poczęte utrudzeniu ducha,  
wysłuchane z szelestu łąk, z harmonji morza,  
makiem kropek zasiane — głosy na łańcuchach,  
Boże Śmiechy błękitne — złowione w przestworzach.

Wystarczy ino palce rozpleść w klawjaturze,  
a wypłyną z pod wieka melodyjnym dźwiękiem  
i skrzydłami chorałów zaszumią jak burze,  
lub zaśmieją się srebrem uśmiechów dziecięcych.

I rozleją po sercu płyn wonnej oliwy,  
schylą się nad zadumą dni tępych — jak drzewa,  
posmęt myśli — jak szczęście — uczynią szczęśliwym,  
a organem kościelnym kwartet ścian zaśpiewa.

Dzień jutrzejszy nalany w konchy serc przestraczem,  
zajaśnieje gościńcem — jak Ojciec Nasz . . . prostym,  
srebrną pełnią księżycy zbieli się pod dachem,  
i zawoła do życia madrygałem wiosny.

Kocham te — ukradzione Bogu — poematy,  
z których śpiewa mi czasem—KTOŚ NAD ŻYCIE MIŁY . . .  
dźwiękiem żyję, melodją strun jestem bogaty  
i z nich czerpię tajemne pieśni moich siły.

## KONCERT

W mroku ciasnej izdebki, na ciemnym poddaszu,  
wśród ludzi zabłąkanych, zapomnianych rzeczy,  
gdzie sny widzialne chodzą i włóczęgów straszą —  
artysta jakiś wyśnił recytał słoneczny.

Stary klawikord męką długich lat zepsuty,  
skrzypki — których melodia jak dziecina płacze,  
kilka sprzętów zużytych, blada lampa, nuty,  
mistrz i jego uczniowie — twórca i słuchacze.

Wszyscy stoją w bezruchu — a jednak napewno  
słyszą dźwięki jak dzwony — pieśnią wniebowziętą;  
koncert poza zmysłową rośnie mgłą powiewną,  
jakby władał nie człowiek — lecz duch instrumentem.

Z klawikordu wytryska drobna nut wysypka  
i opada na serca mgłą muzycznej rosy,  
szmerem gruszy kwitnącej wyśpiewuje w skrzypkach  
akord wonny — jak pełne ziarn pszeniczne kłosa.

Koncert rośnie w napięcie — jak gdyby stugłośna  
symfoniczna orkiestra grała wtór z artystą;  
każdy akord zakwita śliwą — pachnie sosną,  
słodką jak chleb razowy i jak miód soczystą.

Często patrzę w ten obraz — jak człowiek banalny  
i jak łowca przywidzeń — łowię śpiewną ciszę: —  
wciąż mi bowiem się zdaje, że to niesłyszalne  
lepiej od słyszalnego rozumiem — i słyszę.

## LISTY

W szufladzie mego biurka różne leżą listy,  
przysłane w pilnych sprawach i ważnych z daleka: —  
jedne poważne, smętne — w stylu uroczystym,  
inne chwiejne, lękliwe — jak myśli człowieka.

Jedne pocztą pospieszną szły szybko i prosto,  
inne błędziły długo po dalekich stacjach,  
inne (ślane przeze mnie — poleconą pocztą)  
wróciły — jak marzenie nieziszczone wraca.

Związałem je w pakunek i często oglądam,  
rozkładam ćwiartki białych tak niegdyś arkuszy;  
wiem co dawno zdarzyło się w dalekich łądach,  
jakbym czytał otwartą księgę ludzkiej duszy.

Jak sny miłe — wracają dawne sentymenty,  
śmieszne, smutne, poważne, serdeczne i szczerze —  
i dom mój napełniają wonią świeżej mięty,  
a serce słów muzycznych zaświatowym szmerem.

Drugi raz żyje życiem owych dziwnych listów,  
niby człowiek zbudzony po śnie półwiekowym,  
co nagle ujrzał całą przeszłość promienistą  
i usłyszał dźwięk słodkiej — zapomnianej mowy.

Chciałem kiedyś już zniszczyć te stare szpargały,  
zapomnieć o przeszłości i przestać się łudzić —  
wówczas listy — jak dzieci . . . nagle zapłakały: —  
bo w listach tych podobno — żyją serca ludzi!

## MASKI

Idąc zawieją życia — jak szumiącym lasem,  
drogą pełną banalnych i tragicznych zdarzeń,  
widzę tłumy błędzących po ulicach masek,  
w których ludzie jak żółwie — pochowali twarze.

Jedne blade, bezmowne — jak chiński mandaryn —  
patrzają tępo w głębiny mych otwartych oczu,  
inne — kukły obłudą żółtą malowane —  
śmieją się i fabrycznym głosem coś bełkocą.

Inne wloką się sennie pasem trotuarów,  
zimne automaty, poruszane drutem. . .  
młotem życia wbijane w pień miejskiego gwaru,  
skrzypiące jak maszyny pracą lat zepsute.

Maski, maski wokoło — jak na maskaradzie,  
urządzonej w trupiarni przez tłum opętańców —  
maski śmieszne, naiwne, smutne, czarne, blade. . .  
na kołkach ciał — jak strachy na cmentarzu tańczą.

Zapomnieli widocznie ci masek tragarze,  
że głowa twarzą niby dzień słońcem zakwita  
i że Mądrość Odwieczna poto dała twarze,  
aby człowiek człowieka — niby księgę czytał.

Zgubiony w maskaradzie — jak dziecko wśród żyta  
i jak ślepiec samotny — otoczony lasem,  
rozmawiam z jabłoniemi, klonów starych pytam: —  
czemu tak mało twarzy — a tak wiele masek? . . .

## ROZMOWA

(do — J. M.)

A więc powiadasz, bracie, że ton moich wierszy  
nie sięga w głąb zagadnień i problemów świata,  
że trzeba mi ogarnąć nurt wydarzeń szerszy  
i buntem — jak piorunem — trzaskać w poematach...

Że mową snów — dławionych myśli nie ukoję,  
że szum grusz nie wyrośnie mi pszeniczną glebą,  
że zbrodni nie skrępuję łodygą powoju,  
a woń łąk — nie zapachnie świeżym bochnem chleba...

Radzisz więc, by rozpętać serca jak tabuny,  
dzieje wieków rozpruć krzykiem, niby nożem —  
w głowach ludzkich kotłować czerwonym tajfunem,  
bombą urzeczywistniać — ciche plany boże...

Zburzyć wszystko — od dachu — aż do fundamentów,  
na stos rzucić i spalić przeszłość — jak stóg słomy  
i dopiero z chaosu, popiołów, zamętu —  
układać w nowy system myśli i atomy...

A ja mówię, że jedna myśl w ciszy poczęta,  
zapachem łąk owiana, słońcem wyłożona —  
prędzej ziści cel wieków — starga ducha pęta —  
i zakwitnie w wazonach serc — błogosławiona!

Strawiłem bowiem wiele nocy nad księgami,  
słuchałem niesłyszalnych, nadkosmicznych głosów;  
i wiem — bracie! — że oto w nas i ponad nami: —  
porządek jest — z porządku, a chaos — z chaosu!!!



## MELANCHOLJA

Są dni dziwnie słoneczne, pogodne i jasne —  
i są inne — tak pełne śpiewnej melancholji,  
że serce, niby okręt z rozbitym kompasem,  
błąka się w nich — i nawet samo szczęście boli.

Przecucia — jak bandyci groźni — wchodzą w maskach  
i pierś, niby stalową kasę — tną z łoskotem,  
biorą marzeń banknoty w złotych snów opaskach  
i idą . . . zostawiając pustkę i tęsknotę.

Wówczas człowiek zostaje sam, biedny, bez szmeru —  
niby pociąg zbłąkany na zwrotnicy — w rampach,  
w którym duchy umarłych dawno pasażerów  
grają w kości przy stołach i zgaszonych lampach.

Serce stygnie jak stary konduktor — nieżywy,  
myśli drżą — jak w twarz kulą cięty maszynista,  
który zawisł na sznurku swej lokomotywy,  
kiedy wzywał pomocy w przeraźliwych świstach.

W taki dzień melancholja chodzi i do okien  
palcem snów zapomnianych — jak patykiem stuka —  
drzwi otwiera i czarnym dom napełnia mrokiem,  
w którym człowiek sam siebie zatracą i szuka.

Może właśnie w tej pustej, głuchej melancholji  
serca to odnajdują — co w nich czas zatracą —  
i poznają mistyczne kręgi wspólnej doli: —  
żeśmy wszyscy tu równi i wszyscyśmy bracia!

## POKUSA

Niema to jak z górnego piętra spojrzeć oknem  
w przestrzeń — ponad kominy i dachy czubate —  
w rozkłębione wiatrami — watowe obłoki,  
mknące białą flotyllą duchów ponad światem!

Pierwszą lepszą łódź taką przywiązać do drzewa,  
wsiąść — jak stowwej i ruszyć w podróż — bez szyfkarty  
i kołysząc się w wichru szumiących powiewach —  
płynąć w ocean mgielny, w bezkresy otwarty.

Na obłocznym sterowcu miło jest i miękko,  
ozon dmie w wyobraźnię malowane żagle —  
błękit nieba rozgarnia się jak wiosłem — ręką,  
płynąć w górę — to znowu opadając nagle.

Pięćset mil na godzinę łódź obłoczna pędzi,  
mija wsie, pola, miasta, tafle wód i lasów —  
a ja siedzę jak żeglarz sprawnie — na krawędzi,  
zapomniawszy o porcie i o biegu czasu.

Mijam kraje przez ludzi dotąd nie odkryte,  
w snach tylko wymarzone, w tęsknocie poczęte —  
za górami obłoków — poza snów błękitem,  
gdzie myśl ino dojeżdża śniącym się okrętem.

Kiedyś w pudła spakuję cały mój majątek,  
zamknę dom i do morza wrzucę nudne klucze —  
ruszę w podróż najdalszą — wymiarem dziesiątym  
i — kto wie? . . . może więcej na ziemię nie wrócę. . .

## OCZEKIWANIE

Czekam na jakieś ważne i tajemne wieści,  
które — nie wiem sam kiedy, gdzie i jak — się staną,  
wiem tylko, że w srebrzystych snów cichym szeleście  
przyjdzie ktoś z wieścią, od stu lat oczekiwaną.

Puknie trzy razy w okna szybę kryształową,  
mnie wywoła tajemnym gestem ... Ręką białą  
wskaże na wschód i powie — śpiewającą mową: —  
Bracie, widzisz? ... czas ruszać ... oto już się stało! ..

Nowy dzień się narodził i płomiennym świtem  
w serca ludzi nalewa wonny płyn oliwy —  
szczęście chodzi polami i szeleści żytem,  
madrygałem gałęzi grają śpiewne iwy...

Zapach z łąk wykotłował się i traw szelestem  
budzi barwy bezcennych skarbów w leśnych kwiatach,  
śpiewne jutro ogłasza wonnym manifestem: —  
pełną miarą radości — nowy podział świata...

Skarby ziemi na wspólnym układa już stosie,  
wzywa szczepy, narody — ręką pracowitą  
dzieli tak — aby każdy odszedł z pełnym trzosem,  
by tak wreszcie dokonał się cel główny bytu...

Tak podobno być musi! ... Więc cierpliwie czekam,  
choć nie wiem kiedy taki śmieszny cud się stanie;  
wiem jednak, że najwyższym zadaniem człowieka: —  
jest wiara w cud i Wiecznych Prawd oczekiwanie.

## PRZEDWIOŚNIE

Z południa powiał nagle wiatr ciepły i wonny,  
zagrał w gałęziach klonów, rozkołysał grusze,  
rozszeptął się w ogrodach, rozdzwonił wazony  
i świsnął na ulicę — zrywać kapelusze.

Szumiącym polonezem roztańczył agresty,  
popodnosił złamane powoje i pnącze,  
do badylich patyków zaśmiał się szelestem  
i poleciał do parku — tarzać się na łące.

Potem skoczył do stawu — jak nurek wyborny,  
rozpierzścenił toń ciemną, pomarszczył pierzasto,  
a otarłszy się w jodeł zielone amfory —  
zagwizdał i poszumiał do ludzi — na miasto.

Tu ślizga się po dachach, do okien zagłąda,  
paniom suknie podwiewa, przechodniów napada —  
i szumi: — że irysy ożyły już w klombach  
i że soki się soczą — jak wino — po sadach. . .

Że trawy już zaczęły tkać dywan na krosnach  
i że barw prymitywy purpurzą się w kwiatach,  
że z daleka, z daleka gdzieś — idzie już wiosna  
i że wkrótce się stanie największy cud świata. . .

Ludzie słysząc te szepty — przystają zdumieni  
i szukają obłoków błędzących po niebie —  
dziwiąc się, że znajdują w bezmiernej przestrzeni  
to — co w mieście zgubili: — swe serce i siebie. . .

## PARK

W pobliżu mego domu jest park rozłożysty,  
wrosły jak w pustyni oaza palmowa,  
łowiący gwary miasta i fabryk poświsty,  
turkot maszyn, tramwajów skrzyp i ludzkie słowa.

Rosną w nim stare klony i wierzby nawisłe  
szmerem spławnych gałęzi nad ampuły krzaków,  
zapatrzone w dal miejską i w ścieżyn zarysy —  
czy nie zbliża się człowiek — odwieczny strach ptaków. . .

Chodzę tam często słuchać wierzbowych poszumów  
wiatru — co od pampasów jak *kawboj* przylata  
i mówi do drzew starych, jak mówca do tłumu: —  
że lepiej jest i cieplej w innej części świata. . .

Słucham — gdy blagier szumny wyśmiewa się z klonów,  
że rosną przywiązane do kołków po mieście —  
w kurzawie zdarzeń marnych, przy świetle neonów,  
gdy świat roślinny skoczył naprzód o lat dwieście.

I zmieniam pokryjому tajemne pragnienia: —  
by rosnać podobłocznie barczystym pniem drzewa  
i być człowiekiem-dębem . . . porastać zielenią,  
pić ziemny sok i śpiewać — jako drzewo śpiewa.

Bo oto zrozumiałem, że jako w człowieku —  
w pniu drzewnym, wypróchniałym — w pachwinach  
hunt skrzypi i sękami odgraża się wiekom. . . [i wnąkach  
że wszędzie jest cierpienie i wszędzie jest męka.

## GNIAZDO

W pachwinie dwóch gałęzi omszałego dębu,  
pnącego się pnem hardym ku słońcu i gwiazdom,  
ponad linją skleconych przez człowieka zrębów —  
ptak — boży budowniczy — wybudował gniazdo.

Najpierw obejrzał miejsce — jak architekt skrzętny: —  
czy gałęzie są mocne, czy w razie wichury —  
nie złamią się misterne gniazda fundamenty,  
czy dach nieprzemakalny z liści jest od góry?

Potem z samiczką odbył radę szczebiotliwą —  
i oboje zaczęli ćwierkać, spieszyć, latać —  
znosić patyki, chrósty, trawy, mech, włosiwo,  
aż po kilku dniach stanął — dziewiąty cud świata.

Ach co było radości — gdy o pewnym świecie  
samiczka pierwsze jajko zieloniutkie zniosła!  
Miljon ptaków krzyknęło — pieśnią sławiąc życie,  
zanosząc szczebiotliwy hymn aż pod niebiosa.

Potem były pisklęta — w puch tylko porośle  
i szczebiot coraz większy, na tysiąc tematów,  
sławiący czarodziejkę życia — bożą wiosnę,  
rosnącą ptasim śpiewem w ziarnopłenne lato.

Aż dnia któregoś cisza zaległa na drzewie;  
ród ptasi wyprowadził się w inną część świata. . .  
tak zupełnie jak człowiek, co po zbożnym siewie —  
w wyraj poza światowy — spokojnie odlata. . .

## PIEŚŃ PORANNA

Drzewa namokłe ciepłem słonecznej pozłoty,  
oczekując pachnących rozkwiecin i liści —  
zaszumiały srebrzyście ptaszęcym świergotem  
wiosny — idącej zdala trawnie i soczyście.

Gałęzie wdół obwisłe od pąków wróblistych  
kołyszą się chwiejbiasto w piskliwych rozśpiewach  
do wtóru największego wieków organisty,  
co gra poszumem niby organem na drzewach.

Tysiące głosów śpiewa akordem wysokim,  
symfonią bezładną — a jednak tak czystą —  
i słodką — niby młodych brzoź cukrowe soki,  
grające w korze drzewnej z niebieskim artystą.

Świt napełnia się pieśnią — jak dzban malinami,  
wrzawa, którą sok ciepły zbudził i rozpętał —  
trawy z darni wywabia — wznosi nas nad nami —  
i w sercach niby w żywych dźwięczy instrumentach.

Chór wróbli wprost do Stwórcy wspina się śpiewniście,  
krzykiem soków zbudzonych wiosną w drzewnych żyłach,  
by nakazem Mądrości Bożej — rozpiął liście  
i gniazda ptasie przed wichrami ponakrywał.

Słucham wrzawy tej często — i chodzę jak we śnie,  
wstydząc się głosów ludzkich — bojąc się rzec słowa...  
bo oto wobec wielkiej ptaszanej tej pieśni —  
zdaje mi się żem głuchy — jak pień... i niemowa...

## PODRÓŻ

Śni mi się podróż długa, w krainy nieznanne,  
w bełkocie fal zielonych, żaglowym okrętem,  
morzem — później odnogą rzeki nienazwanej —  
gdzie ktoś mi dał plantację — bożym testamentem.

Marzenie to tailem w ciemnym kącie duszy,  
bojąc się nawet mówić o zamiarach głośno —  
by ktoś mnie nie podsłuchał — zapisu nie ruszył  
i snów mych nie podeptał, co tam w sadach rosną.

Ale czuję, że chwila stosowna się zbliża,  
że dnia któregoś przyjdą poleczone listy,  
że sprawy najważniejsze ułożę w walizach —  
i wyruszę o świcie na wschód — jeszcze mglisty.

Daleko pozostawię dni męczących szarość —  
sprawy niedokończone, niepotrzebne plany  
rozplyną się jak mary w wonności oparów  
i wsiąkną w błękit bielą słoneczną nalany.

Marzę o tej podróży od lat kilkunastu,  
słucham poszmerów duszy i szelestów nocy,  
pozbywam się ciężarów ziemskich — jak balastu,  
bym lekki był — jak uśmiech i jak wiara — mocny.

Ale im dłużej czekam — tem trudniej jest ruszyć  
i tem większe przeszkody rosną na granicach — !  
Bo podróż tę odbywa się okrętem duszy,  
zostawiwszy największy ciężar ziemi — życie...



## DEPESZA

Dostałem dzisiaj pocztą snów dziwną depeszę,  
przysłaną nie wiadomo skąd, jak i od kogo —  
ktoś wzywa mnie — bym wszystko porzucił i spieszył  
najbliższą, rozjaśnioną marzeniami drogą.

Jakiś *estanciero* pewno — łowca ciszy —  
na ćwiartce pergaminu słoneczną kursywą  
przedziwne i ponętne zaproszenie pisze: —  
Bracie — powiada — czekam! . . . Przybywaj, przybywaj!

Wiosna już wyszumiała z morza. Przez pampasy  
płyną wonie liljowe. Kłębią się opary,  
a — muzycznym chorałem kołysane lasy  
szumią sennie. Na łąkach kwitną nenufary. . .

Sady spęczniały nagle młodych grusz słodyczą,  
czereśnie aż obwisły pod ciężarem kwiatów,  
a muchy niedorzecznie po agrestach bzyczą,  
orchidy — aż pomdlały w kłębach aromatu!

Willa hiszpańska w słońcu — jak w konewce moknie,  
zapach róż herbacianych po gałęziach spływa,  
malwy niby dziewczęta — płonią się przy oknie. . .  
Zostaw wszystko—dom zamknij—przybywaj, przybywaj!

Czytam śmieszny ten kabel i w głowę się pukam —  
kto go przysłał mi—po co—skąd? . . . Może z bezkresów?!  
I boję się — czy czasem ktoś mnie nie oszukał,  
bo oto w tej depeszy dziwnej — brak adresu!

## WIECZÓR

Na wieży mgłą zakrytej, niewidzialnej z okna,  
wyrosłej ku błękitom jak ręka prosząca —  
dzwon gra hymnem basowym — ginącym w obłokach,  
zapomnianą kantatę serc ludzkich — do słońca.

Dźwięki rosną widzialne prawie — jak posągi —  
w każdym tonie głębokim słyhać tysiąc głosów,  
jakby wszystkie dzwoniły planetarne gongi  
szumem sosen barczystych i szelestem kłosów.

Każdy ton jest jak prośba tajona w człowieku  
wyśpiewana błagalnie w bożą twarz metalem,  
skargą przeszłych i przyszłych dwóch tysięcy wieków,  
oznaczonych na mapie zdarzeń — łąą i ąalem.

Dzień miniony, podcięty zmierzchem — jak toporem  
z hukiem leci na miasto i na wrzawę dzwonu,  
na granicy snów staje jesionowym borem  
nocy poprzekreślanej żółtą mgłą neonów.

I przychodzi spoczynek napełniony snami,  
jak łódź kwiaty wioząca — zapachem kojąca —  
cienie zdarzeń — jak duchy chodzą pod oknami  
i patrzą w szyby pełnią srebrzystą miesiąca.

W taki wieczór, płynący snami w życie miasta —  
lubię patrzeć na szczątki dnia w chmurnych przyczołach,  
gdzie spoczynek jabłonią kwitnącą wyrasta  
i z życia — w poza życie . . . szmerem nocy woła . . .

## SEN

Zbudził mnie o północy szum jakiś daleki,  
łomot głuchy — jak dzwonów zakopanych bicie —  
więc zerwałem się w strachu, przetarłem powieki  
i zbiegłem przerażonym pędem na ulicę.

Spojrzę wkoło — a drzewa idą jak piechota  
żyłą wąskiej ulicy, szumiąc konarami —  
kołki krzywe ożyły, wyrwały się z płota  
i skaczą — jak kaleki drzew — trotuarami.

Ciężkie szare kamienie toczą się i gwarzą,  
słupy telegraficzne — niby wielkoludy —  
dudnią głucho i patrzą w dal drewnianą twarzą,  
niosąc druty i kable — swe najcięższe trudy.

Krzaki malin, agresty niskie, grube, krępe  
biegną truchtem — za nimi pokrzyw tłum i osty,  
zielska kwaśne, koszlawe — trawy gęste kępy,  
olchy, wierzby, kaczeńce, spławy, wodorosty. . .

Całe miasto zielone tłumy się — ucieka. . .  
w nocy bowiem ktoś przyszedł i rośliny zbudził  
wieścią tajną — przysłaną kablem snów z daleka —  
z kraju, w którym nie było i nie będzie ludzi.

Pochód zwolna przesuwa korowodem szumym,  
tętent słupów i roślin gwar przycicha w dali —  
domy tylko zostają — czarne, głuche trumny,  
w których ludzie bez roślin — w śnie nagle pomarli. . .

## DROGA DO SZCZĘŚCIA

Ponad dachów płaszczyzną, nad drzew kopułami —  
zbudowałem gościniec szeroki i prosty;  
nie wiem dokąd prowadzi i co jest poza nim: —  
trzeci biegun, sen dziwny, czy tylko cień wiosny?

Często jednak, gdy błękit bielą dnia namoknie  
i kulisy obłoczne zmienia jak w teatrze —  
w towarzystwie snów kilku schylam się przy oknie  
i na dziwną tę drogę, jak na zjawę patrzę.

Wciąż mi bowiem się zdaje, że to stamtąd właśnie  
w jakiś wieczór pachnący — ponad wrzawą miasta,  
przyjdzie moja podwoda, zaprzężona w baśnie,  
pełna szczęścia — jak fura siana drabiniasta.

Jestem nawet już pewien, że tak właśnie będzie!  
Nie jest tylko mi znany dzień — zgubiony w sferach;  
stamtąd ruszy ku ziemi wóz słoneczny, w pędzie  
rozwożący pakunki — których nikt nie zbiera. . .

Czasem znowu przeczuwam, że właśnie tą drogą,  
autem stucylindrowem — ruszę ponad chmury,  
gdzie się błękit — jak dywan perski gnie pod nogą  
i gdzie sprawy dnia śmieszne są — jak kalambury.

Szkoda tylko, że trasą tą dziś nikt nie jeździ  
ino szofer niebieski dudni po rozpięciach  
autostrady — u której krańców — Bóg się gwieździ. . .  
Jest to droga podobno — zgubiona . . . do szczęścia. . .

XI.

Kantyczka Sentymentalna.



## ROMANTYZM

Młodości romantyczna —  
skrojona w aleje, uliczki,  
pisząca sonaty, kantaty,  
sentymentalne kantyczki!

Idziesz drogami dziwnymi,  
skrzętnie zbierając „momenta,“  
w których się dusza wysrebrza  
i życie pachnie jak mięta.

Idziesz w poszumie brukowym,  
dudnią ci auta, maszyny —  
i szukasz cichego zakątka,  
gdy wieczór zapada siny.

W życia skłębionej kotlinie —  
śni ci się sen estetycznie;  
wierzysz i śmiejesz się . . . Pocóż  
brać tak wyniosłą wytycznię? . . .

Lepiej drogami intraty  
dążyć uparcie do celu —  
wszak można dojść do potęgi,  
jak doszło „praktycznych“ już wielu.

Lepiej cygara hawańskie  
palić — i wonnym dymem  
pisać na słupach cyframi  
w betonie i w stali swe imię.

Bo tylko konkret i beton  
konnretnie w życiu popłaca,  
a snami podszyta i próżna  
sentymentalna jest praca...

Choć pewno są jeszcze i tacy, —  
wierzący... że w myśli i w pieśni  
życie się nowe rozjaśni  
i szczęście ucieleśni.

I dla tych warto dać życie  
i przegrać niejedną potyczkę —  
i dla tych uparłem się pisać  
sentymentalną kantyczkę.



## UŚMIECH PRZEZ ŁZY

Wśród smutków codziennych i troski  
idzie za nami tęsknota,  
a za nią przewija się uśmiech,  
wykwitły na ustach pierrota.

Należy go tylko odróżnić  
i trzeba się z nim zaprzyjaźnić —  
a przyjdzie wesoły i śpiewny  
i życie słonecznie rozjaśni.

I myśli, od których drży serce  
wygładzi i tak nam uprości —  
i wskaże — jak wiele jest w życiu  
błękitnych powodów radości.

Humorem rześnistym, a rzewnym  
rozpędzi obłoki nad czołem  
i pracę uczyni nam lżejszą,  
a życie nad miarę wesołem.

I nowe nam drogi otworzy,  
w odwiecznym kontrastów wszechplanie,  
i uśmiech — przez łzy wreszcie może  
rzeczywistością się stanie.

Wówczas zaczniemy brać z góry  
na życie spokojne zaliczki —  
i każdy z nas będzie miał swoje  
sentymentalne kantyczki.

Wówczas nikogo z żyjących  
nie będzie przerażać już przyszłość;  
wszak — mówią — nic niema tak złego,  
coby na dobre nie wyszło! . . .

## SPOTKANIE

Spotkałem ją w parku raz — wiosną,  
gdy stała wśród kwiatów różowa —  
i chciałem coś do niej przemówić,  
lecz w ustach zamarły mi słowa.

Więc — oniemiały z rozkoszy —  
ująłem ją lekko pod rękę  
i szliśmy tak jasną aleją;  
ja z kwiatów spletałem jej wieniec.

I patrzeliśmy na słońce,  
a słońce na nas patrzyło —  
i zazdrościło jej bieli. . .  
(Sukienkę miała tak białą).

Nie mówiliśmy do siebie,  
bo pocóż zresztą tam słowa,  
gdzie uśmiech, spojrzenie, westchnienie  
więcej powiada — niż mowa.

A świat nam tak jaśniał świetliście  
i był tak ogromny, bogaty —  
jak ogród zaklęty w marzenie;  
a w nim — my oboje i kwiaty.

Ona zerwała fiołek  
i wpięła mi go w butonierce,  
a ja jej — (o słodka rozkoszy!)  
wyjąłem i dałem — swe serce.

I rzekłem: bądź moją na wieki,  
w miłosnej rozsnujmy się przędzy...  
A ona: — i owszem, lecz powiedz —  
ile masz w banku pieniędzy?...

To rzekłszy — odeszła odemnie  
i więcej już jej nie widziałem...  
Dziwić się temu nie można —  
ja tylko pieśnią brząkałem...

## ZOSIA I KWIATY

Zosieńka jej było na imię —  
więc w dzień jej dziewiczych imienin  
poszedłem na skalne urwiska  
po kwiaty rosnące wśród pienin.

By serca głębiny otworzyć,  
jak rycerz dla swej Dulcynei —  
zrywałem kwieciste pachnidła  
po stoczach górzystych, po kniei.

Konwalje, pierwiosnki, szarotki,  
rosnące na skalnej przełęczy —  
chwyciłem ostrożnie, a chytrze,  
jak złodziej — kradnący blask tęczy.

Mietliczki rozchwiane w szelestach,  
czeremchy zrywałem — dziewanny,  
na których się rosa perliła  
i motyl kołysał poranny.

I w bukiet wiązałem rumiany,  
pachnący żywicznie pąk rzewny —  
dla swojej Zosieńki kochanej,  
dla swojej wyśniewanej królewny.

I tak jej ten bukiet zaniósłem —  
(bo cóż piękniejszego nad kwiaty?)  
i czułem się — jak król potężny  
i jako milioner — bogaty!

—Śliczne kwiatuszki — to prawda —  
rzekła mi — kocham nad życie...  
—Lecz któż to widział — za zielskiem  
łazic po górskim szczycie?...

—Patrz... choć rumiane i wonne —  
pełno w nich trawy i darni...  
—Ot lepiejbyś poszedł i kupił  
bukiet różowy — w kwiaciarni!

Przeto odszedłem zdumiony  
takim praktycznym morałem —  
i więcej już nie wróciłem...  
W kwiaciarni — inną poznałem.

## DZIEWICA I CHATKA

Wieczór wrześniowy po parku  
chodził rdzewiejąc złociście —  
i pędzłem wieczornej czerwieni  
malował sypiące się liście.

Grzebieniem leciuchnych zefirów  
czesał rosiste rozpluski  
i z klonów, akacyj, katalpy  
strząsał gasnących dni łuski.

Aleją, usłaną liściwiem  
złocistym — jak perskim dywanem —  
chodziliśmy wąchać zapachy. . .  
(Tak dziwnie pachniało tu sianem).

Ja — by rozkosznych przytuleń  
nie zmącić i celu nie chybić —  
ręką — co drżała leciuchno —  
zgarniałem motylą jej kibić.

I głosem omdlałym ze wzruszeń  
zakłęcia szeptałem jej w uszko:  
moja ty jasna królewno —  
moje ty słodkie serduszko! . .

Widzisz to ciche ustronie —  
rzekłem — strumyczek i kładkę  
i chatkę — jak sen rozkoszną?  
W dzień ślubu kupię tę chatkę!

I tam cię zaniosę na rękach  
i tam żyć zaczniemy — o złotko!  
W tej chatce tak romantycznej  
życie popłynie nam słodko...

A ona — zgrabniuchnym bukiem  
depcąc liściwia i płatki —  
rzekła mi: — kocham sielanki,  
chatki, strumyki i kładki...

Kocham zaciszne ustronia,  
maki, słonecznik, idylle —  
a jednak... po ślubie — mój drogi,  
nie chatkę mieć pragnę — lecz willę...

I poszła ode mnie zdąsana,  
nie chciała ogródków ni chatek.  
I dobrze... (ja nawet na chatkę  
pożyczać bym musiał — zadatek).



## MIŁOŚĆ SZAMPAŃSKA

Pamiętasz dzień ten upalny,  
gdy to spragnieni niezmiernie,  
weszliśmy — w Vista de Lago —  
w sentymentalną cukiernię?

Było nam tak romantycznie,  
cicho, tak pełno uroku. . .  
Ja siadłem tuż przy fontannie,  
ty siadłaś — u mego boku.

Menu chłodzących napojów  
ująłem w drżące dłonie,  
a ty — wybierałaś przysmaki. . .  
(rumieniec ci wybiegł na skronie).

Pozwól — prosiłem — wybieraj,  
pij co chcesz — soki, fosfaty!  
Mnie o pieniądze nie chodzi,  
wszak jestem człowiek bogaty!

Więc okiem sentymentalnym  
poczęłaś biegać po karcie,  
a ja — począłem nieśmiało  
zalecać ci — sodę uparcie. . .

Spojrzałaś na sok malinowy,  
przebiegłaś krem, lemoniady;  
a ja czekałem i drżałem.  
(Musiałem bardzo być blady).



I tak szukałaś skupiona  
minut — (czy wieków) ze cztery...  
Aż wreszcie znalazłaś... pamiętasz?  
rozdział z napisem „Likiery.“

Zadrzałem — i jąłem zachwalać  
przeróżne napoje i słody: —  
o miła... nic niema słodsze  
nad szklanke — sodowej wody!..

A ty — zgorszyłaś się strasznie  
i rzekłaś: przepraszam pana...  
Pij pan sam wody i słody —  
ja wolę... butelkę szampana...

I stało się... Wyszłaś zdąsana,  
zerwałaś miłosną nic przędzy...  
(Jakże pić mogłem szampana —  
nie mając na to pieniędzy?)

Do dzisiaj dzień ten pamiętam,  
choć wielka zaszła już zmiana;  
ty — pijasz wodę sodową,  
a ja — używam szampana!..

## SZCZĘŚCIE W CZÓLNIE

Było to letnim wieczorem,  
gdy niebo paliło się łuną;  
staliśmy w ciszę wsłuchani,  
w cieniu, nad jasną laguną.

Marzyłaś i byłaś tak piękna,  
(i ja — byłem także wzruszony)  
a ktoś — gdzieś daleko — na strunach  
wydzwaniał nam akord zgubiony.

Więc rzekłem nieśmiało: — o słodka!  
Patrz — w dali kołyszą się łodzie,  
pozwól — wynajmę łódź małą —  
popłyniem cichutko po wodzie.

Wiosłami o fale błyszczące  
uderzę — i pomknę tak lekko,  
aż rozkołyszą się wody  
marzeń rozchwianą kolebką.

Zobaczysz jak wprawnie wiosłuję,  
jak zręcznie kieruje sterem —  
mógłbym w weneckich lagunach  
być pysznym gondolierem.

A jeśli mnie wiosła umęczą —  
rozepnę na wiatry bieg żagli,  
posuniem po falach cichutko;  
proszę cię — śpiesz się — czas nagli!

Słuchałaś mnie wówczas — pamiętasz?  
I byłaś wzruszona i blada,  
a ja tak się czułem, jak gdybym  
miał płynąć szlakami Syndbada.

I rzekłaś: — szkoda mój drogi —  
nie lubię żaglować przy płachcie...  
więc jeśli kiedy wyruszę  
na wojaż — to tylko w jachcie!..

Skończyła się słodka sielanka...  
A szkoda, że tak się stało,  
bo szczęście i w czółnie być może —  
a w jachcie go często za mało.

## ROZCZAROWANIE

Kochałem się w tobie wstydliwie,  
niewinnie, cichutko, tajemnie —  
i śniłem, że w podróż poślubną  
nie ruszysz nigdy beze mnie.

Kochałem twe oczy błękitne,  
twe rzęsy — kochałem nad życie —  
choć przecie wiedziałem, że często  
ołówkiem podczerniasz je skrycie.

Kochałem twą szyję łabędzią,  
twe dłonie bieluchne i palce —  
i nosk zadarty fertycznie,  
ukryty w jedwabnej woalce.

Kochałem ciepłutkie twe ręce,  
przejrzyste — jak dwa alabastry,  
którymi do gorsu wpinałaś  
rozkwitłe piwonje i astry.

Kochałem twe włosy złociste,  
w supełek ponętny skręczone —  
i zwałem cię często — blondynką,  
choć wiem, że masz włosy bielone.

Kochałem twe nawet sukienki —  
perkale, jedwabie, batysty,  
na których sylwetką tak jaśniał  
pod słońce twój profil świetlisty.

Nikt o tym kochaniu nie wiedział,  
(kochałem cię bowiem tajemnie),  
gdyż byłem tak pewny, że w podróż  
poślubną — nie ruszysz beze mnie.

Dziś otrzymałem od ciebie  
bilecik — i wiem już o zgubie;  
zapraszasz mnie przecie, bym jutro  
raniutko — był na twym ślubie.

O będę! . . . Bo cóż mam uczynić?  
Narzekać dziś — przecie daremnie!  
A jednak — wolałbym tam nie być;  
obeszłoby się i beze mnie.

By jednak ci jasno wykazać,  
iż sercem darzyłem cię szczerem —  
(gdy ty już prababką zostaniesz)  
ja . . . będę wciąż kawalerem . . .

## MIŁOŚĆ PISZĄCA

Siedzieliśmy w cichej altanie,  
ukrytej w powojach i trawie —  
ona mówiła o strojach,  
a ja marzyłem — o sławie. . .

Śniłem o sztuce istotnej,  
o myśli i ducha wymianie —  
i było nam dobrze i miło  
w sentymentalnej altanie.

Więc rzekłem: — o miła — czas idzie,  
gdy słońce me światu zabłyśnie! . . .  
A ona — słuchała i jadła  
agrest dojrzały i wiśnie.

I dumną (to wiem) była ze mnie,  
patrzała mi w oczy w zachwycie.  
Któż zresztą nie byłby dumnym,  
kochając poetę nad życie!

Kiedyś — mówiłem — czas przyjdzie,  
gdy imię me wytną w porfirach  
i będą wysławiać me dzieła,  
jak smętne dramaty — Szekspira.

Historyk jakiś w foljałach  
piosenki me rzewne wyszpera  
i światu pokaże z podziwem  
nowoczesnego — Homera.

A krytycy mnie porównają  
z Byronem, Słowackim, „Czerwaniem“ —  
i ktoś może nawet powiedzieć,  
iż byłem większy — niż Dante.

Patrz więc, jak będę sławnym —  
i ty ze mną będziesz w tej sławie!...  
A ona — słuchając — szukała  
dojrzałych agrestów na trawie.

I twarz swą poczęła pudrować  
leciuchnym karminem i tuszem  
i tak na mnie słodko patrzała,  
jak gdybym już był — genjuszem.

Więc prosić począłem jej: — przemów  
słówkiem serdecznym — królewno!  
Z twych słówek ja jutro napiszę  
piosenkę miluchną i rzewną!

Piosenkę?... Ej, proszę — odrzekła,  
(pudrując na twarzy wypieki)  
jeżeli już musisz coś pisać —  
to napisz mi zaraz ... dwa czek!...

I to powiedziawszy — powstała  
i poszła ścieżyną do rzeczki...  
(jakże ja mogłem czek pisać —  
nie mając bankowej książeczki?..)

## MIŁOŚĆ TAŃCZĄCA

Spotkałem ją raz na dancingu,  
tańczącą foxtroty i walce —  
i zaraz się w niej zakochałem,  
choć twarz ukrywała w woalce.

Me serce skoczyło z radości,  
pijane pachnącą tą chwilą;  
patrzałem więc w nią, jak w madonnę,  
“quam pinxit maestro Murillo.”

Zbliżyłem się do niej na palcach —  
(musiałem być bardzo wzruszony)  
i — jak przed zaklętą królowną —  
począłem się zginać w ukłony.

Ująłem jej kibić ponętą  
i chwiejnie pobiegłem po sali —  
i czułem — jak serce mi skacze  
i jak jej rumieniec twarz pali.

Odtąd z nią tylko tańczyłem,  
nosiła nas wzruszeń falanga —  
orkiestra murzyńska nam grała  
rumbę, foxtroty i tanga.

Lampjony zielono świeciły,  
pachniały wiszących róż kiście —  
a myśmy w wir tańca lecieli  
w podskokach — to znów posuwiście.



I tańcem tak rozanieleni —  
wyszliśmy cichutko ze sali. . .  
Chodź — rzekłem — znam pewne zacisze,  
gdzie chodzą bogowie z Walhalli.

Kawa tam wonna, jak mokka,  
kanapki świeżutkie i lody —  
wszystko dziś kupię ci chętnie,  
gdyż jestem rozrzutny i młody.

Tam usiądziemy w kąciku,  
gdzie płoną światełka złotawe —  
i będziem zjadali przysmaki  
i pili słodzoną kawę.

A ona — spojrzawszy z pogardą —  
rzekła mi: — głupiś! . . . Wiesz przecie,  
że jeśli wychodzę z facetem —  
to obiad chcę jeść w kabarecie. . .

I tak się nasz romans zakończył. . .  
(A szkoda jej — cud dziewczę była)  
Nie chciała mnie. Wyszła podobno  
za tawernistę — Daniła. . .

## “DOLCE FAR NIENTE”

Musiała być kwiatem południa,  
słonecznych wybrzeży Italji —  
gdyż oczy tak miała ogniste,  
jak broszka z iskrzących opali.

A twarz tak bieluchną — jak mleko,  
a włosy tak krucze, tak ciemne,  
jak gdyby w nie cały swój błękit  
Morze wcedziło Śródziemne.

A brwi nad oczami — jak łuki  
ciężką ku rzęsom nagięte —  
jak gdyby wieczyście marzyła  
na Capri — swe “dolce far niente.”

Kochałem ją przeto ogromnie,  
niewinnie — jak kocha się kwiaty —  
i czułem, że skarb mam największy  
i jestem — jak Morgan bogaty.

Więc często ją brałem pod rękę  
i szliśmy ścieżkami przez pola;  
szeptałem jej słowa płomiennie: —  
“carissima mia picolla” . . .

Dla ciebie — swe serce rozkroję  
i oddam swe życie i szczęście!  
Ja z tobą — na krańce bym świata  
popłynął w zbłąkanym okręcie!

O jakże już chciałbym zamieszkać  
w twojej willi — na Via Appia,  
gdzie kwitną mimozy pachnące  
i miód się na słońcu wytapia.

Lub w wieczór pylący kwiatami,  
gdy z morza powieje wiatr siny —  
w ogródku twym zrywał bym chętnie  
figi, oliwki, cytryny!

I na ławeczce twojej siedząc,  
gdzie szumi wysmukła topola,  
śpiewałbym: “O sole mio —  
carissima mia picolla”...

A ona — słuchając tych zaklęć,  
powstała i wyszła powoli —  
i wkrótce wróciła — i wniosła  
dzban wina z półmiskiem “ravioli.”

Jedz... zapraszała mnie słodko —  
(ach... cud z niej była dziewczyna!)  
lecz ja — nie jadłem ravioli,  
nie piłem kwaśnego wina...

Przeto odeszła posępna,  
jak ptaszę, gdy w wyraj odlata...  
(Szkoda!... gdyż miała podobno  
willę... i była bogata.)

## O MIŁOŚCI MUZYKALNEJ

Raz na koncercie smyczkowym,  
gdzie grano Chopina sonaty —  
poznałem twarzyczkę słoneczną,  
pachnącą i jasną — jak kwiaty.

Mówiła mi wciąż o muzyce —  
(gdyż koncert to był kameralny)  
a ja — słuchałem, kochałem  
i stałem się sam muzykalny.

I odtąd już wciąż z mandoliną  
chodziłem . . . (tak chciała ma flama)  
i grałem etiudy miłosne —  
i ona grywała je sama . . .

Smętnymi palcami po strunach  
brząkałem — jak błędny trubadur,  
sentymentalne ballady,  
pasaże na B-mol i A-dur.

I głosem wibrując “belcanto” —  
śpiewałem przeróżne libretta,  
arje z Halki, z Westalki —  
i kwartet z Rigoletta.

A ona wchodziła na balkon,  
oplecion w porosty, w powoje —  
i sopran łączyła swój ze mną . . .  
(Śpiewaliśmy często we dwoje.)

Jak Romeo — byłem marzący,  
równałem się z Don Żuanem. . .  
Aż raz . . . pamiętam — w noc letnią —  
zacząłem jej śpiewać — nad ranem. . .

I pieśń swą — puszczając tenorem —  
leciałem po gamach “staccato,”  
a wzrokiem błagalnym prosiłem,  
by kwiatek rzuciła mi za to.

Więc wyszła wstydliwie na balkon,  
(owiana negliżem czerwonym)  
i kwiaty podniosła z policzki  
i na mnie rzuciła . . . (z wazonem. . .)

Prysnęła mi wpół mandolina  
pieśń słodka — jak lampa zagasła,  
a ona . . . zniknęła w firankach  
i drzwi do sypialni zatrzaskała.

Tak się skończyła ta scena  
z balkonem — (w Szekspira dramacie)  
i dziś — jeśli grywam — to tylko  
na radjo aparacie. . .

## STILETTO I MIŁOŚĆ

W mem życiu sentymentalnym  
przeróżne poznałem już nacje,  
przechodząc z romantycznością  
z najniższej — w najwyższą gradację.

I tę więc pamiętam dokładnie —  
(fertyczna z niej była czarnuszka).  
Ach — ileż to jej komplementów  
i kwiatów znosiłem w dzbanuszkach!

I serce mi do niej jaśniało  
płomykiem różowym — jak lampa,  
gdyż była — jak storczyk pachnący,  
wyrosły w słonecznym „pampa.“

Włos miała gładziutko czesany,  
błyszczący jak heban swą czernią,  
a oczy — jak gwiazdy iskrzące  
w kopule niebieskiej — pod pełnią.

Kochałem ją przeto gorąco.  
(Już taką mam w życiu wytycznię,  
że gdy się zakocham — to na śmierć,  
serdecznie i romantycznie.)

Znosiłem jej cukry, przysmaki,  
ciasteczka słodziutkie z piekarni —  
a ona smażyła “tomale”  
i grzała “chili con carni”...

Aby jej Meksyk przypomnieć —  
nosiłem sombrero stożkowy,  
szarfę, stiletto i lasso —  
hiszpańskiej uczyłem się mowy.

I było nam słodko, słonecznie  
z romansem tym i sentymentem —  
śpiewaliśmy — “Cielito Lindo...  
cansonam in Caliente”...

Aż raz jej ukradłem całusa...  
(Cóż miałem uczynić z kobietą?)  
a ona mi wbiła... w kapelusz  
stożkowy swe ostre — stiletto!

I tu zgasł mój sentymentalizm —  
(pamiętna do dziś mi ta chwila)  
w najgłębszy kąt serca zamknąłem  
romantycznego bakcyła...

I odtąd już jej nie widziałem,  
nie jadłem tomali, fasolki —  
i dziś wiem — że z kobiet w romansie  
najsłodsze sercem — są Polki!...

## MIRAŻE

Idziemy drogą pielgrzymią  
z nieznanych dni — w nocie nieznanne. . .  
Czas nas nawleka na nitkę  
lat — jak paciorki nizane.

Po drodze nas łudzą i sycą  
ponętne i senne miraże —  
jawią się, śmieją i nikną  
przyjazne i wrogie nam twarze.

Czasem podchodzi z uśmiechem  
ktoś miły, serdeczny i bliski —  
ramiona wyciąga — rozdaje  
rąk ciepłych przyjazne uściski.

Czasem znów staje na drodze  
ktoś nieznamy i groźny —  
i w kieszeń wsuwa nam pozew  
do sądu życia — jak woźny.

Czasem nas wszyscy odbiegą —  
i wówczas trza iść drogą smutną,  
w przyszłość nieznaną i pustą,  
niezapisaną — jak płótno.

Więc nie dziw — że człowiek ustaje  
w podróży i czeka złąkniony —  
i pyta . . . gdzie drogowskazy . . .  
gościńce szerokie — lampjony?



Wreszcie już nie do przebycia  
staje się droga dni skalna,  
a wówczas jedyną pociechą —  
kantyczka sentymentalna.

W niej się nasz wieczór rozjaśnia,  
a chmury czarne — jak sadza —  
pod pełnią księżyca srebrzeją  
i życie się — w śmierci odradza. . .

## REZYGNACJA

Pamiętnik mój noszę w kieszeni  
i wszystko, co w życiu się zdarzy,  
wpisuję jak rachmistrz praktyczny  
dochody do kalendarzy.

Wspomnienia przeróżne, dalekie  
znizuję na sznurek, w różaniec —  
jak ongiś poeta, romantyk  
„kamienie rzucać na szaniec!“

Wszystko — co życie przetwarza  
z dociekań logicznych w rozumie,  
w kąciку ołówkiem notuję —  
w sentymentalnym albumie.

Może ktoś, kiedyś — idący  
ku stronom rodzinnym, z oddali —  
znajdzie ten album w dzień słotny  
i . . . ogień nim sobie rozpali. . .

A może i kartę zeń wyrwie —  
(bywa ciekawość ukryta. . .)  
i — siedząc samotny, przy ogniu —  
piosenkę cichutką odczyta?

I może wesołość mu wróci  
i wiara w cel drogi daleki?  
Nic przeciw temu bym nie miał —  
wszak piękno trwać może na wieki!

I tylko po wiekach dopiero  
cenną jest ducha cięciwa. . .  
Bywało już tak i przed nami,  
będzie — i dzisiaj tak bywa.

Więc pocóż się ludziom naprzykrzać  
śpiewnością marzeń nahałną?  
Lepiej już skończę i zamknę  
kantyczkę sentymentalną. . .

Odtąd — niech piszą kantyczki  
ci — którzy „mają talenta“ . . .  
Ja pójdę — robić dolary. . .  
(O doło czarna — przekłeta! . . .)

I niechaj wśród innych narodów  
błękitna wre zawierucha —  
my . . . kłonicami dobijmy  
krwawiące szczątki DUCHA! . . .

A swoich Prometeuszy  
wyrzucimy żywiołom na połów,  
a sami . . . krzyczymy i idźmy  
na stos umarłych popiołów! . . .



XII.  
Kwiecień.



## PRZEBUDZENIE

Z moczarów parujących  
jak liturgiczne kadzidła —  
wstaje wiosna i zielne  
rozwija nad światem skrzydła.

Budzi się ziemia senna.  
W poszumie chwiejnych topoli —  
zgraja świerszczy muzyczna  
pieśni o słońcu rzępoli.

Pola w rozorne skiby,  
rozwarłe świeżością — jak dziewczęce usta,  
chłoną zapachy żywiczne,  
płynące w słonecznych rozchlustach.

Łąki drżą i dygocą,  
złoci się, bieli łotacie —  
przestrzenie błękitnieją — lasy czerwienieją —  
jak niebios opadłe połacie.

Bór szumi pieśń chóralną —  
z gałęzi wieje zapach kantyleny;  
słońce rozrzuca po ziemi  
płomienne acetyleny.

Ludzie powstają zdziwieni  
i nasłuchują z oddali —  
czy nie wzywa ich głosem cichutkim  
woniający zapach konwalij?

Wkrótce zachrząści — zatrzeszczy,  
ziemia z hałasem ruszy —  
anioł przyleci i światu przyniesie  
treść zagubionej duszy.

Evviva vita!!! . . .

W łopocie kasztanowych chorągwi  
poleci nad ziemią — poleci —  
i hejnał o życiu otrąbi.

Pękaj skorupo martwoty!  
Szum życia leci po świecie. . .  
Oto przyszedł — zarosił się — i zamoczył —  
pachnący wiosną KWIECIEŃ!



## ŚPIEWAJĄCY PORANEK

Ktoś gdzieś — piosenkę śpiewa —  
w tym czy w astralnym świecie,  
chwiejna melodia kręci się i kręci,  
grana na kwietnym klarncie.

Wywija się, wydłuża i zgina,  
śmieje się — to znów jęczy.  
Ktoś idzie drogą błękitną  
po linji tęczowej poręczy.

Ktoś stąpa po obłokach,  
gromami bębni w dali i wtóruje —  
ktoś inny smykiem błyskawic  
na strunach deszczowych basuje. . .

Szumi akordjon kroplisty,  
w serca nasiąka, rozpyła się w duszy,  
opada rosą perlącą na ziemię  
i pyłem gwiezdny prószy.

W przestrzeniach wirują dzwoniące  
nasiąkłe poświatą płatki —  
strząsają je z pylnych eterów  
gwiazd rozmachane kołatki.

Łowią je dzieci niewinne  
w serca złocone ciszą —  
i dziwią się: — czemu grania  
ludzie dorośli nie słyszą. . .

A muzyka wciąż się kręci,  
przedziwna polifonja —  
wypełnia granice świata,  
w kwietniowe wsiąka ustronia.

I któż nam tak świat rozmuzyczył  
i jęczy w interwałach —  
i złoci się w słońca połyskach  
i włóczy się — jak mgła biała?

O ludzie — otwórzcie uszy —  
na granie wieczystych chwil!...  
Skrzypczy się — klarnece — mandolini —  
Chanson d'Avril.

## ORACZE

Nasiąkła słońcem ziemia  
przespawszy śnieżne noce —  
wchłania powiewy ciepłe  
i chęcią życia dygoce.

Rozłożem parującym  
włóczę się gapy-wrony,  
a zdala idzie ktoś dziwny  
ku ziemi pochylony.

Ręce spęczniałe w życia utrudzeniu  
wprzągnął w zachylony skłon śliskiego pług  
i drogą, z której — niema już powrotu —  
kładzie się w słońcu taśma skiby długa.

I tak po ziemi pieścotliwie stąpa,  
jak pielgrzym — idąc do grobu Chrystusa —  
i tak spogląda w nią pieczołowicie,  
niby w opłatek na bieli obrusa.

Układają się skiby, układają —  
łagodnie — jak fałdy ciężkiego atlasu,  
srebrzą się w słońcu błyskotliwie —  
niby godziny składane na wieczny stos czasu.

I pachną świeżością życia —  
parują — jak kadzielnice —  
składają się — jak ręce proszące  
o zapach rozczyntu chlebnego — o białą jak śnieg pszenicę.

Wonieją lepkiem omiałem  
i chłodem pieszczą stopę nogi bosą,  
wałkują się — jak dzieci z pagórka —  
i sycą kroplistą rosą.

Niebo w podziwie spogląda  
i drogi oracza prości;  
boć i w niebie siejba ziarna chlebnego  
jest powodem wieczystej radości.

A polem — idzie frasobliwie,  
oraczy licząc po świecie —  
głaskacz skib woniejących  
i siewca radości — KWIECIEŃ. . .

## DZIWNA ROZMOWA

Pękate złocistem ziarnem wory  
stoją ugrzęzłe po kolana w roli —  
i wiodą ciche — pszenne rozhowory,  
jak szyldwachy stojące nocą na patroli.

—A jak tam wypadła orka?...  
pyta wór pszeny jęczmiennego worka.  
—A no nie źle — pszeniczny sąsiedzie...  
I patrzy dziurą w boku po rozornej schedzie.

—A jakie będą siewy — a jakie — nie wiecie?  
—Mówią, że bardzo obfite.  
Pola zakwitną... a przecie — a przecie —  
zakwitną makiem czerwonym i złocistem żytem...

—Aż miło słuchać, bracie... A jak — spadną deszcze?  
—O tego nie wiem jeszcze,  
ale sądząc po kroplach rosiwa  
pozwolę wróżyć — piękne żniwa...

A na to brona,  
zgarniając skiby w palcate ramiona: —  
bracia (powiada) — mam dobrą nowinę,  
podśledzałam gdy noce szeptały ją sine...

Oto w porannej zorzy  
przyleci dnia któregoś biały Anioł Boży  
i kropidłem komety  
skropi rżęsiście skibne parapety —

i którejś nocy — po świeżystej roli  
pójdzie rozkoszny szum —  
i z traskiem pękać pocznie  
złocistych ziaren tłum —

i nad miedzami strzeli  
głów zielnych szpaler długi. . .  
—tak słyszałam —  
zresztą — słyszały to także i pługi. . .

I tak to w słońcu kwietniowym  
gwarzą wory pszeniczne, brony, radła, pługi —  
a po obłokach wiatr lata i strząsa  
deszczów srebrzystych rozperlone strugi.

I noc się z dniem tęskliwie,  
jak róża wiotka z liljami plecie.  
A polem chodzi i na ludzi woła  
rozrzutnik życia — KWIECIEŃ.

## ZASIEW

Ktoś chodzi rolą wilgotną  
w perłowo mgielnym świetle  
i z torby pełnej skarbów  
bezcennych — rozrzuca życie.

Sypie się ziarno pszeniczne  
i szuści — szeleści śpiewnie,  
opada szeptem na glebę —  
mystycznie i modlitewnie.

A on — wciąż dalej stąpa  
i parującej ziemi  
błogosławieństwa składa  
ruchami rąk ciepłymi.

Ziemia — jak gdyby czując,  
że niebo ją chlebem rosi —  
aż prosi — aż błaga — aż jęczy,  
aż łono ku ziarnom podnosi.

I jakby żywa — miłością  
w skibach pachnących się zwałnia —  
i drży w zachwytach nad cudem,  
co w siewach pszenicznych się spełnia.

A siewbiarz dalej i dalej  
idzie — rozrzuca ziarn łuski,  
w skiby rozbulgotane,  
w słoneczne jutra rozpluski.

A za nim — idą powiewni,  
zaledwie w mgle dostrzegalni —  
i zasiew skrzydłami bronią,  
broniarze jacyś astralni.

Radość po polach się włóczy,  
przeciera senne powieki,  
do stodoł zagłęda i bada —  
czy żniwom wystarczą przysieki. . .

I śni o dniu — który przyjdzie  
w jakiś upalny skłon letni  
i zasiew trudów ludzkości  
w słoneczny plon — rozkwietni.



## KIEŁKOWANIE

Po polach zroszonych porankiem  
idzie przedziwny szum i trzask,  
jak gdyby się niebo rozwarło  
i chlusnął na ziemię deszcz ulewny łask.

I chodzi — On Jaśniejący —  
i nad skibami klęka —  
i słucha — słucha — słucha. . .  
A w skibach coś porusza się i pęka.

I ktoś po zagonach przebiera  
palcami — jak po organie —  
i drży oto w ziemi — cudem niepojętym  
wieczyste ziaren kiełkowanie.

Pęka skorupa glebna  
i jęczy zagon płowy,  
a z wyłupiastych szczelin  
wyłażą dziwne głowy. . .

Żyto pachnie, pszenica — radość drży w eterze  
i rozbawiona czeladź boża rozpęd bierze;  
wrzawa — jak fala wietrzna po zagonach chodzi  
i wieści w cztery strony: — zasiew się narodził!!!

Biorą się piórka zbożne, jak dzieci — za ręce  
i tańczą po zagonach — kąpią się w jutrzence;  
szum i wrzawa radosna — gonitwa zuchwała  
tłumi się, kręci, trzęsie — po zagonów wałach.

— — — — —  
... A jak tam — dobrze rosnać?! ... pyta jęczmień żyta.  
— Lepiej niech brat wąsaty nas o to nie pyta,  
niech się dobrze rozmacha — i rośnie i rośnie —  
musimy ziemi stworzyć nowych dni przedwiośnie.

— Zgoda! ... odpowiadają owsy za pszenicą —  
niech się tylko korzenie ziemi dobrze chwycą,  
niech tylko pod nogami poczujem podpory —  
a świat i ludzi pchniemy na szczęśliwsze tory!

— — — — —  
I w krzykach, żartach, śmiechach  
szumi narodzin chwila —  
aż słońce twarz ciekawą  
nad ziemi skłon pochyla

i warkocz promieniasty  
na czubach zagonów mości —  
i mówi do KWIETNIA: — wiesz, Pan —  
tego, to nawet ja muszę Panu zazdrościć. . .

## TAJEMNE SZEPTY

Ledwie ziemia się rozgrzeje,  
a wikliny okryje szron kosmatych bazi —  
spod darni naród dziwny — zieloniutki  
kępiałą szczotką wyłazi.

I pstroszy się to — nikle, niemrawe,  
patrzy po świecie zazdrośnie —  
pęczy się — głowę zadziera i na palce wspina  
i niby dąb dorosły — udaje, że rośnie. . .

I jerzy się — (wielka fanaberja!),  
plotkuje, szepta, pnie się po przełęczy,  
aż (cudem pewno) w jedwabniste misterja  
rozkrzaczy się którejś nocy i rozpęczy.

I wówczas — o wczesnym już zmierzchu —  
po łąkach biega ktoś w drepty: —  
naród traw chodzi, kępami przystaje  
i wie dzie jakieś dziwne — podejrzone szeptu.

— Widzisz (powiada trawa do trawy) leszczyzna,  
krzew karłowaty — niemrawy,  
a tak się to pstroszy, tak orzeszy —  
niby kolos jakiś chybawy.

— A tam zaś dąb — żołędnik sękaty. . .  
grubas — ba! . . . dziupla próchniata!  
A tak się rozgałęzia — tak rozpiera  
jakoby panem był świata.

—Wogóle głupia gawiedź wzniosłopienna,  
pcha się wzwyż — robi śmieszłą konkurencję!  
Patrz — już nawet wilcze łyko i blekot  
udają eminencje. . .

—Gdyby choć tego było — jak nas — centyljony!  
Próchniaki rosną rzadko — tu i tam —  
i każdy myśli, że lasów jest gajowym,  
a prawdę mówiąc — co drugi . . . to cham! . . .

— — — — —  
I tak to szepta nocami  
naród trawiasty — zielony;  
a nad nim chyłkiem chodzi — szeptów podsłuchuje  
KWIECIEŃ rozpromieniony.

I cieszy się — że świat tak rośnie,  
że traw taka zamieć i zgraja.  
Ho ho! — pochwali się tem napewno  
do swego brata młodszego — Maja.

## PNĄCZE

Na tyczkę smukłą — wbitą  
w pachnącą skibę pola —  
pnie się w przytulnych zwojach  
bobiastych strun — fasola.

Mackami rąk lepiastych  
wspina się na wyżyny,  
a za nią okrakami  
pną się inne rośliny.

Groszki, chmiele, win zwoje,  
opłotne mchy, porosty  
wspinają się ku słońcu,  
pęd w niebo, biorą prosty.

Rośliny — niby ludzie —  
(czasem się rozteatrzą)  
o miejsc pierwszeństwo walczą,  
gdy w scenę słońca patrzą.

—A co tam — no a jak tam —  
co widzisz — przyjacielu?! . . .  
krzyknie powój bobiasty  
do wąsatego chmielu.

—A ciepło tam — a chwiejnie?! —  
pytają niskie pnące.  
—A przecież, przecież, przecież —  
wkrótce się już wystrączę! . . .

—A jasno tam — a widno —  
słonecznie — a daleko?...  
—Słońce spadło do rzeki  
i jasność płynie rzeką!

I gwarzą tak serdecznie  
i chwieją się na wietrze —  
aż zmierzch przyczłapie cichy  
i dnia kontury zetrze.

Wówczas — śni się im jasność  
parna — złocista — letnia  
i noc wśród liści chodzi  
i wącha zapach KWIETNIA.

## POTOK

Którejś tam nocy księżycowej,  
dyszącej falą gorących otumień —  
spod śniegu bielącego szczyt wyniosłej góry  
wypłynął nitką cieniusieńką — strumień.

Maleńkie to — i ledwie dostrzegalne —  
ciurkało, tłukąc głową o kamienie,  
bulgocąc, kropiąc malachity skalne —  
biegło w dalekich pól i łąk przestrzenie.

Aż wpadło na dolinę —  
na moczar tafle sine,  
na olch i wiklin tłum — co w błotach rosły —  
i z nitki . . . (patrzcie) urósł potok wód dorosły!

---

Ziewnęła ziemia żytem po zagonach,  
drgnęły przeciwiem olchy i wikliny —  
i poszła światem wieść wśród traw zmyślona  
o potoku, co robił wiośnie otrzęsiny.

Ciekawość zdjęła świat liściatopienny;  
naród sękaty przyszedł nad brzeg wody,  
ogładał, badał plusk fali strumienny  
i płatał dziwy, psoty, korowody. . .

W południe słońce taflą wód biegało,  
jak po ślizgawce — na łyżwach promieni;  
w podwieczorz krzewy snuły się nadbrzeżem  
i spozierały w wodę — tłumy cieni.

I przychodziły z puszczy senne rogacze  
i w chłodnej fali głowy swe maczały;  
kuliki, czajki, krzykliwe derkacze —  
piły nasiąkłe słońcem wód nabiały.

Nocą czeremchy, wilcze łyka, chmyze  
moczyły nogi w chłodnej ondulacji —  
i księżyc chodził nadbrzeżem i płókał  
w lustrze falistym srebrne konstelacje.

A potok płynął — rosnał — trawy pieścił  
i srebrem łuski dno swe wykryształał,  
bulgotał, szumiał — sitowiem szeleścił  
i dyszał życiem w roziskrzonych falach.

— — — — —  
Aż pewnej nocy — przydreptał nad brzegi  
KWIECIEŃ, znużony rozsadzaniem traw;  
spróbował wody — czy ciepła i czysta —  
zdjął czapkę — palto i rzucił się wpław.

I pływał... Tak go świt — rozplywanego  
ujrzał — i spłonał rumieńcem perłowym;  
A KWIECIEŃ krzyknął... i uciekł w sitowia...  
(Psoтник — był tylko w stroju adamowym...)



## W OGRODZIE

Po grzędach rozpostartych,  
objętych w płotu przęśla —  
pewnej chłodzistej nocy  
ziemia się drżeniem przedziwnem zatrzęśła.

I spod pękniętych grudek,  
jak z rosnącego w chlebnym kwasie ciasta —  
rzędami głów zielonych  
wyjrzała rzesza warzyw wyłupiasta: —

marchwie — kopry — buraki —  
brukwie — groszki — dziewanny —  
kwiaty — szałwie — sałaty —  
rzodkwie gorzkie i chropiate chrzany...

I rosło to zieleniście —  
spijało deszcze i kropliste rosy,  
aż gwiazd oczami patrząc — przez grusz liście —  
dziwiły się niebiosy.

---

Czasem wietrzyk przylatał i szelestem cichym  
zmącał, trącał, wykręcał — wodę pił z brózd michy;  
czasem słońce chodziło — oglądało grzędy,  
chwasty pielilo, liście podnosiło i prostowało pędy.

Czasem spokój zapadał — senny i pieściwy.  
Wówczas grędy szeptały niesłychane dziwy...  
Stawał w środku ogrodu — badył jaki taki  
i dyskusję wszczynął... Śmiały się buraki —

chwiały się maki, szałwie, groszki, tulipany,  
aż badyli orator padał wyczerpany.  
Wówczas kapusta niska — krępa z wielką głową  
głos zabierała — mówiąc (kapuścianą mową) —

o tem: — jaki to ludzki świat dzisiaj jałowy,  
jak wiele „mężów“ miewa — kapuściane głowy —  
jak to nawet i mędrzec żyć bez roślinności  
nie może — i roślinom rozumu zazdrości. . .

— — — — —  
W ogrodzie krzyk powstawał —  
radość ogólna, śmiech głośny i wrzawa;  
wnioski stawiano, statutów szukano. . .  
jak roślinom wywalczyć — autonomji prawa? . . .

A nad grzędami — z twarzą  
jak letni świt radosną,  
deszczem umyty, słońcem uczesany —  
KWIECIEŃ siedział na płocie, śmiał się — i flirtował  
[z wiosną.

## DESZCZ

W poranku otulonym w mgielne prześcieradło,  
lejącym w kłębach obłocznych nad światem —  
kropelek kilka — ledwie żywych padło,  
ścieląc się ciszą w warzywie łopiatem.

A potem — sypnęły inne...  
drobiazgów nikłych centyljony;  
roiły się — kręciły — chwiały — rozpylały —  
na łąki wonne, kwiaty i zbożne zagony.

Aż cały świat zwolna zatonął  
w kłębach watowych, jak mgielne opary;  
zarosił się — zamoczył — zakapał — zamrocył —  
i trząśł się — otulony nadbrzeżnym szuwarem.

A deszczyk dziobał — leciuchny i pylny,  
cykacz cypiący, lichy kapuśniaczek: —  
cipał — siekł — cykał — absorbent przychylny,  
głaskacz zagonów, łopianów i kaczek.

Rzekłbyś — nad światem pył gwiazd się wyroił  
z jakiejś słonecznej, a miodnej pasieki —  
i wsiąkał w plaster — który Bóg odkroił  
i nazwał ziemią... przed dawnymi wieki.

I nagle cała ziemia się zatrzęsła: —  
w lasach poczęły trzaskać drzewne pąki,  
grzędy łapały krople w płotów przesła,  
z kielichów kwietnych — piły wodę łąki.

Trawy zjeżyły swe szczotki czupurnie,  
żyta łykały miód deszczu z zachłystem —  
wilgoć wdychały nawet górskie turnie  
i rosę piły zagony faliste.

Zahuczał pieśnią życia świat liściasty —  
pił wodę, łykał krople, krzyczał: — jeszcze!!!...  
I brał pod rękę wrogów swoich — chwasty,  
i siedł kołysząc się... (pijany deszczem!)

— — — — —  
A z łąki wylazł KWIECIEŃ zamoczony,  
podwinął lniane nogawice —  
i siedł i liczył jęczmienne zagony,  
i wachał żyta — i głaskał pszenice.

I patrzył w bezkres pól wonnych radośnie,  
pytał o zdrowie lnów — bobbiastych fasol;  
śmiał się i szeptał coś na ucho wiośnie —  
niosąc nad nią ostrożnie — z łopianu parasol... .

## ODEJŚCIE

Pewnej północy księżycowej,  
srebrem bielonej — mgłą oblepłej —  
powiał po trawach szmer lękliwy,  
szept przyczajony w rosie ciepłej.

Drzewa — nasiąkłe słońcem ręce  
schyliły ponad rzeszą trawią,  
jak matki — gdy głowy dziecięce  
głaskaniem włosów — błogosławią.

A łąką szedł ktoś w gwiazd osypie,  
rozpromieniony i przejrzysty,  
a z nim — szła woń zapachła w lipie  
i świerszczów ciche szły poświsty.

---

I stanął nad strumieniem,  
płynącym taśmą mleczną w dal ciemną srebrzyście  
o wierzbę wsparł się ramieniem  
i twarz mokrą wycierał łotacianym liściem.

I patrzył długo w taflę wody lśniącą,  
jak w czarodziejskich wróżb pełne zwierciadło —  
jak gdyby postać swą błękitniejącą  
chciał na zawsze nasycić ciszą wód wybladłą.

A w pobliżu — jakoby lękiem chwili zdjęte —  
trzęsły się liście osiny w szeleście.  
Ktoś rozsypywał po nadbrzeżu miętę,  
ktoś zapachem koniczyn chciał przykryć nieszczęście...

— — — — —  
Przy pniu osiny — objętym w ramiona,  
stał KWIECIEŃ . . . blady — ledwie dostrzegalny —  
twarzą przywarty do drzewnego łona,  
mglił się i białł — jak osyp astralny.

I wsiąkał zwolna w miesięczną poświatę,  
posrebrzał pienny słup — nasilał korę —  
i nikał, topniał — mgielnym bezformatem;  
aż cały wsiąknął w drzewo — i stał się fosforem. . .

— — — — —  
Wówczas nad ziemią szum przeleciał halny  
i zapach powiał — niby miód ze słodni.  
Odszedł w niebyty — siejbiarz niewidzialny —  
i niewidzialny nadchodził ogrodnik. . .

Granie i śpiewny szmer wił się wśród lasu —  
marsza ktoś forte ciął — tempo assai. . .  
Na liściu olchy — wśród trawnych tarasów  
płynął i na harmonji grał srebrzyście . . . MAJ!

XIII.

Sen Nocy Letniej.





## UCZTA MARZENIA

Noc letnią mi dajcie — noc cichą,  
gwiazdami skrzącą i siną —  
chcę z lilij wonnych kielichów  
pić marzeń szampańskie wino!

Wiśniowym chcę upić się sokiem,  
absyntem woni różowej —  
i zbłądzić w życie wysokiem,  
w gorączce nocy sierpniowej.

I usnąć na trawnym dywanie,  
w pokosach świeżego siana  
i śnić — i śnić . . . sny szalone  
o nocach wieczystych — bez rana.

Chcę myśli rozpętać i luzem  
puścić gościńcem dalekim,  
zaszumieć nad światem — jak burze,  
zatargać bytu wiekiem.

I nie chcę nic wiedzieć — nic zgoła  
o tem co było — i będzie . . .  
niech przeto mnie nikt nie woła —  
zostawcie mnie w marzeń obłędzie!

Noc dajcie mi taką — noc jedną,  
pijaną marzeniem — na sianie!  
a potem . . . już wszystko mi jedno —  
nie dbam co potem się stanie!

## PIEŚŃ WIECZORNA

Wieczorne ścielą się mroki,  
zwisają liście na drzewach,  
dalekie słyszę kroki —  
noc idzie — noc dojrzewa.

Spokój przedziwnie cichy  
kwiatem paprotnym zakwita —  
kapią irysów kielichy,  
pachną dalekie żyta.

Rosy padają na ziemię,  
chylą się malw badyle —  
Bóg bierze ludzkie brzemię  
i snem osładza dnia chwilę.

Idzie sen nocy letniej  
ku sercom ciszą olbrzymią —  
słowiki stroją fletnie,  
z nad pól kadzidła dymią.

I coraz ciszej — senniej  
w sercach, na polach, na łąkach,  
kończy się dnia umęczenie —  
anioł po zytach się błąka.

A niebem — księżyc w pełni  
sunie srebrzyście, roztocznie...  
O kiedyż sen wieków się spełni  
i serce ludzkie spocznie?!

## TEŃSKNOTA

Tęsknię — sam nie wiem do czego —  
i szukam rzeczy nieznaných,  
ustronia bardzo cichego —  
pól ciszą ukołysanych.

Pod nieba kopułą zieloną,  
wśród gwiazd bladawo skrzących,  
tam — gdzie marzenia płoną  
i rzeczywistość się kończy.

Tam — gdzie anieli przychodzą  
po tęczach i skrzydły białemi  
serca zbolale chłodzą  
i rozpacz zmiatają z ziemi.

Tam — gdzie nad głową już tylko  
wieczność i słońca płonące  
i gwiazd pasące się trzody  
na nieba błękitnej łące.

I nic już więcej nie słyhać —  
prócz szmeru pędzących stuleci,  
przez które ziemia — planeta  
zbląkana w bezkresach leci.

Jest takie miejsce podobno  
i takie snów bezkrólewie —  
wszyscy do niego tęsknimy  
i nikt z nas o niem nie wie. . .

## NOKTURN ROSISTY

Noc letnia chodzi po ziemi —  
rozmiłowana i wonna,  
szalami mgły białemi  
okrywa bżom ramiona.

Ogląda kwiaty złamane,  
pociesza senne drzewa —  
szumi dębowym organem,  
rosiste nokturny śpiewa.

Roślinom zdeptanym przez ludzi  
podnosi badyle więdnące  
i szeptem życia budzi —  
i każe czekać na słońce.

Błąka się w polach pszenicznych,  
perlące sieje rosy —  
złociste zagony liczy,  
brzemienne całuje kłosa.

Wchodzi do sennej wioski,  
radością gwiazd się spromienia —  
i koi ludzkie troski  
słodyczą wiecznego marzenia.

I dziwi się: — czemu — ach czemu?!  
po dniach, po latach, po wiekach —  
ze wszystkich natury problemów —  
największą jest — boleść człowieka. . .

## DUCH NOCY

Jest chwila — gdy polami  
chodzi duch nocy letniej  
i stroi skrzypce świerszczom,  
słowikom zwilża fletnie.

Skowronkom skrzydła zmęczone  
ogłada i ciepłem leczy —  
i miodem sennej bezwiedzy  
osładza ból człowieka.

A kwiatom główki powiędłe  
skrapia chłodzącą rosą —  
i trawy pociesza: — że życie  
nie kończy się ostrą kosą. . .

Palcami ciepłymi — jak matka  
prostuje skrzydła motyle  
i szepta: — że słodsze nad wieki  
radości bożej są chwile.

Burze gromami brzemienne  
na falach wiatrów rozpędza —  
i dziwi się: — czemu na ziemi  
taka niedola i nędza? . . .

I czyta z księgi praboskiej  
tajnie odwiecznej mądrości: —  
że człowiek najwięcej cierpiąc —  
najwięcej ma radości.

## KSIĘŻYC W SADZIE

Księżyc ponownym sierpem  
lećąc po niebnym rozlewie —  
zaczepił o gwiazdę kantem  
i upadł — i uwiązał w drzewie.

W gałęzi rozwianych warkoczach  
zaplątał się — (błady ze strachu. . .)  
i kapie łzami srebrnymi,  
jak deszczem — na okap dachu.

A drzewo kwietnymi ramiony  
oplótlszy srebrną kulę —  
głaszcze ją liści jedwabiem,  
do pnia — jak do łona ją tuli.

Grusze, jabłonie — jak ludzie —  
biorą ją lekko na ręce,  
podnoszą — proszą: — uciekaj  
nim dzień zapłonie w jutrzence! . . .

W sadzie — jak w nawie kościelnej —  
szmery, półszepty i cisza. . .  
Drzewa drżą w strachu — by człowiek  
płaczu księżycy nie słyszał.

Niech tylko usłyszysz — a wstanie,  
rozewrze chaty wrzeczadze —  
i księżyc złapie — i skrycie  
przekuje na srebrne pieniądze. . .

## OPAD GWIAZD

Na ziemię cichą i senną,  
na glebę ludzkiej tęsknoty —  
ulewą deszczu strumienną  
sypie się osyp gwiazd złotych.

Jak łzy płaczących aniołów,  
jak rosa niebem pachnąca —  
leczą do życia wądołów  
białe okruchy słońca.

Zwisają szronem na drzewach,  
wsiąkają mąką w żyta —  
jasność do brózd się nalewa,  
czerwienią maków zakwita.

I oto w srebrnej bieli  
spełnia się sen nocy letniej —  
hymnem kościelnej kapeli  
śpiewają drzewa stuletnie.

Modlą się żyta chlebem  
wonnym — jak boża manna —  
kłosa całują glebę: —  
Hosanna Bogu — Hosanna!..

Ziemia stopniała w melodji,  
niebo zamienia się w tony: —  
o kiedyż wyjdzie na gody  
duch ludzki — umęczony?

## GWIAZDA W ŻYCIU

Dziś w nocy — gwiazda płonąca,  
zbłądziwszy z elipsy w błękicie —  
spadła na łany kwitnące  
i w złotem ukryła się życie.

I oto polem kłosisiem  
płynie srebrzysta poświata,  
rozlewa się w owsach, w jęczmieniach,  
rozbiela się w łąkach i w kwiatach.

Miedzami sączy się, srebrzy,  
w żyta, w pszenice wsiąka...  
O Boże, jakaż z tych ziaren  
słoneczna będzie mąka!

Nim dzień zapłonie nad ziemią  
w warkoczach różowej jutrzenki —  
ciepło gwieździste upiecze  
nam krągłe jak słońca — bochenki.

Teraz już głodnych nie będzie...  
każdy otrzyma do syta: —  
pachnący bochen chleba,  
pieczony na gwieździe — wśród żyta.

Twarze szerniały od głodu  
kołacz słodzysty wybieli...  
Lecz kto ten wonny dar Boży  
nam sprawiedliwie rozdzieli?!



## BUNT W SADZIE

Niby lunatyk rozśpiewany  
chodzę aleją agrestową —  
wiatr mi śpiewnistym gra organem  
symfonię nocy owocową.

Agrestu bobki słodziste  
klon stary sypie mi w kieszeń  
i cały drży — dygoce — tańczy —  
w takt symfonicznych uniesień.

A brzoza włosów pęk struniastych  
rozpina na żerdziach opłocia  
i jęczy śpiewna polifonja —  
muzyczna ... (kto wie — może kocia?..)

Po trawie — werblem kroplistym  
bębnią lecące czereśnie.  
Sad wstaje, szumi — w pola idzie...  
tak śmiesznie — och tak śmiesznie!

Stodoły podkasały strzechy  
i drepcą chwiejnie za sadem —  
z za węgieł patrzą oczy — ślepia...  
w ciemności czekoladę.

Ktoś biega wioską przerażony,  
do okien puka — krzyczy — budzi: —  
sad się zbuntował!... sad ucieka!!...  
O ludzie!!! (sad boi się ludzi...)

## PROBLEM

Śnił mi się dzisiaj sen straszliwy...  
(sen to — czy miałem febrę?)  
kazano mi rozwiązać trudną  
życia ludzkiego algiebrę.

Dano mi nakaz zbilansować  
kompleks wypadków zawiły: —  
odjąć, pomnożyć — dodać, podzielić —  
tajemne serca siły.

Kazano tym — co nic nie mają  
odciągnąć i do świtu —  
dodać tym, którzy mają wszystko  
i cierpią tylko z przesytu.

Kazano mi lękliwych straszyc,  
pomnażać odwagę zbrodniarzy,  
kraść tym — co dóbr jak oka strzegą,  
dać — niemającym straży.

Kolumny liczb, ułamki, zera  
ginęły w gwiazdnych stropach,  
w dziwnie zawiłych — mętnych sferach,  
wszystko na przekór i na opak.

— I cóż to jest za matematyka?!  
pytałem — idąc drogą sprzeczną...  
— Nie pytaj, rzekł mi głos — lecz ufaj!  
Odpowie na to wieczność!

## KWIAT PAPROCI

W ustroniu przez ludzi nieznanem,  
gdzie szumi gąszcz nieprzebyta —  
noc letnia gra zielnym organem  
i kwiat paproci zakwita.

W sierpniowej ciszy ciepłe,  
na jakiejś nieznannej przełęczy —  
jak motyl płatkami trzepie  
i skrzy się barwami tęczy.

I czeka na ludzi — by właśnie  
przyszli i płatki zerwali —  
nim sen nocy letniej się prześni  
i barwa tęczowa się spali.

Rozkosze niewysłowione  
sercom cierpiącym przyrzeka —  
jaśniej tęczy welonem  
i na pragnących czeka.

Niesie nas w kołowrotach  
pytań odwieczna fala: —  
gdzie kwitnie paproć żywota,  
że nikt jej dotąd nie znalazł?

Od lat — od wieków tysiąca —  
szukamy kwiatu paproci,  
a on — przy blaskach miesiąca —  
w głębi serc naszych się złoci.

## ŚMIERĆ NA ŁĄCE

Zaledwie świt zabielił niebo  
i w rozperlone wsiąknął rosy: —  
śmierć przyszła szeleszczącą glebą  
z hakiem zagiętym — w ostrze kosy.

Zagrała szorstką pieśń oselką,  
szczęknęła gniewnie w stal zieloną  
i niewymownym krzykiem zgiełku  
idzie faliście po zagonach.

Ponad głowami traw i łąnów  
poleciał groźny świst przyziemny,  
jak zgrzyt po strunach fortepjanu,  
gdy w nie uderzy grajek ciemny.

Ucichła nagle pieśń poranna,  
łąnów pszenicznych antyfona —  
niby egzekwja na organach,  
krzykiem rozpaczy zakończona.

Bryznęły łez kapiącym bobem  
rosy wiszące — jak kryształy,  
słowiki — jęcząc hymn żałoby —  
jak niemowlęta zapłakały.

Ucieka zgraja świerszczy boża...  
(tak boża tylko — i niczyja!)  
O czemuż ten — co nic nie stworzył —  
wszystko uśmierca i zabija?

## SENNA MARA

W obłądnem życiu zagubiony,  
w ogłuchłem wrzawą mieście —  
o sny młodości mej szalonej,  
słoneczne sny — gdzież jesteście?

Tęczowym szedłem pomostem  
w błękity gwiezdnych rozłoży —  
życie zmyliło szlak mój prosty,  
słyszę świst kul — szczęk noży!

Widzę narodów bój szalony  
o prawa nie serca — lecz brzucha. . .  
Miecze ogniste tną — duch kona —  
głowy spadają — krew bucha.

Krwawią się ręce umęczone,  
pęcznieją żyły napięte —  
zabitych ciał leżą zagony,  
jak zboża po burzy — niezżęte.

Niema już praw na ziemi — niema!  
Przemocy tylko tną siekiery —  
piekła takiego nie oglądał  
sam Dante Alighieri.

O kiedyż wreszcie sen się skończy,  
poczęty w czerwonej szarudze —  
i kiedy — odrodzeni w słońcu —  
z upiorów czarnych — wyjdą ludzie?!

## NAJMILSZE ZAJĘCIE

Dobrze jest spocząć na trawie,  
gdzieś w rozłożystych drzew cieniu,  
po dnia szalonej wrzawie,  
po życia utrudzeniu.

I dobrze zapomnieć o wszystkim,  
co było i — co będzie,  
zabłąkać się myślą wieczycie  
na gwiazd najdalsze krawędzie.

Nie myśleć o tym, co wolno,  
a co jest zakazane —  
i wlec się gdzieś miedzą polną  
i woń pić malw roztruchanem.

Zmienić się w opar gorący,  
co nad łąkami ulata  
i płynąć gondolą miesiąca  
nad męką krwawego świata.

Bawełną białych obłoków,  
co w świetle gwieździstem mokną —  
milczeniem nieistnych kroków  
wejść do chat ludzkich przez okno.

I rozdać się srebrem księżyca  
braciom cierpiącym w barłogu —  
i w życia zwiłych granicach  
znaleźć do serca drogę!

## ODWIECZNY KONCERT

Rozrzechotały się zabami  
stawy — jak lustra lśnią laguny,  
śpiewają szumnie gibkie trawy,  
jak mandoliny słodkie struny.

Noc położyła palce zimne  
na drzewach — o gałęzie trąca  
i szumi wiecznym życia hymnem —  
o gwiazdach — o płonących słońcach.

Zagrały lasy — pachną pola —  
śpiewają pieśń o chlebie — żyta,  
na strunach miedz — na brózd wiołach  
melodja barwą tęcz zakwita.

Jak życie szumna — jak sen cicha  
słowicza w gaju tnie kapela —  
pijana wonią — w róż kielichach,  
srebrem melodji noc wybiela.

Gra świat, gra życie — wieczność słucha,  
stanęła w eliptycznym pędzie,  
w komet warkoczach, w słońc wybuchach —  
śpiewność nitkami lnu się przędzie.

Bóg na słonecznym usiadł tronie,  
nad pieśnią życia się zdumiewa: —  
o kiedyż — kiedyż wreszcie człowiek  
z Bogiem — kosmiczną pieśń zaśpiewa?!

## MELODJA NIEZNANA

Mówię i śpiewam i gram  
melodję sobie nieznaną,  
poczętą u szczęścia bram  
w prawieczy pierwsze rano.

Po strunach promieni słońca  
rozpędzam palce pieśnią,  
dusza ma — ogniem płonąca —  
zakwita wonną czereśnią.

Na wielobarwnej tęcz osnowie,  
na gwiazd srebrzystych krosnach,  
tkam sny o szczęściu fioletowe —  
o złotych latach, wonnych wiosnach.

I życie kwitnie mi na nowo  
barwami dziwnej łąki,  
a serce arją drży solową,  
zakłętą w perłowe konchy.

O jakże słodko jest zaśpiewać,  
gdy noc zapadnie cicha —  
i życie miodem się przelewa  
w kwiatów rosistych kielichach!

O jak rozkosznie jest zabłądzić  
w dniach — jak w stuletnich drzewach  
i czekać świtu — który zbudzi  
świat — i wszechludzką pieśń zaśpiewa!



## PIEŚŃ O SZCZĘŚCIU

Wyrosłaś mi w sercu, jak mięta  
po deszczu w ciepłe słonecznem —  
o pieśni przez Boga poczęta  
w świtach najdalszych prawieczy!

Jak wrzawa skowrończa w lazurze,  
roztrzepotana i śpiewna —  
przetrwałaś ducha burze,  
niby zaklęta królowna.

Dni utrudzenia pełne,  
noce strawione w męce —  
przyszły — jak hymny kościelne,  
na skroń położyć mi ręce.

Wonność nade mną się pyli,  
łagodność — srebrna i słodka —  
tęczowym deszczem motyli  
sypie się pinja wiotka.

I oto nagle treść życia,  
zdeptaną przez ludzi — mrącą,  
pojąłem w nowym rozkwicie  
w słońc i księżyców tysiącach.

I nie wiem już co mi jest milsze  
w tym księżycowym zachwycie: —  
sen nocy letniej — sen wieczny,  
czy krótkie — a śpiewne życie?

## ŚWIT

Z nad gwiazd, z nad pól, z nad żyt,  
z nad niekoszonej łąki —  
wykwitnie jasny świt,  
dojrzeją marzeń strąki.

Sycony chłodem rós,  
liljowym lśniący kwiatem —  
wyleje się — jak z kruż,  
miód wonny ponad światem.

Zaszumi śpiewnie sad  
symfonię owocową —  
czereśni spadnie grad,  
pobudkę bębnić nową.

Zapachnie świeży chleb,  
na gwieździe upieczony —  
skibami żyznych gleb,  
w bochenków centyljony.

I w jakąś srebrną noc  
opadnie księżyc biały —  
i wówczas każdy z nas  
będzie miał kapitały.

Stanie się bowiem cud  
i życie rozbłękitni —  
gdy kwiat paprotnych złud  
w śnie nocy letniej — zakwitnie...

XIV.  
Złodzieje Słońca.



## SPISEK

Krążą pogłoski, że jacyś złodzieje  
spisek uknuli na zgubę ludzkości;  
wstają podobno raniutko — gdy dnieje,  
idą z miechami, w tajemnej radości —  
i, kiedy wstaje w swych blaskach — płonące,  
kradną i chytrze chowają gdzieś — słońce.

Z tego powodu narodom się zdaje,  
że słońce blednie i słabiej nam świeci.  
Popłoch rzucili na świat — ci szachraje,  
o czym już piszą dzienniki . . . a dzieci  
wrzawę podnoszą — hałastry krzyczące: —  
łapać złodziei . . . bo skradną nam słońce! . . .

Chciałby już człowiek tę dziwną historję  
puścić raz kantem — i zaśmiać się głośno,  
lecz jak — gdy fakta stwierdzają teorję —  
(a faktów tyle — i z każdym dniem rosną).  
Wystarczy spojrzeć na twarze i miny —  
gorzkie, ponure . . . Ho ho — to nie kpiny!

W autach nowiutkich, asfaltem bulwarów  
pędzą, lub siedzą za stołem, w kawiarni: —  
kupcy, bankierzy, zarządcy browarów,  
chytry giełdciarze — i biali i czarni;  
wszyscy bezdennie strapieni, skwaszeni,  
smutni — podobni do trupów i cieni.

Spytaj takiego: — co słyhać, mój panie?  
— Ciężko, powiada — świat wali się z nędzy!  
Rozpacz, depresja . . . Ot czyste skaranie!  
Pieniędzy nie mam . . . pieniądze, pieniądze!  
I pójdzie smutny, jak gdyby swą trumnę  
niósł i powiesić się szedł pod kolumnę.

Jednak złodzieje — (jak slysze w sekrecie)  
nie są tak straszni — choć żyją bez troski;  
sami ich łatwo wytropić możecie: —  
mają na twarzach swych wygląd szelmoski,  
śmieję się głośno z depresji i z nędzy,  
z paktów, kontraktów, bilansów, pieniędzy.

Mówią — ci głupcy, że szczęście nie mieszka  
w złotych pałacach, w produkcji, w maszynach.  
W życiu być musi — i słońca domieszka,  
inaczej ludzkość, pędząca po szynach —  
pryśnie jak bańka pod ostrzem pioruna. . .  
Gadaj z takimi. . .

Audaces juvat fortuna!

## STRASZNE ODKRYCIE ASTRONOMA

Wczoraj podobno, gdy szło horyzontem  
słońce płomienne — przez tubę lunety  
astronom pewien — wymiarem dziesiątym —  
śledząc obroty jakiegoś planety,  
ujrzał (jak głoszą najnowsze reklamy)  
dziwne na słońcu odcienie — i plamy.

Ze był to człowiek wielkiego rozmachu,  
wylazł na dachu wydętą kopułę —  
i tak się przeląkł, że runął w dół z dachu  
i dziś w szpitalu — majączy fabułę —  
plecie: — że plamy . . . to zmarli artyści. . .  
(W co naturalnie — nie wierzą statyści).

Mistycy jednak, słysząc te wywody,  
poparli tezę, twierdząc jednogłośnie: —  
że, gdy artysta w nędzy umrze młody —  
idzie na słońce . . . i tłum ich wciąż rośnie,  
i że to mrące szybko pokolenie —  
zaludni słońce i robi — zaćmienie.

Strach padł na ludzi. Świat robi co może,  
by tych niezdarów, odludków, mazgajów,  
kradnących słońce, błękity i zorze —  
skierować siłą ciężkości — do Raju,  
albo jakimiś nowymi drogami —  
puścić etapem — na plaże w Miami.

Niech tam, owiani dostatkiem i ciszą  
żyją — (ten balast postępu ludzkości),  
niech tworzą, grają, malują i piszą —  
i niech dożyją sędziwej starości;  
tymczasem — może ktoś, jakąś maszyną  
zastąpi słońce — a wówczas . . . niech giną!

Z tego powodu artyści w swym świecie  
zrobili nagle ogromną sensację: —  
mistrze muzyki, malarze, poeci —  
tańczą z radości (ba — mają też rację).  
Projekt cudowny, aż bierze oskoma.  
(Niechaj w opiece ma Bóg astronoma.)

Niestety jednak — jak w każdej uciezce  
bywa i smutek . . . Już tajne kontakty  
robią giełdjarze: — iskrową depeszę  
słać chcą do Boga po nowe kontrakty,  
by zmarłych mistrzów — pchać wprost na Neptuna!  
I bądź tu mistrzem. . .

Audaces juvat fortuna! . . .



# FILOZOF

(Złodziej numer 1)

Filozof rzymski — nad papyrusami  
siedział i myślał w ogromnej boleści,  
głodny, spragniony — szczekając zębami —  
przesiedział dni tak i nocy czterdzieści,  
pisząc rozprawę: — skąd ducha misterja  
i podświadome cerebrum kryterja . .

Choć od napięcia pękała mu głowa,  
myśli, jak kruki — dziobały go w nerwy,  
on — jak z marmuru postać Jowiszowa —  
siedział wpatrzony w twarz „boskiej Minerwy“;  
a gdy głód dwoił, troił — mnożył susy,  
począł powoli — zjadać papyrusy.

I gdy najwyższej dosięgał potęgi —  
(a głód nacierał i myśli rwał w zamęt)  
począł jeść skrypta, foljały i księgi,  
pióra, kałamarz . . . i wypił atrament —  
i, gdy już sławę zagarnąć miał łupem,  
„eureka!“ . . . krzyknął — i nagle padł trupem.

Wówczas wodzowie, cezary, plebeje  
ujrzeli nagle kto był ów umarły;  
imperjum całe — aż po Pireneje —  
krzyknęło: — umarł kolos . . . a my karły!  
A krzyk zaszumiał w wysmukłych kolumnach —  
Aaa . . . szkoda mędrca! . . .

Audaces juvat fortuna!

## POETA

(Złodziej numer 2)

Nie wiem jak długo coś tam pisał w ciszy,  
ba — nikt nie wiedział nawet, że on pisze —  
dziwak . . . Miał bowiem zwyczaj taki mniszy,  
że kochał spokój i miłował ciszę,  
a że od świata dostał gorzką lekcję —  
drwił sobie z łaski — nie dbał o protekcję.

I kto wie czyby kiedyś swe koncepty  
pisane słońcem chciał rozsunąć ludzkości;  
nie szukał sławy, pisał bez recepty,  
nie chciał fortuny — nie rzucał więc kości.  
Raz jednak, w wielkim natchnieniu momencie,  
powziął straszliwe w myśli przedsięwzięcie.

Słyszał podobno serdeczny odludek,  
że ktoś, gdzieś, kiedyś sprzedał poematy;  
kto je zakupił i z jakich pobudek,  
wczoraj to było, czy przed dwustu laty  
o tem nie wiedział. Bo i pocóż? Przecie  
poezja zawsze — ma pokup na świecie.

Tak! Sprzedam — mówił. Mam cenne klejnoty,  
słońce w kieszeni i zorzy czerwieńce;  
wezmę nowiutkie, trzeszczące banknoty  
będę rozdawał — aż zabolą ręce. . .  
Mnie mało trzeba. Dam — niech wszyscy mają. . .  
(Oj ty serdeczny, kochany mazgaju!)

Wziął więc pod pachę, jak brylanty cenne —  
pakunek słońca, owinięty w tęczę,  
szepty poranków jasnych, dni promienne,  
zapachy łąki, kwiaty, sny młodzieńcze —  
i poszedł ugjać przed możnymi karku,  
sprzedać swą duszę — za grosz na jarmarku.

---

Ktoś, gdzieś podobno — śmiał się głośno, długo  
i ktoś, gdzieś wzruszył zimno ramionami,  
coś niebem w nocy gnało jasną smugą,  
ktoś płakał cicho, długo wieczorami,  
ktoś — patrząc w jego oczy szklane, łzawe,  
dobył miedziaka i dał mu — na kawę. . .

---

I — patrzcie, wrócił! . . .

---

Nie płacz, serdeczny niezdaro skrzydlaty!  
Tu cicho usiądź . . . Pisz — z serca kawały  
wyrrywaj — mieszaj łyzy, słońce i kwiaty —  
i rzucaj szczęście garściami w świat cały!  
O spójrz tam . . . widzisz? W wieńcach twoja trumna!  
Poco ci złoto? . . .

Audaces juvat fortuna! . . .

# MUZYKANT

(Złodziej numer 3)

Zamknijcie gęby — schowajcie w kieszenie  
ręce bijące oklaski i brawa!  
Niech gra — jak wichrem wydęte płomienie;  
po taśmie drogi mlecznej idzie sława —  
i duchy tańczą na gwiazdach skrzydlate...  
To maestro, genjusz — drugi Sarasate!

Nikt tak podobno nie bierze crescenda,  
w niczyich rękach nie płaczą tak struny.  
A forte — w dolce i dyminuenda  
komuż tak ścichnie — jak zgasłe pioruny —  
i komu, ciurkiem — jak krople z urwiska  
gama srebrzysta tak perląc się tryska?

Ho ho — to wielki i taki gorący  
talent! (mówicie) — Rozsławi nam imię —  
wirtuoz taki — jak wulkan płonący  
błyśnie nad światem — jak meteor w dymie —  
i pójdzie wygrać lamet polskiej duszy —  
ziemią zatrzęsie i niebo poruszy.

---

O jakimś świecie poszedł grajek cichy  
maszynom śpiewać słodkie serca hymny.  
I grał — aż kwietne płakały kielichy  
i las rosisty szeptał pacierz zimny,  
i nimfy leśnie tańczyły wśród cieni  
i księżyc śpiewał na srebrze promieni.

A on szedł na przód — coś go niosło, gnało —  
nocami gwiazdy wzywały go z dala,  
poranek wołał taśmą świtów białą,  
symfonje plusków grała srebrna fala —  
i jakieś fatum — słodkie jak kochanie,  
co duchom każe żyć i jeść — śniadanie. . .

---

Pięknie grasz — rzekli — masz talent bezcenny.  
Cóż więcej umiesz? . . . Dziś trza być ekspertem. . .  
Patrz — grają płyty, gramofon, anteny,  
maszyny grają . . . Świat żyje koncertem. . .  
Sztukę sprzedają na funty, na łuty. . .  
Cyrkiel bierz w rękę — do błota rzuć nuty!

---

Lecz on nie rzucił . . . Z skrzypkami pod ręką  
poszedł grać dalej — z swym głodem i losem;  
świty go jasną witały jutrzeńką,  
siano świeżystym pachniało pokosem,  
a ludzie jacyś — co z bólu nie spali —  
muzyki dziwnej nocami słuchali.

I słuchał także On — Kapelmistrz Święty,  
wielki Artysta, łowiący serc tony. . .  
Wstrzymał orkiestry anielskiej marsz dęty,  
usiadł na tronie — i patrzył zdumiony.  
I westchnął . . . Nagle — zgrzyt . . . Aaa — pękła struna! . . .  
O serce — serce!

—Audaces juvat fortuna! . . .

## MALARZ

(Złodziej numer 4)

Dziś chciał już skończyć... kolega serdeczny,  
wyszedł na chaty swej wąską werandę,  
jak Michał Anioł — gdy sąd ostateczny  
ujrzał... Zapłakał, kochaną swą grandę  
pożegnał. Pędzle, palety i płótno  
rzucił na śmietnik — i zaśmiał się smutno.

„Dosyć mam tego! Nie trzeba mi łaski!  
„Mistrzu“ mi mówią — podnoszą do nieba.  
Kpię sobie z świata i pluję w oklaski!  
Sławę mi wróżą? Tak — sławę bez chleba“...  
I ruszył z straszną pogardą u powiek,  
jakby chciał ziemię kopnąć... (Dziwny człowiek.)

Stój — wrzasłem — rozważ i nie giń tak marnie!  
O co ci chodzi? O pół funta chleba?  
Dziwny człowieku — ty możesz piekarnię  
mieć i jeść torty najśłodsze — gdy trzeba...  
Ty z twą paletą, pędzlami, farbami  
wszystko mieć możesz i dzielić się z nami!

Słuchaj — nim umrzesz — namaluj indyka  
i, pewnej nocy — gdy spać będą ludzie —  
podejdź pod obraz, gdzie bestja dzika  
drzemie... i ciapnij siekierą po udzie...  
Pyszna jest pieczeń z indyka — mój panie!  
Jedz i nas zaproś na smaczne śniadanie.

Potem na płótno rzuć lekkie pastele;  
chłodne gór stocza wyłaczaj farbami —  
potok szumiący wśród skał — akwarele  
plaży rozkosznej — na piaskach — w Miami!  
Niech się wykąpią w prysznicu jutrzeńki  
ci, co po domach nie mają łazienki.

Tyś najbogatszy ze wszystkich złodziei!  
Brylanty słońca masz na swej palecie.  
Postaw sztalugi i farby skolei  
sercem rozgrzewaj — i wszystko na świecie  
złoto wymaluj — i zbieraj garściami!  
Takie bogactwo — mój bracie — nie plami.

Że butów nie masz, że dziury w kieszeni —  
i zejść nie możesz z jasnego Parnasu. . .  
Wymaluj sobie płaszcz z jasnych promieni,  
a przed bogaczem świat zmięknie odrazu!  
I czekaj . . . Może — gdy umrzesz — zdumiony  
ktoś kupi obraz — zapłaci miliony. . .

Widzisz, niezdaro, jak jesteś bogaty?  
Złodzieje Słońca ci tego zazdroszczą.  
Pożycz mi proszę — dwa złote dukaty —  
kupię im pieczeń . . . bo długo już poszczą.  
Ty żyj i pływaj w złocistych lagunach.  
Jakoś to będzie. . .

—Audaces juvat fortuna!..

# LOTNIK

(Złodziej numer 5)

Furkotem szybkim, z odwagą u steru  
puścić się w przestrzeń — jak kula z armaty,  
rozpięciem skrzydeł po falach eteru  
ślizgać się lekko w planety, w zaświaty;  
niech wstydem spłonie legenda prastara  
o lotach w słońce greckiego Ikara.

Pogoda cudna, a słońce skry sypie,  
samolot lekki, a motor aż dzwoni.  
„Na bok! . . . Startuję po gładkim nasypie  
siłą zawrotną, rozpędem stu koni;  
Wiley Post, Lindbergh — niech patrzą z daleka,  
rekord ich biję — na słońcu ich czekam!“

Ruszył i w dali tkwi mały — jak kropka;  
cichnie grający propeller w błękitcie.  
Wszystko, co widział świat dotąd — to szopka.  
Taki lot w słońce — to konkwest, to życie!  
Zdziwi się Stwórca — skąd taki ryzykant?  
Dobrze zapłaci motoru fabrykant.

Co to za rozkosz — na taką wycieczkę  
puścić propeller tak młynkiem, by trzasło —  
ciąć, jak sieczkarnią błękitny na sieczkę,  
a drogę mleczną ubijać na masło,  
mijać księżyce, prześcignąć komety. . .  
Landing? . . . Na polach „jakiegoś“ planety!



Śmiałek ten lotnik — bo któżby tak drugi  
ruszył sam jeden zaświatowym traktem?  
Kolumb to chyba niebieskiej żeglugi!  
czeka go sława, wodewil, kontrakty.  
Niech tylko wróci — a zaraz w ramiona  
porwie go ludzkość — odwagą zdumiona.

Lecz cóż to, patrzcie! Tam co się wynurza,  
z traskiem, łomotem wzdłuż nieba tak leci?  
Obłok ponury... Błyskawice — burza!...  
(Biada lotnikom, gdy słońce nie świeci.)  
Trzask, hurkot, krzyki... rozbłyski pioruna...  
Lotnik??? To straszne!!!  
—Audaces juvat fortuna...

## ZŁODZIEJE KIESZONKOWI

Prócz wielkich hersztów —

— — — — —  
mnóstwo jest mniejszych, takich co promienie  
kradną słoneczne workami — bez końca...  
I ci największe czynią spustoszenie,  
gdyż słońce wchłania — ich DUSZA gorąca,  
o czym elita wie — i głowy suszy —  
jak wykryć łotrów — gdy nie widać DUSZY?...

Idzie drań taki gdzieś miedzą, lub szosą,  
polami, zbożem, lasami lub łąką —  
(w butach — a nogą wyciska ślad bosą),  
węszy i patrzy ukradkiem na słonko...  
Uczeni twierdzą, że — pewno ma bzika —  
gdyż chwyta jasność do worka — i zmyka.

I odkąd postęp ludzkości wyniosły  
maszyną — z pracy wypędził miliony —  
chytre szeregi złodziei tych wzrosły  
I zapuściły szerokie zagony.  
Ba — doszło (mówią) — do tej bezczelności,  
że jawnie kradną — furgony światłości.

— — — — —  
Ja — choć nie jestem dziś sam pesymistą,  
ludzkość przestrzegam półsłówkiem intymnym: —  
że wyjdą z piwnic kiedyś — ćmą plamistą —  
z wielkim harmidrem krzyczącym — jak hymnem,  
z promieni słońca — wyłamią sztylety  
ostre — jak miecze — i pójdą w odwety!

Chwycą rękami żyłastych mięśni  
bosów brzuchatych i ściągną ze szczytu,  
w cywilizacji gnijący już tułów —  
wtłoczą sztufadę — jasnego błękitu,  
a w serca zimne — maszynki grające —  
wstrzykną poczucie braterstwa i — słońce. . .

---

Proszę pomyśleć — co wówczas się stanie,  
gdy świat grabiący dochody i zyski,  
w sercu przesłodka poczuje pukanie —  
i ujrzy jasny — braterstwa dzień bliski. . .  
Skarby, majątki ułoży — na stopy —  
i zacnie dawać biedakom — bigosy!

O dniu tym ongiś mówiła — Sybilla,  
że przyjdzie kiedyś — jak fala gorąca.  
Za wieki zbrodni — zapłaci ta chwila!  
A cud ten zrobią nam — Złodzieje Słońca,  
bo w nich tkwi jądro braterstwa zwiastuna —  
i tak być musi. . .

Audaces juvat fortuna!

## ODZNACZENIE ZŁODZIEJA

Stało się!

---

Dziś przyszli do mnie raniutko, o świcie  
tajni agenci i mówią: — człowieku!  
Ludzkość zawdzięcza ci byt swój i życie...  
Jesteś największy detektyw od wieków —  
twoja analiza tak wiele znacząca,  
zdemaskowała nam — Złodziei Słońca!

I bez skrupułów — na mojej pajamie  
medal przypięli — ogromny jak talerz —  
i wyszli cicho — kłaniając się w bramie,  
(Maszyn obrońcy i nocni szakale!)  
a tuż, za bramą — jak w puszczy nagonka  
wrzaśli: — ej łapaj! Bij Złodziei Słońca!...

---

Wówczas ryknąłem szalonym wprost śmiechem;  
ja — herszt złodziei, co słońce furami  
kradnę — rozdaję rozrzutnie, z pośpiechem,  
by wszyscy mieli go w bród — jak w Miami —  
medal dostałem? ... Niech żyje głupota!  
Teraz się zacznie ze słońcem robota!

Kluby sformuję — na grupy, oddziały  
Złodziei Słońca podzielę ... Cwaniacy  
niech kradną jasność, gdzie mogą, w dzień biały  
i niech rozdają biedakom — po nocy —  
i tym — co płaczą i tym — co są w nędzy,  
kruszec błyszczący — słonecznych pieniędzy.

Z miechami słońca, pełnemi do wierzchu  
wejdziemy wszędzie: — do piwnic, do chat, do biur,  
do fabryk — wtargniemy o zmierzchu  
rozdawać boży, słoneczny zadatek,  
do kalek, więzień, ochronek, szpitali,  
damy — niech wszędzie Znicz Boży się pali.

A którejś nocy — wejdziemy po cichu  
w pałace możnych i słońca kawały  
położym lekko gdzieś w kącie, na strychu —  
niech grzeją słodko — by serca topniały  
i by — gdy wstaną do pracy o świcie —  
okiem serc ciepłych — spojrzeli na życie.

---

Ja z swym medalem — (powiadam i grozę!)  
przewrót na świecie uczynię i basta!  
Ja wam pokażę — co słońca żar może —  
i jak się serce w jasności rozrasta —  
i jak miłości purpurzy się łuna...  
Słońce — to siła!...

**Audaces juvat fortuna!**

## KLUB ZŁODZIEI SŁOŃCA

Ha — niema rady! . . . Zacząłem więc muszę  
dalej prowadzić słoneczne swe dzieło,  
w depresji świata i w dni zawierusze —  
wzywam — by sześćset milionów stanęło  
śmiałków na apel! Kampanja nagląca: —  
kraść i czempredzej — rozdawać żar słońca!

Sam poczyniłem już wstępne tu kroki.  
Listy puściłem, depesze i kable —  
wiedzą już ludzie — jako świat szeroki,  
w Afryce, w Chinach . . . plebeje, notable. . .  
I — (aby pracę przyspieszyć) na czasie —  
taką notatkę podałem dziś w prasie: —

POTRZEBA — 600,000,000 ludzi do szkoły Złodziei Słońca.  
Projekt cudowny i dobry na wszystko. Zajęcie lekkie i bar-  
dzo miłe. Pensje i komisowe wypłacać będzie najpewniejszy  
i najbogatszy płatniczy wszechświata — sam Stwórca, część  
za życia, a część po śmierci — w niebicsiech. Zadowanie  
gwarantowane. Roboty wystarczy na tysiąc lat. Zgłaszać  
się: Klub Złodzei Słońca, Gmach Główny pod Gwiazdą, Uli-  
ca Jasna, Miasto Słoneczne.

Wiem, że się zbiegnie tu wielka hałastra,  
z całego świata przybędą na kursa.  
Cel tak wyniosły . . . (wieść ludzkość ad astra) !  
Zakwitnie życiem i wrzawą ma bursa. . .  
Sześćset milionów? . . . To liczba nie duża!  
wszak więcej przecie w krwi dzisiaj się nurza. . .

W strach wpadnie giełda, gdy tyle złodziei  
słońca rozpocznie cudackie roboty;  
wrzasną fabryki — szynami kolei  
ruszą pociągi, a w hutach znów młoty  
trzasną w kowadła . . . Ożyje otucha!  
Wszak mamy wszystko — brak tylko nam ducha! . . .

A my — zwycięzcy, zatknijemy na drągi  
słońca okruchy i pójdziem po świecie  
rozdawać ludziom słoneczne szelągi  
i pokój robić na naszej planecie —  
aż ludzkość ciepłem słonecznym olśniona,  
rzuci broń, krzyknie i — padnie w ramiona.

---

Patrzcie, szanowni — Słoneczni Złodzieje  
co tu roboty — i jaka robota!  
Słońca jest dosyć — za darmo nam grzeje  
ciepłem cenniejszem od kruszców i złota . . .  
Dalej więc — trzęśmy świat stary w biegunach!  
A da się zrobić! . . .

Audaces juvat fortuna! . . .





XV.

Powrót Radości.



## WIECZNA TĘSKNOTA

Był król wspaniały, władca groźny,  
w stu ładach szumiął jego znak —  
potęgą władzy świat potrząsał,  
lecz wciąż mu było czegoś brak.

I był miliardier niezrównany,  
miał tysiąc brylantowych pól,  
ale mu serce żarł nocami  
febryczny i tajemny ból.

Był młodzian życiem rozpierany,  
szaleństwem myśli wstrząsał świat —  
i ten do czegoś nieznanego  
tęsknił już od dziecińczych lat.

Było kochanków słodkich dwoje —  
pachniał im, kwitnął każdy dzień,  
lecz oto nawet między nimi  
tęsknicy dziwnej snuł się cień.

I było sto milionów ludzi,  
tworzących szumny życia prąd,  
lecz nawiedzała ich apatja  
płynąca nie wiadomo skąd.

Ta przychodziła w świtach białych,  
w czerwieni zórz, w zapachu łąk —  
i rozpylała się nad ziemią  
w melancholijny, blady krąg.

I nikt nie wiedział skąd przybywa  
i czemu w całym bycie tkwi,  
o zmierzchu pełza, w świtach szumi,  
w południa dusi żarem dni.

Tylko niewielu wyzwolonych,  
patrzących w pochód dziejów — wspak,  
mówiło, że . . . (któż chciałby wierzyć!)  
światu Radości gwiazdnej brak.

Ci powiadali, że gdy przyjdzie,  
siądzie w podcieniu wież i strzech —  
wówczas misterjum się rozjaśni  
i światem rządzić pocznie śmiech. . .

## O RADOŚCI ZBŁĄKANEJ

Raz Stwórcą wezwał Radość Wieczną  
i palcem wskazał świat w oddali —  
i rzekł: — idź, dziecko — pociesz ludzi,  
dostę się już namordowali. . .

Bądź jak jutrzienka dnia — łagodna,  
jak południowy wiatr — gorąca,  
jak wieczór letni — bądź tak chłodna  
i uśmiechnięta — jak krąg słońca.

Splłyn ponad ziemię w perłach rosy,  
szronem złocistym, słodką manną,  
zawołaj ludzi — niech powstaną  
z rozkoszą w sercach swych poranną.

Na każdy próg wstąp — o błękitna —  
z uśmiechów jasnych pełnym worem —  
i bądź rozrzutna — obdarz wszystkich  
hojnie słodczy pierwowzorem!

Wejdz do kujących stal w wybuchach  
pieców hutniczych, gdzie gorąca  
zmora wypija krew spod skóry —  
i jak wiew lasu — bądź chłodząca.

Do dygocących w szumie gmachów,  
gdzie na transmisjach świszczą pasy —  
wejdz i nad życiem elektrycznym  
pokaż bieliste słońce tarasy.

Ujmij pod ramię zabłąkanych,  
kręcących tartak dni w kieracie  
i podnieś głowy ich ku słońcu,  
pokaż błękitnych łąk połacie.

Niechaj kwitnący dzień zapachem  
opyli życia czarne bagno —  
i niech poznają temat bytu,  
niechaj zatęsknią i zapragną.

I nie omijaj nic po drodze!  
Wiem — każdy chętnie cię ugości,  
bo chociaż mają wbród wszystkiego —  
brak im uśmiechów i radości.

— — — — —  
I poszła radość między ludzi —  
i zapachniała sianem łąka,  
więc ludzie wyszli łąkę kosić —  
a radość się po domach błąka. . .

## GOŚĆ UPRAGNIONY

Przez okno życia śmiech zagląda,  
gość coraz droższy, coraz rzadszy —  
zbląkany na dalekich lądach,  
wrócił i w okno duszy patrzy.

Z uporem dziwnym wlepia oczy  
w życie — poczęte serc pożarem,  
co w snach wykwitło z słońc roztoczy  
i oto stało się — ciężarem. . .

W życie stworzone do radości,  
do lotów górnych, w gwiazd kokardy,  
ale — zwątpiwszy — spadło w bezdna,  
na rozłożyska czasu twarde.

Więc, aby nam je wybłękitnić —  
perli się w słońcu uśmiech krótki,  
ale go człowiek już nie widzi,  
wpatrzony w swe tragiczne smutki.

— — — — —

Kiedyś nadejdzie jasna chwila,  
gdy smutni — niosąc troski w miechach —  
pojmy, iż życie — nawet w bólach  
radością jutra się uśmiecha.

I że na krańcach widnokręgów  
droga się jasna w przyszłość mości,  
że Stwórca — dając świat nam w rentę —  
dał go do życia i radości.

## DZIWNE ODWIEDZINY

W rozpyle świtów, w zórz czerwieni  
przyszła w konwalje ubrana,  
najsłodsza moja życia ksieni —  
Radość . . . w pryśnicy słońc skąpana.

I zapukała kwiatem w okno,  
zaszeleściła mgieł muślinem  
i płatki — w srebrze rós rozmokłe —  
strząsała z malwy na futrynę.

I zaglądała twarzą słońca  
w okno mej chaty. — Blask cichutki  
siała srebrzyście — w biel miesiąca  
rozpromieniając moje smutki.

Poznałem ją . . . choć długie lata  
jej nie widziałem w dni szarudze —  
i bałem się — że snem jest tylko,  
że w mgłę stopnieje — gdy się zbudzę.

A ona weszła — ciszą kroków  
i siadła jasna w mej świetlicy,  
na tle ginących w dali mroków,  
jak duch na tęczy — bladolicy.

Więc rozkochałem się w niej nagle  
i przypomniałem dawne loty —  
i zapragnąłem dni minionych  
i zatęskniłem — do tęsknoty . . .

I żal mnie zdjął do lat dziecinnych,  
bo — choć najmilsza i najsłodsza —  
odmienna była od tej dawnej . . .  
Tamta — pamiętam . . . była młodsza.



## TWÓRCZOŚĆ RADOSNA

Zjawiała mi się w ogniu świtów  
spokojnolica, jak hurysa —  
Radość — śmiejąca się porankiem  
pachnących sadów — Monna Lisa.

Rozsrebrzył się więc dom mój cichy —  
po rozbębnionym rynn okapie  
słońce owiane mgłą poranną  
chodzi i bąble rosy łapie.

Rozpromieniony snem fiołkowym,  
układam rzewne bukoliki  
i na patelni ciepłej słońca  
wypiekam słodkie snów pierniki.

Jestem jak mistrz piekarskiej sztuki  
w astralnej uwalany mące —  
w świtach pracuję, gwiazdy mielę  
w żarnach niebieskich — świat pędzących.

A gdy już dzień zabieli kremem  
wymiętoszone mgielne ciasto —  
po mlecznej drodze wożę babki  
podwodą plejad drabiniastą.

A potem słońce za czuprynę  
promieni wciągam na zrąb nieba  
i toczę kołem horyzontu,  
niby ogromny bochen chleba.

A chociaż nie śpię prawie nigdy,  
zbierając rannych zórz nabiały —  
wciąż mi się zdaje — że ja marzę,  
niebieskie śnią mi się migdały.

Boć praca to jest — niby psota  
miła . . . Niejeden mi zazdrości;  
niejeden wielki, ale smutny,  
spragniony śmiechów i radości.

Lecz mało kto chce latać w słońce  
lotem, co gwiazdne kręgi trąca: —  
stąd tylu jest „zjadaczy chleba,“  
a mało tak piekarzy słońca.

## NA TĘCZOWYM MOŚCIE

Odkąd spłynęła w sennej rozkoszmarni —  
w domu mam niebem podszywaną ciszę. . .  
Trzask wymłacanych dni w życia młocarni  
zmienia się u mnie — w grające klawisze.

Ranki przychodzą i mgłami się ścielą  
drogi szpagatem — co się tęczą mości,  
więc chodzę po niej — z życia bagatelą,  
w zachłystach śmiechu, w dygotach radości.

I ręką — wiatry prującą — jak masztem  
łowię zapachy, koszę wonne łąki,  
albo się kładę pod sosnową basztę —  
zbijam leniwie — przysłowiowe bąki.

I patrzę w ludzi biegnących po bruku,  
jak w rozchłestane w budzie marjonetki —  
siedząc na tęczy malowanym łuku,  
widzę ich próżnię — nawet bez lornetki.

Choć wybuchają w śmiech rozrzechotany,  
wiem — że w tym śmiechu czuć nudną wanilję.  
Niejeden autem pędząc asfaltami —  
oddałby wszystko — za radości chwilę.

Słońce ich nęci żółtym cynamonem,  
a tęcz szukają — w pożądań szafranie;  
lecz tęcza — nie jest pontonem zwodzonym,  
słońce nie siada głupcom na parkanie. . .

Gdyby tak uczuć rozchwianym balonem  
chcieli popływać — pod nieb malachitem —  
i z „Złodziejami Słońca“ . . . raz się upić  
błękitem — co się zowie: — aqua vitae. . .

toby ujrzeli — na dróg skrzyżowaniu  
Radość . . . co kątem z gwiazd — w ziemię się wcina —  
tam — gdzie się kończy bilans w rachowaniu,  
serce rozkwita . . . wieczność się poczyna. . .

Bo tylko w takiej radości jest szczęście,  
kapiące śmiechem — jak złotem rodzimem,  
jak w pocałunku dwóch ust — rozchłaśnięcie. . .  
Szczęście Wieczyste — pod gwiazd baldachimem.

## FLIRT Z RADOŚCIĄ

Po długich z ludźmi korowodach,  
błądząc po domach i mogiłach,  
nie mogąc znaleźć serc gorących —  
Radość Wieczysta raz zwątpiła.

Palce — bolące od pukania —  
splotła nad swą znużoną głową  
i stała w świetle gwiazd blednących  
z koroną palców swych cierniową.

I rozpłakała się łez sznurkiem...  
(radość ogromnie śmiesznie płacze)  
i tak znaleźli ją — płaczącą  
raniutko, ulic zamiatacze.

Siedziała w parku, na ławeczce,  
łzy ocierając zwiędłym liściem —  
aż opadały w grad perłowy  
na woniejącym traw batyście.

I nie poznali jej ci głupcy,  
wożący owoc pracy — w beczce...  
Bo któżby poznał radość — smutną,  
płaczącą w parku, na ławeczce?

Jednak ich do niej coś ciągnęło,  
(mrugali nawet — dość znacząco...)  
lecz ona myśli ich odgadła  
i w mgłę rozwiała się gorącą.



XVI.

Metropolis.





## MIASTO

Czarne, gwarliwe, ponure —  
wrosłe jak mara senna,  
kamiennym buntem pnie się w górę,  
szumi bezładnie w antennach.

W dymach,  
w murów kubicznej czerni —  
potworny szkielet olbrzyma  
burzy się, zgrzyta i zżyma,  
wbija się w żebra globu najeżonym cierniem.

---

Nikt go nie zatamuje,  
będzie rosło w pień wieków  
mackami przedmieść do łąk się wpakuje,  
sięgając dalej, dalej — aż bardzo daleko —  
rozsieci się na ciele pól żyłami ulic,  
najeży się grzebieniem błyszczących latarni,  
asfaltem i betonem kamiennym zakuje  
w kraty skwerów i bloków zieleń miękkiej darni,  
szpagatem szyn stalowych  
skrępuje ciche parowy —  
wystraszy chamary ptaków,  
zaryje się pod ziemię dziobami kloaków,  
drzewom ręce obłamie i głowy pościna,  
rozepnie się na słupach drutów pajęczyną,  
stanie rzędami domów na wąskich parcelach  
kłębami czarnych dymów ku słońcu wystrzeli,  
wrzawą spraw suchotniczych tak wreszcie zadyszy,  
by człowiek nie mógł szmeru pól kwitnących słyszeć.

A pośród domów miliona  
ludzie bedmoni —  
snuć się będą nocami w jarzących neonach,  
zaglądać w okna,  
z których kłębamii pary wonna kusi mokka  
ufni, że ich ten kolos zimny nie zapomni. . .

A w domach,  
pośród ścian czterech wyblakłych, wytartych —  
usiądzie czerń kaszłaca, blada i łakoma —  
niepomna, że świat cały jest piersiom otwarty. . .

A po asfaltach,  
błyszczące niby żuki z przedludzkiej epoki  
kotłując poza sobą dym czarnym obłokiem —  
ruszą wrzaskliwe auta.

I będzie sława  
szumiąca w latach i wiekach,  
o wielkim, niezrównanym genjuszii wytwórczym  
człowieka —  
który obalił w gruz ciężkości prawa,  
zbudował podniebne gmachy  
i pod ich dachem  
wygodnie i wspaniale dusi się i kurczy. . .

---

A poza miastem,  
aż tam — gdzie wszechświat zielenią wyrasta,  
chlebem żytnich zagonów faluje i dyszy —  
będzie wołać człowieka  
tęsknota słodka i daleka,  
której miasto już nigdy — nigdy nie usłyszii.

## PRASA

Na trybach ciężko dzwoniących,  
na szumiących transmisjach i pasach,  
w taśmach papieru, na płytach gorących  
usiadła wszechmocna prasa.

---

Błyski — zygzaki —  
kable — depesze iskrowe —  
w eter — jak ptaki skośnie lecą,  
kołują, świszczą — skandalami świecą —  
plują na papier czarną sieczką liter,  
świeże, gorące — dopiero przeżyte —  
z czterystu krajów — z tysiąca zakątków —  
bez końca, bez początku —  
wiecznie te same — i tak wiecznie nowe...

Sto milionów Chińczyków —  
umiera z głodu powoli!...  
Dwieście milionów Indusów —  
wstrząsa imperjum i pożąda soli!...  
Trzysta milionów czerwonych,  
białych, czarnych, zielonych —  
bunt okrzyknęło i szturmem  
burzą „porządki obskurne“!...

Płoną wulkany — w słupach ognia miasta,  
tajfun czerwony — w piorunach wyrasta...  
S. O. S.!... okręt gdzieś runął na rafy —  
trzęsienie ziemi wróżą seismografy —  
Samum szaleje na jakiejś pustyni —  
strach!... Stalin, Hitler, Kai Szek, Mussolini!  
kometa leci ku ziemi — jak rasa,

świat się do góry nogami przewraca!  
zgoła — okropność w oknie globu siedzi —  
i biegun wali się na łby gawiedzi  
i nowa plama wylazi na słońce! . . .  
A wszystko świeże, najnowsze, gorące —  
stało się . . . stanie . . . musi — w lot i w pęd  
kurs na żądanie — „*by public demand*“ . . .

---

I tak bez końca: —  
w trybach i w pasach,  
w ciepłych metalu odlewach —  
świszcze papierem rozpięta prasa  
i jakiś czarny hymn — o śmierci śpiewa.  
Wszystko wie i o wszystkim donosi.

Nic tylko nie mówi o tem,  
że depeze lecące w iskier skośnych błyskach,  
wygrane na piekielnym organie z tętentem —  
pisane są — nie atramentem . . .  
ale krwią ciepłą i potem —  
przez ludzi — bez nazwiska.

I nic też o tem nie wspomina,  
że tam — gdzie kończy się sensacja —  
największa wieść ludzkości w słońcu się poczyna  
spokojem, który w serca — z myśli Bożych wraca . . .

## KONKWISTADOROM

*(Na otwarcie wystawy światowej w Nowym Yorku)*

Z płomiennych snów tysiąca wieków,  
sponad idących lat krawędzi,  
z prajądra twórczych jaw dalekich —  
wyrasta miasto — które będzie. . .

Jutro — po jutrze . . . w mglistej dali  
zabłyśnie smugą jaśniejącą,  
rakieta marzeń się zapali  
w stu neonowych — sztucznych słońcach.

Gotykiem wież w obłoki strzeli,  
iskrami radja w gong zadzwoni —  
i ruszy w gwiazdnej karaweli  
w dale — o których śnił Marconi.

Spiralnym zwojem betonowych  
schodów przekroi czasu metę,  
szukając słońc i światów nowych  
tam — gdzie w mgle rodzą się planety.

I po drabinie elektrycznej  
pocznie się — z cyrklem w rękę — wspinać  
tam — gdzie w biblijnej tajemnicy —  
czas gaśnie — bezczas się poczyna.

Świat elektronów i protonów  
opasze myśli swej wybrzeżem —  
wybłękitnione sny Platonów  
wsieje gwiazdami po eterze.

I już nie będzie granic więcej  
dla czasu ani dla przestrzeni —  
po ślizkim mlecznych dróg cemencie  
zadudnią aut żelazne cienie.

---

Przestrzeń się kończy — świat rozrasta,  
padają słupy na granicach —  
i uskrzydłone lecą miasta  
baśnią płonąca w błyskawicach.

Warczą turbiny, świszczą pasy,  
tryby o tryby trą — jak w żarnach,  
chemiczne wyrastają lasy,  
w mękę dni miele się noc czarna.

Szaleńcza iść się legenda: —  
Juljusz Verne — Bramaputra. . .  
w ognistych skrętach, błyskach, pędach —  
w sen elektryczny — w Miasto Jutra.

To już nie wizje — ale jawa —  
to już nie miasta — ale światy —  
padają w gruz ciężkości prawa,  
ku słońcu leci świat skrzydlaty.

---

O Tajemnico Srebrnych Globów,  
w kosmicznych utajona ruchach —  
pozwól nam w drogę wziąć ze sobą  
słodczyce snów — i spokój ducha.

Prowadź nas drogą jaśniejącą  
nad błękitami — w gwiazd kobiercach —  
i strzeż — abyśmy w tym pochodzie,  
w pośpiechu — nie zgubili serca. . .

Spraw — byśmy, rosnąc myślą w górę,  
budując uskrzydłone miasta —  
nie zabłądzili — w noc ponurą,  
z której się wywiódł protoplasta. . .

## PARADA

Uderzcie w trąby mosiężne! —  
niech zgraja syren ryknie w głos,  
niech staną w szpaler kitlugi siermiężne,  
niechaj zabrzączy szczęk ostrzonych kos —  
niech marsza utnie stugłówna kapela  
i suchym chrzęstem w bębny trzaśnie groch —  
z czernią chuchrawą — inteligentela  
niech rymnie plackiem w tradycyjny proch!...

---

Na skręcie — tętent, szum i krzyk...  
Idą już idą... z daleka ich słyszę!  
któżby nie słyszał — taką mamy ciszę...  
I patrzcie, proszę — co za szyk!

Ej, praktykanci, mistrze — groszoroby!  
Usłać kwiatami zaśmiecone bruki —  
niech wśród szpalerów stuletniej żałoby  
przejdzie duch sztuki!...

Z portyków ukraść kwietne oleandry,  
z wypukłych gorsów — pozrywać storczyki —  
prasać pod buty — na bruk —  
niechaj wskrzeszone do życia skamandry  
zatoną w kwiatach — jak w maśle chruściki!  
Poco nam taki butów w cement stuk?!

---

Lecz mało kto się ruszył.  
Zatkali zgorszone uszy —  
i półksiężycy błyszczące — topory  
porwali w ręce  
i hajda na skamandry i na pikadory!

A poszły won — wy zatracenie!  
I toporami — półksiężycami  
cięli — machali różnie —  
lecz tylko — w próżnię. . .  
A ci — jak szli — tak poszli. . .  
Minęli smukłe oleandry —  
zerwali z gorsów wypukłych storczyki,  
z szumem i trzaskiem — jak żelazne fandry —  
rzekłbyś w momencie  
znikli na skręcie —  
w powietrzu tylko pozostały krzyki.

---

Poszli pożyczyć od kos stali brzęku,  
od maszyn rytmu, z ulicy turkotu,  
od armat huk, a od dzieci lęku,  
od możnych dumy, a od słabych potu,  
od kwiatów woni, od wojny terroru,  
od nocy strachów, od tęczy koloru,  
by z wątku przędzy tęczodajnych nici  
utkać cud sztuki, który świat zachwyci.

---

W oddali —  
dni nowe się rodzą,  
i świt perłowy na niebie się pali. . .  
A po tęczowych łukach —  
z nędzy codziennej zrodzona,  
do serc tęskniących —  
idzie słoneczna — SZTUKA. . .



XVII.

Melodie Jesienne.

*(Poemat Symfoniczny)*



I.

## PRELUDJUM

Z przepastnych głuszy pustyni  
idzie złowróźbna jesień —  
i zamęt ponury czyni,  
posępny dzierzga deseń.

Przez ściernisk poźółkłe pola  
wlecze podarte swe skrzydła,  
a za nią — zwarte w półkola —  
suną się jakieś strazydła.

Kościstą, zimną swą ręką  
tajemne kreśli obroty  
i w rolę szarą — obłąką  
zasiewa jądra tęsknoty.

Przez trzęsawiska, moczary,  
szumiący wichrem i deszczem —  
sunie obłądny smęt szary,  
spowity kirem złowieszczym.

Do każdej wpycha się chaty,  
jak widmo jakieś tajemne —  
izdebne zalega pałaty,  
zajmuje pokąty ciemne.

W serca się wżera podstępem,  
kołtuni myśli wybuchy —  
i chłosta narzędziem tępem,  
aż płaczą i skarżą się duchy.

## II.

### ADAGIO

A późną, senną jesienią —  
krwawe zorze się czerwienią.  
Idą tępe dni tęsknoty,  
deszcz w pochyłe bryzga płoty,  
mgły się włączą nad przestrzenią —  
jesienią.

Dżdżyste, sennie są poranki,  
rozpłakane — jak sieroty,  
pełne łez, jak śmiech kochanki,  
co umiera gdzieś z tęsknoty.

Zieleń w czerwien się przelewa,  
rdza oblepia schnące drzewa,  
krwią na łąkach się zapala,  
brązowieje w wichru falach —  
i o szyby w chatach dzwoni,  
jęczy, łka — i dalej goni.

A po ranku — dzień ponury  
wlecze się na stęchłe pola —  
niby czarna ludzka dola,  
co straciła lot swój górny. . .

A nad wszystkim — posmęt taki  
i pustynność tak bezdenna,  
że aż przerażone ptaki  
dławi mara zła i senna,  
że choć piewne, srebrogłose  
nie osłodzą tej martwoty,  
ino w szumie dżdżu i słoty —  
śnił sen czarny nad swym losem,  
nad tym słońcem, co na fali  
rdzawych chmur krwawo się pali,  
że aż lasy się czerwienią —  
jesienią. . .

### III.

#### ALLEGRO

O jesieni senna, cicha  
jakże ciężki jest twój wiew,  
w szumie, co na polach wzdycha,  
kłęby chmur ku nam popycha —  
o jesieni senna, cicha —  
nie strasz konających drzew!

Jasne noce, wonne kwiaty  
prysły — jak najśłodszy sen,  
przeszły z świata — w poza światy,  
zostawiając zimne chaty. . .  
jasne noce, wonne kwiaty —  
prysły jak najśłodszy sen.

Może kiedyś wrócą z wiosną  
i okraszają polny łąn —  
sny na łąkach znów porosną,  
wiatr zaszumi pieśń radosną —  
może kiedyś wrócą z wiosną  
i okraszają polny łąn.

Noc majowa znów przyleci,  
a z nią wróci sen i czar,  
wśród srebrzystych gwiazd zamieci  
księżyc ptakiem do serc wleci  
noc majowa znów przyleci,  
a z nią wróci sen i czar. . .

#### IV.

#### ANDANTE

Szumi jesienny liść —  
szumi. . .  
o wieku, co ma przyjść  
by mękę serc przytłumić,  
o wieści — co nad ranem  
przyjdzie kwitnącym łanem;  
szumi jesienny liść —  
szumi.

Konary nagich drzew —  
konary. . .  
potrąca wichru wiew  
i deszczem chłosta szarym,  
i lament budzi głuchy —  
jakby płakały duchy;  
konary nagich drzew  
konary.

Daleko kędyś tam —  
daleko. . .  
na tle jesiennych płam,  
cienie się jakieś wleką —  
rozpacz z tęsknotą łzawą  
przez pola idą żwawo;  
daleko kędyś tam —  
daleko. . .

V.

LENTO

A nocami — nad lasami  
mgły koszmarne wiszą,  
a doliną wiatry płyną  
i ziemię kołyszają.

Księżyc w górze — w ciemnej chmurze  
wisi zasępiony,  
gwiazdy w dali — wśród opali  
iskier miljony.

A nad ziemią — cienie drzemią  
i umarłych duchy  
bladło świecą — w wieczność lecą,  
srebrzystym łańcuchem.

Senne sioła — dookoła  
pustka niezgłębiona  
i tęsknota — do żywota  
wyciąga ramiona.

A przez pola — ludzka dola  
idzie i łyzy roni —  
i na rosy — ciska włosy  
wyrwane ze skroni.

Gdzieś daleko — ponad rzeką  
błyszczą fal djamenty  
i żurawie w zeschniętej trawie  
podnoszą lamenty.

Ziemioskłonem — pochylone  
cienie chodzą skrycie,  
tak — jak gdyby w czarne skiby  
siały śmierć . . . nie życie.

Kto wie — może owo zboże  
siane w czoła pocie,  
mimo burze — wzrośnie duże  
i da chleb sierocie. . .

Może szmery — z jasnej sfery  
spłyną wczesnem ranem —  
i niebiosy krople rosy  
rozsypią nad łanem. . .

Może deszcze — spadną jeszcze  
i użyżnią rolę,  
złote zorze — wzbudza może  
wiarę w lepszą dolę. . .



## VI.

### LARGO

A wichry szumią i płaczą i jęczą  
i po bezdrożach bezdennie się żalą —  
i łez biczami o szyby chat brzęczą,  
na drzew bezlistnych szkieletach kryształą,  
na polach świecą mętnych kałuż tęczą —  
i jęczą. . .

---

Z wichrem przylata noc czarna — ponura  
i obejmuje ziemię w kołtun ciemny;  
dokoła pustka bezdenna i bura —  
i mrok dokoła tak ciężki — podziemny,  
że serce pęka i we krwi się pławi,  
że coś za gardło porywa i dławi —  
i krew wypija z żył — jak nietoperze,  
serce rozrywa — o mur niem uderza,  
mózg rozdziobuje, pożera i kracze,  
nerwy wywleka, przecina siekaczem  
i taką rozpacz wyciska na czole,  
że trzeba przekląć i życie i dołę —  
i buntem strzelić — by wieczność zagłuszyć  
w duszy. . .

---

A wichry szumią i płaczą i jęczą  
i po bezdrożach bezdennie się żalą —  
i łez biczami o szyby chat brzęczą,  
na drzew bezlistnych szkieletach kryształą,  
na polach świecą mętnych kałuż tęczą —  
i jęczą. . .

---

Z nocy wypełza mogilna tęsknota  
i widmem czarnem w przestrzeni się szerzy,  
ogarnia wioski, miasta i rubieże,  
na serca pasmem czarnych snów się mota,  
do każdej piersi wbija się i tłoczy,  
łzami goryczy bryzga w twarz i oczy,

zasiada groźnie w ciemnym kącie duszy  
i melancholją myśli zawieruszy  
nerwy naciąga — jak struny i splata —  
taka ogromna i taka skrzydlata  
i tak się w piersiach rozpięra — łopota —  
tęsknota...

---

A wichry szumią i płaczą i jęczą  
i po bezdrożach bezdennie się żalą —  
i łez biczami o szyby chat brzęczą,  
na drzew bezlistnych szkieletach kryształą,  
na polach świecą mętnych kałuż tęczą —  
i jęczą...

---

Jeśli kto uśnie wśród owej wichury  
i pocznie marzyć o ciszy w błękicie —  
ujrzy swą przyszłość na tęczowym szczycie  
i snów skrzydłami uleci do góry: —  
to jęki wichru i pluski deszczowe  
marzenia splączą i tak go przerażą,  
że aż go dreszcze przewiercą grobowe —  
że powstać musi z obłąkaną twarzą;  
a gdy północna wybije godzina —  
to nagle dębem mu wstanie czupryna,  
to w krzyk uderzy w rozpacz i strachu —  
słyszac plusk deszczu i skrzypienie dachu...  
to aż zdrętwieje — i myśląc, że kona —  
Krzyż w przerażone ogarnie ramiona,  
szukając ulgi w straszliwej katuszy,  
by ciszą Krzyża — ból życia zagłuszyć —  
w duszy...

---

A wichry szumią i płaczą i jęczą  
i po bezdrożach bezdennie się żalą —  
i łez biczami o szyby chat brzęczą,  
na drzew bezlistnych szkieletach kryształą,  
na polach świecą mętnych kałuż tęczą —  
i jęczą...

## VII.

### MAESTOSO

Jesieni czarna — jesieni,  
mgliste przynosisz świtania —  
dni zagubione w przestrzeni  
i noce pełne łkania.

Tęsknotę rodzisz w serc głębi,  
taką obfitą w lamentsy —  
że aż się warzy, aż kłębi,  
jak tuman wichrem wydęty.

Tajemne sny i przecucia  
przychodzą skrycie nocami —  
i kują tak, że od kucia  
w duszy coś z trzaskiem się łamie.

Jesieni czarna — jesieni,  
zmiłuj się, zmiłuj nad nami!  
W ogniu i krwi oczyszczeni  
pragniemy powstać . . . Czekamy!

## VIII.

### ALLEGRETTO

Nocy święta —  
któż pamięta  
co nad Ziemią Laszą —  
przez zawieje  
niosły dzieje,  
co koją — i straszą!

Może kości  
w swej białości  
leżące w mogile,  
gdzieś pod miedzą  
opowiedzą —  
ile krwi... łez ile...

Może w grobie,  
w nowej dobie —  
gdy spoczniemy w ciszy,  
poszum drzewa  
nam wyśpiewa  
dzieje towarzyszy...

I rycerze  
przez rubieże,  
zniżywszy przyłbice —  
ruszą w boje,  
aby Twoje  
osłonić granice.

Wówczas może  
jasne zorze  
znów pola okraszają —  
i niebiosy  
spuszczą rosy  
na Ojczyznę Laszą...

## IX.

### FINALE

O myśli znużona  
wyciągaj ramiona —  
nie lękaj się gromów ni burzy,  
płomiennem świtaniem  
do walki znów staniesz —  
i znów się horyzont rozchmurzy!

Tajemne marzenia  
rozkrzesuj w płomienie —  
rozpalaj dziejową pożogę;  
zabłyśnąć trza stałą —  
niech gromy się palą. . .  
ruszajmy — ruszajmy — czas w drogę!

I nic nas nie wstrzyma —  
rośniemy w olbrzyma. . .  
choć huczą złowieszcze wichury;  
przez lądy, przez morza  
nas wiedzie straż boża: —  
do góry! do góry!! do góry!!!



XVIII.

Patria.





# POLONEZ MILITARNY

(*Ignacemu Janowi Paderewskiemu*)

## 1

Na scenę przyćmioną półsennie i mgliście,  
gdzie oczu tysiące płonących się wbiło —  
wszedł po raz dziesiąty — i szedł posuwicie  
i salę przepełnił ogromem i siłą —  
i siadł nad mozaiką błyszczących klawiszy,  
dostojny — jak posąg natchnienia i ciszy —  
i zagrał! . . .

## 2

Zagrzmiały szumem prometejskim klucze,  
jak trąb mosiężnych jęk — krzyknęły struny —  
jak groch po werblu prażki — jak pioruny,  
trzeszczące gradem — co o szyby tłucze;  
jak bojów świętych rozhukane działa,  
jak deszcz strumienny — co po taflach płucze: —  
aż od proscenjum — mgła dziejów powiała,  
i pod sklepieniem zwisnął ktoś mocarny —  
aż hypnotycznie — sala nagle wstała,  
jakby nią przeszedł anioł z mieczem czarny,  
jakby z legendy tragedją zamglonej  
nie człowiek — ale Duch wywodził tony.

## 3

Dreszcz przeszedł widzów . . . A On w tym momencie,  
jak Druid słowem magicznem zaklęty —  
wzniósł się nad scenę w muzycznym tętnie  
i leciał niby Duch na harfę wpięty.

I oto białe kolumny, marmury  
poczęły szumieć — jak orły płaczące —  
legjon nieznany światu — złotopióry,  
rozdarty wichrem dziejowym — płonący —

szumiał skrzydłami — które ludzi straszą,  
krzycząc: — Za naszą wolność i za waszą!...

4

Apatja dziwna owiała słuchaczy.  
Patrzeli w scenę — w mrokach wirującą,  
jak człowiek, który widmo w śnie zobaczy,  
postać o zmierzchu nad miastem lecącą,  
lub w noc wichrową, gdy zagrzmia niebiosy —  
usłyszy nagle przerażone głosy,  
dławione strachem — łkające przeciągle —

— — — — —  
a On — to niknął — to jaśniał... grał ciągle...

5

I oto patrzcie — ton leciuchny płynie  
wibracją w strunach słodką i rozkoszną,  
łka cichuteńko — śpiewa we wiolinie  
szmerem traw wonnych — co po miedzach rosną,  
brzóz białych szeptem, świtami co płaczą  
nad męką ludzi — nad życia rozpaczą,  
szelestem żyta, zapachami łąki,  
czerwienią maków rozpłonionych w dzwonki,  
tęsknotą wiosek obarczonych ciszą  
krzyżów przydrożnych — gdzie Chrystusy wiszą —  
wonnością sadów, sokami jabłoni,  
sygnaturkami, z których wieczność dzwoni —  
rozjaśnia świtów, karminami zorzy,  
w której na ziemię schodzi anioł boży  
koić płaczących i rozdawać ciszę...

— — — — —  
Tak On grał — tak mu śpiewały klawisze.

6

Aż nagle — gdyby w rozuzdaniu gromów —  
rozpięciem palców tak uderzył w basy,  
aż zaszumiało wśród nisz i załomów,

szumem tak groźnym — aż jęły tarasy,  
aż krzyknął głosem ludzkim parter cały,  
aż widzom serca krwią się rozpląkały —  
i urwał. . .

7

Strach wszedł na salę . . . i widzom się zdało,  
że z zadartego skrzydła pjano-forta  
orszak wynurzył się kolumną białą —  
(podjazd pułkowy groźnego Mohorta)  
i gnał — cwałując po muzycznym szlaku  
kopyt tętentem i broni rozchrzęstem,  
w szumie proporców i w łopotach ptaków —  
i nikał w kurzu oddalonym, gęstym;  
a za nim drugi . . . trzeci — pułki . . . roty —  
ułany . . . zwarte czwórki piechoty. . .  
kontusze, pasy, szable, karabele —  
wąsate, groźne — jak Duchy Mściciele;  
kosa błyszcząca, bieliste siermięgi  
wstawały, rosły — i szły w bitwy kręgi. . .  
aż połamane w proch leciały piki,  
aż salą czarne trząść poczęły krzyki,  
aż wstało takie okropne napięcie  
i tak straszliwe serca przerażenie —  
jakby się zjawił Król-Duch — i w zamęcie —  
rozparł kolumny . . . i zwałił sklepienie. . .

8

Ze sceny, ginącej w pomroce i ciszy,  
zepchnięto fortepjan — zniżono kurtynę.  
W galerjach zamarły pośpiewy klawiszy  
i zegar gdzieś począł bić późną godzinę. . .  
Za sceną ktoś płakał i wołał z oddali: —

— — — — —  
Polska . . . Polska . . . Do broni — ludzie! Świat się pali!!!

# FANFARA

*(Naczelnikowi Polski)*

Uderzcie w spiżowe dzwony,  
tyradę niechaj wykrzykną fanfary  
i niech wystrzelą hukiem przerażonym  
działa bojowe!  
I niech się nocne rozjęczą koszmary  
Zygmunta drzeniem!  
Z Marjackiej wieży —  
niech hejnał grzmiący uderzy  
i niechaj zadrzą napięte anteny —  
i niechaj Seraf stanie sturamienny,  
by niebu zanieść Polski krzyk nadludzki!  
Odszedł nas — człwiekiem dziwny —  
Naczelnik . . . Piłsudski . . .

Jak żył — tak umarł —  
nagle — niespodzianie . . .  
i tak napewno w Twierdzy Bożej stanie —  
zasalutuje po żołniersku — sztywno  
i stropi duchy swą strategją dziwną . . .  
Bo — jak po ziemi chodził — bez paszportu,  
tak i przed Bogiem — stanie do raportu,  
położy czynów swych obfity połów  
i podziw zbudzi — nawet wśród aniołów . . .

---

Ktoś ty — i poco  
zbudziłeś niebo całe — późną nocą?  
Tyle lat kpiłeś z Jasnej Pani Śmierci —  
a dzisiaj nagle,  
zwinąłeś życia żagle  
i tu przychodzisz?  
Rzekną niebiescy eksperci.

I raporty jego czynów  
wybadają od początku: —  
serce jasne — jak z bursztynu,  
roziskrzzone w uczuć wątku,  
wizje, myśli, animusze. . .  
i rozkroją — nawet duszę,  
a przez pryzmat jasnej rtęci  
zajrzą mu w najskrytsze chęci —  
i policzą — co uczynił,  
czem zasłużył — czem zawinił;  
coś odciągną — coś dodadzą —  
i strychnulcem — coś wyglądzą,  
nad wynikiem się poradzą. . .  
W stos ułożą życia sprzęty,  
skrzykną niebios regimenty  
i postawią w rząd — na rewję,  
z okrzykami i przy śpiewie —  
pójdą jasnym niebios plantem  
z nim już może —  
jako swoim — komendantem.

---

Bo któż tak drugi — jak on  
z kazamat wznosił się — aż na tron?  
Kto tyle razy  
śmierć sprął po pysku —  
i łamał tak „ukazy“ . . .  
i tak nocami  
na tajemnym uroczysku,  
gdy inni spali . . . rozmawiał z duchami?  
Kto drugi — taki ryzykant, fantasta,  
patrzył i widział tak jasno, daleko  
A starej zbrodni — kto tak kopnął wieko —  
i nad gruzami spalonego miasta  
ujrzał — jak Polska z chaosu wyrasta?!

---

Jest chwila,  
w której narody

wstrzymują swe pochody  
i słyszą jak nad ziemią smutek się rozpyła...  
i coś — o brzasku świtu  
grzmi, jak podziemny wybuch dynamitu —  
i coś tak sercem zatarga człowieczem,  
jak gdyby Anioł z mieczem  
leciał nad ziemią skrzydlaty —  
i śpiewał tragiczne roraty. . .

W takim momencie  
pękają serc pieczęcie,  
pryskają życ łańcuchy —  
i nowe — rodzą się duchy.

O takim świecie —  
jawią się dziwne regimenty,  
i pochód wojsk — zakłęty  
przemarszem konnicy pancernej skrzydlaty,  
z okropnym szumem i tętentem —  
leci w zaświaty. . .

Przeto — nie miejcie lęku —  
choć nie słyszycie szabel ostrych szczęku  
i chociaż żaden wieszcz wam nie wymarzy —  
husarskiej duchów szarży. . .  
Pochód skrzydlaty ponad ziemią krąży,  
a przy sztandarze stoi duch chorąży  
i trębacz — gotów zagrać do apelu,  
by Króla Ducha — z grobowców Wawelu  
i wojsko śpiące z wąwozów granitu —  
wywieść na nowy bój — o prawo bytu. . .

Na kartę papieru wybladłą  
spadają mi krople przejasne. . .  
Cóż to — czy piersi są nagle zaciasne,  
czy może — serce zaduże? . .

Trzaska po piersiach — jak młot po marmurze  
i tak się chwieje, jak wahadło. . .

— — — — —  
Nie wolno płakać? . . .

Wszak to nie łzy —  
to tylko serce mi na bruk wypadło. . .

— — — — —  
Nie wolno płakać!

Po dniu cierpienia —  
niech naród stanie,  
jak wieśniak z kosą na dojrzałym łanie  
i kładąc w rząd pokosy —  
niech ufa w ożywcze rosy,  
w których mu ciepłą wiosną —  
nowe plony urosną,  
a duchem wielkim wodza użyźniony  
posiew zakwitnie — w pszeniczne zagony,  
w bieluchne kłosów zboże. . .

— — — — —  
Naczelnikowi — bądź łaskaw . . . O Boże! . . .

## WYROSŁEŚ PONAD NAMI. . .

*(Elegja ku czci Henryka Sienkiewicza, niezrównanego  
piewcy bohaterskich dziejów Polski, w dwudziestą  
rocznicę jego zgonu)*

### 1

Wyrosłeś ponad nami i nad narodami,  
jak dąb rozmawiający z Bogiem konarami —

i rozkwitłeś w żywiczną zielność wieczną tują,  
tam — gdzie duchy najwyższe nad światem koczują.

Myśl Twoja po bezkresach gwiazdami szeleści  
pełnią owocowania genialnej treści —

i płynie drogą mleczną w nowe konstelacje,  
pisząc pismem gwieździstem Twe czyny i prace;

bo z ziemi — aż w niebiosa bije moc Twa ducha,  
której przeszłość i przyszłość—i wszechwieczność słucha!

### 2

Lecz był czas — gdy w życia mordędzie —  
umarła przeszłość — przyszłości nie było. . .  
a terazniejszość, w żebraczej siermiędze,  
stała przed nami — z otwartą mogiłą —  
i przestkach chodził wśród świeżych kurhanów,  
dzwoniąc nam „requiem“ — przęsłami kajdanów. . .

### 3

Wówczas to ponad światem  
zaszumiała Twa mowa —  
jak fanfara płomienna,  
wieszcząca i gromowa.



I rozparła się w sercach  
echem bytu człowieczem,  
wrzawą walki dalekiej,  
groźnej — Ogniem i Mieczem.

Z ksiąg twych trysnął czyn buntu  
na postrach Europie —  
warcząc werblem alarmów  
na bój ludów — w Potopie.

Aż tam — gdzie skajdanione  
bohaterów ostatki  
marły — powiał duch wiary,  
od Jałty — do Kamczatki. . .

I pacierzem przemówił  
rozplakany w jęk pieśni —  
przez dzieci katowane  
knutem pruskim — we Wrześni!

I grzmiał nad narodami  
w niezrozumiałych znakach —  
szumem skrzydeł husarskich  
wielkiej bitwy — w Krzyżakach.

I rosnął — szumiał — huczał —  
łamał zapory — zwały. . .  
aż zakwitnął błękitnem  
wojskiem — Na Polu Chwały!

4

Nie było pieśni ponad pieśni Twoje,  
ni słów ponad Twe słowa —  
w nich się nam zrosły popękane zbroje  
i moc ożyła nowa.

Przeszłość runęła od słów Twych ogromu,  
jak cerkiew prawosławna —  
z gruzów narodu — z historii złomów  
Wiara wykwitła jawna.

Dziś — w zmartwychwstaniu ducha i potęgi —  
widzimy cel Twych myśli: —  
życie otwarło nam wieszczę Twe księgi,  
z których mściciele wyszli.

Nie doczekałeś dziejów dokonania,  
ani szumiącej chorągwiami chwały —  
na grobie Twoim — wieczność dziś podzwania  
szczęściem CZERWONO-BIAŁEM!..

5

Lecz duch Twój ciągle jest z nami  
w niewyczerpanej treści —  
słońcami i gwiazdami  
przyszłość rycerską wieści.

Wieści — bo wie, że z wiary  
najwyższa moc wykwita,  
czynami płonącymi  
na niebotycznych szczytach.

O wieść nam — Wieszczo Boży — !  
Jak arfa dzwoni eolska —  
jak pieśń Twa — tak niech wieczną  
będzie treść pieśni — POLSKA!!!

## IMPROWIZACJA

*(Arturowi Rodzińskiemu — ku pamięci dni słonecznych  
muzyki polskiej w Ravinia)*

Podnieście czarną chmur kurtynę w górę —  
rozwalcie ściany i wprowadźcie przestrzeń,  
niech drzewa staną mi szumiącym chórem —  
zagramy burzą . . . w zielonej orkiestrze!

Na podjum wchodzę — wizją ognistą —  
wyciągam ręce ze drzeniem,  
zamykam ciemną dziejów rzeczywistość —  
powiodę was w marzenie.

Wyśpiewam poszum dni i nocy senność,  
wygram tęsknotę serc i łez gorących —  
rozpacz zamienię w symfonię płomienną  
i glob ziemski zapalę muzykalnym słońcem.

Pochylcie strudzone głowy,  
w napięciu serc i ducha,  
słuchajcie wieczystej mowy —  
bo oto Polska gra wam — i Polska was słucha!

---

Jak kanonier przy dziale z zapalonym lontem —  
stanę z batutą ogniem magicznym płonąca  
i wystrzelę akordem — jak Stwórcy Giewontem  
prosto w serca. Powtórzę akordów tysiącem . . .  
zazumię na trąbonach burzą purpurową,  
grzmotem kotłów uderzę tak w granitów zręby —  
aż turnie mi dokrzykną — żywą ludzką mową,  
limby zejda z przełęczy, z puszczy przybiegną dęby,  
jałowce się zesuną z gór na połoniny —  
i skoczą w płas ciupagi — przy piskach kobziny!  
I tak się zacznie taniec — gór, lasów i dolin —  
zieleń, czerwień i bieleń tak się w nim zespoli

ruchem skocznym, zbójnickim, drobnistym, krzesanym —  
że się nie opamięta — aż chyba nad ranem,  
gdy z daleka, po rosie fujarki pastuszej  
pieśń wierzbową przyleci — i ból wasz zagłuszy  
i zaśpiewa tak słodko i tak przeogromnie,  
że wielkość z was wywoła — i Polskę przypomni!

---

Słyszycie? . . . Łany lnu szumią błękitnie,  
łąki zielenią w czerwieni się topią,  
czajki bekasom wdzięczą się w rokitnie,  
poletka chłopskie kłoszą się i snopią,  
maki purpurą grzędy po ogrodach,  
łotacia nogi płóczę w ciepłych wodach,  
po sadach grusze pęcznieją słodyczą  
i pszczoły miodem lipowym głód syca.  
Wierzby rozpięły gałęzie struniaste  
na płotach . . . (grają wozom drabiniastym).  
A z dala idzie polem — już się zbliża —  
tęsknota . . . Wianki zawiesza na krzyżach  
i do serc waszych — chabrami zagłąda  
i Polski szuka na dalekich łądach.

Słyszycie? . . .

Zapadłym stepem — od Czarnego Morza  
wiatr mokry szumi i żali się w zbożach,  
szeleści w suchem życie!

---

Ktoś dumkę smętną gra na teorbanie . . .  
Śpiew szumi, rośnie . . . (Burzą jest to granie).  
Ktoś krzyczy: — razem, Polska, Ruś i Litwa —  
tętent — konnica, piechota, gwar, bitwa . . .  
sztandary jakieś nad stepem łopocą,  
łuny pożarów czerwienią się nocą —  
dzwony gdzieś biją na jakimś kościele,  
miesza się Czerwień i Zieleń i Bieleń . . .  
Ktoś łzy ociera i ktoś cicho płacze: —  
„ej ty kozacze — mój miły czumacze! . . .“  
i cisza senna zapada na błoniach . . .



## MSZA POŁOWA

*(Pamięci harcerskiej Mszy Polowej, celebrowanej  
w Chicago, w obozie harcerskim przez Jego  
Ekscelencję, Biskupa Józefa Gawlinę)*

Zadzwończyły polne dzwonki  
w rozszerebrzonych płatków szmerze,  
a z dymiącej mirrą łąki  
szepcem w niebo tchną pacierze.

W kwietnej bieli — jak w komeszkach  
głogi — leśne ministranty —  
obstąpiły ołtarz cichy,  
szepcąc: Święty . . . Święty . . . Święty . . .

A organem chórnym, szumnym  
uderzyły „Kirie“ drzewa —  
Bóg pochylił się nad ziemią  
słuchać . . . kto tam Sumę śpiewa. —

I w szelestach — jakby skrzydeł  
archanielskich drży dąbrowa: —  
rogatywki . . . jasne twarze . . .  
Stwórca . . . Kapłan . . . Msza Polowa . . .

---

W rozlewie słońce dalekich  
recitativo słów odwiecznych leci,  
wstrzymały bieg idące w bezkres wieki . . .  
na złomach umarłych stuleci  
stały — w milczeniu cichem —  
gwiazdy zbłąkane — w rozsypanym chrzeście  
i oto Bóg na ołtarz — Słonecznym Kielichem  
wylewa szczęście.

---

*Asperges me Domine  
hysopo et mundabor  
lavabis me  
et super nivem dealbabor. . .*

---

Wstańcie: —  
niech wam bojownik wolności i wiary  
ewangelicznych tajni odczyta zamiary,  
szumem słów — co z bojowiska  
poległych Ojców duchem w niebo tryska  
i zgłoskami komet pisze  
memorjał wieków — śmiały,  
wyrosły nad ideały —  
wykwitły — nad ziemię —  
nad światy —  
i nad nikczemne prywaty. . .  
dzisiaj odrodzony — w serce młodzieńczych ciszę,  
w chronolog czynów czerwony i biały! . .

---

*Kirie eleison  
Christe eleison  
eleison — eleison — eleison. . .*

---

O Panie —  
zmiłuj się nad nami! . .  
Oto — z dalekich łądów —  
po świecie rozsypani —  
idziem do celu drogami różnemi,  
błądzący, oślepieni cudzemi blaskami —  
i to nas tylko żywi,  
że nie idziemy z rękami próżnemi.

Z odległych pól —  
z dalekich łąk —  
przyświeca nam przejasny krąg. . .  
Przez dni, tygodnie, miesiące i lata —  
idzie przed nami — husarja skrzydlata,  
idzie przed nami oddalona sława,

wykuta Szczerbcem — w słupach Bolesława —  
idzie przed nami świta niepoślednia...  
wizje Grunwaldu, Radzymina, Wiednia —  
idzie przed nami — nieśmiertelność Piasta —  
i w niej żyjemy — z niej nasz duch wyrasta.

I pójdziem — z krzykiem po zwałach,  
po obstrukcji spiętrzonej  
tam — kędy sława piorunami pała  
i gdzie strop nieba w błękit pochylony —  
dni — nam nieznanym rozlewa seledyn —  
bo oto wiemy —  
że choć pod nami — inna ziemia wstała —  
duch w nas pozostał ten sam — wieczny — jeden!

---

Jasność po niebie się pyli —  
południe ducha się zbliża...  
ktoś między wami stanął w tej słonecznej chwili  
i podniósł w górę — znak zwycięski... Krzyża...

---

Ite — Missa Est... Skończone —  
ktoś usłyszał was z daleka —  
popłynęła od ołtarza  
mleczna — błękitami rzeka.

Pochylone rogatywki  
w pacierzowym drgają szmerze —  
usłyszała was — Ojczyzna  
i wyrzekła słowo: „Wierzę!“...

I uwierzył wam — duch przodków,  
w dal idący drogą wieczną —  
Bóg wziął słońce... błogosławi  
wam Monstrancją Słoneczną...

A że czystą i młodzieńczą  
przemówiły serca mową —  
Bóg — w niebieski rejestr wpisze  
waszą jasną... Mszę Polową...



# PATRIA

(Do komunisty)

A więc powiadasz, przyjacielu,  
że Ojczyzna...  
—to „spacjum bezmierne  
w geograficznym wymiarze,  
nie mające gatunków ni granic —  
ni wzlotów ni gór ni dolin —  
jednem słowem — płaszczyna...  
— — — — —

Czyżby to miała być nasza OJCZYŻNA?

Przyjacielu —  
mędrkom spękały czaszki  
i mózg się wylał — niby sok z kokosa  
soplami próżnej ich życia siwizny,  
a jednak —  
nie zmierzili „spacjum“ — OJCZYŻNY.

Przez szkiełka,  
przez pryzmaty —  
patrzeli w internacjonałów plakaty  
i wzrok swój zatracili w materji,  
(gdy przodków swych szukali w klatkach menażeryj)  
a chociaż szła tuż obok nich w odwiecznych ruchach —  
mędrkowie — już jej nie dojrzeli,  
bowiem Ojczyzna jest wykwittem — DUCHA...  
— — — — —

Istotą życia — jest Ruch —  
warunkiem Ruchu — jest Duch,  
a źródłem Ducha — jest Bóg —  
i tam początek i tam jest koniec wszelkich dróg!

I z Boga wyszło prawo,  
którem istnieją narody —  
i nie wiem czy Bóg chciałby  
zmienić je — dla twojej „towarzyszu“ wygody. . .

---

Chcesz wiedzieć, bracie — co to jest Ojczyzna? . . .  
Spójrz w oczy dziecka kwitnące błękitem —  
posłuchaj łąnów szeleszczących żytem,  
policz mogiły i leśne kurhany  
i stań o świcie słońca — zasłuchany  
i niż na nitkę cierpień — jak różańce —  
łzy, czyny, życie rzucane na szańce —  
i do płynącej stąd symfonji szumu  
nastroj tve serce — i użyj rozumu,  
a wówczas — jeśliś godzien tej spuścizny —  
może usłyszysz . . . może — głos Ojczyzny. . .

Tego — co płynie w wiecznych wirach ducha —  
nie zmieścisz, bracie — z „kapustą do brzucha. . .“  
tego — co wieki strzegły nam ze strachem —  
przykryć nie można — jednej chaty dachem —  
ani pomieścić w myśli butonierce. . .  
Na to zamałem jest — największe serce! . . .

Buntem —  
ruiną —  
nie wskrzesisz, bracie, szczęścia —  
od tego — wieki całe giną. . .  
a słońce ludów — tkwi w Duchu iskierce —  
przeto: „miej serce — i patrzaj w serce. . .“

# MANIFEST GORZKI

*(Do wodzów Polonji)*

Czapkę piórami strojną nosić wam kazano,  
stygmat nieśmiertelności — życiem w duszę wbito,  
siłą gorzkich doświadczeń, w dziejach nie nazwaną,  
co pomnikiem spiżowym wrosła w serc granity.

Dzieje skrzydeł husarskich — szumem wielkiej mocy  
w trzasku kopij łamanych na mongolskich karkach —  
przyszły budzić do czynu — was zgubionych w nocy,  
sprzedających swą wielkość jutra na jarmarkach.

Handel, szwindel — jak wichur pośród was się kręci,  
rosną hasła bezduszne, w szeptach i przetargach —  
hymn zwycięstwa, smagany kłamstwem — w błocie klęczy  
miast zaszumieć chorałem w rozmodlonych wargach.

Czyn — nim powstał — już w oczy bryzga wam cykuta  
sporu, który sam w sobie jest już zaprzeczeniem —  
cóż, że macie w swym ręku tak misterne długo,  
gdy mistrzami — nie mistrze są, lecz mistrzów cienie.

Pomnik dziwny wyrasta . . . Zmarnowany metal  
pnie się karłem potwornym w górę — na kolumnę  
szydzić z hasła umarłych . . . „nędzny twór — tandeta!“  
Lepiej wnieście na słupie malowaną trumnę!

Pocóż krzyki i hasła, pełne majestatu,  
kurzem słów wyrzucane z ust, niby z sieczkarni?  
Czyn wasz zerem zakwita — w szumie postulatów —  
**WIELKOŚĆ** tworzy i **PRZYSZŁOŚĆ** mogą tylko **KARNI**.

Pycha próżna wam gorsy wzdyma jak balony,  
„EGO“ w głowach wam szumi, jak zatruty trunek...  
Jutro idzie!... Kto zechce tam być — ocalony,  
musi swe „JA“ przekreślić, jak błędny rachunek.

Niema „wielkich“ — są tylko czyny, jak łabędzie  
białe Prawdą — wiodące ludzkość w dni pochodzie —  
kto chce płynąć w nurt jutra — ten niech dzisiaj wsiędzie  
do jedynej — ostatniej ratunkowej łodzi!

Żagle rozpiąć, wiosłami ciąć rytmiczne fale,  
by historia, co będzie czyn wasz w przyszłość niosła —  
nie krzyknęła, że: — łódź się rozbiła na skale,  
boście w kłótni zgubili — ster, kompas i wiosła.

Idzie przyszłość z oddali — szara nienazwana,  
czas słońcem — jak toporem rąbie lat krawędzie.  
„Iść? ... Dokąd?“ ... Pocóż pytać? ... Kto się rano śłania,  
tego w wieczór podziału zysków — już nie będzie!

## SŁOWA ZMARTWYCHWSTANA

*Do przyjaciół — poetów i pisarzy  
polsko-amerykańskich*

W kalejdoskopie zmarnowanych godzin,  
które na czoła nam w brózdach się kładą —  
poszum sferycznych wichrów się narodzi,  
kwitnący chlebem pachnącą balladą.

Z słów — zaduszonych łkaniem, w suchej krtani,  
z porywów wyższych nad wzloty Ikara,  
z mieczem ognistym — duch poezji wstanie,  
wybuchnie życiem płomienna fanfara.

Rytmem studziwęcym przejdzie ponad tłumem,  
zajrzy w komórki głów — w snów rumowiska,  
kosmosem serca — stanie nad rozumem  
i — obojętnych . . . wysmaga po pyskach. . .

Codziennosc pustą zmiele w wiecznych żarnach  
na mąkę miałą — na paschę dla ducha —  
aż w dziwach stanie gawiedź szaro-czarna  
— że taka słodycz — jest w pieśni okruchach.

Słowa ogniste — piórami komety  
pisane w księdze nadgwiezdnej prawieków —  
zadymią nagle — jak żywe lawety  
i strzelą w wieczność — ukrytą w człowieku.

Taką to zemstą — słodką i przejasną —  
zemszczą się nasze nieskończone pieśni,  
a choć tłumione łkaniem dzisiaj — gasną. . .  
—zakwitną kiedyś — przepychem czereśni!

I wówczas, bracia — na mogilnych wzgórzach,  
gdzie leżeć będą nasze białe kości —  
DUCHY SŁÓW naszych — powstaną jak burza —  
szumieć w wszechbycie — pieśniami wieczności.

I wówczas — może . . . o zachodzie słońca  
przyjdą ci — których duch wezwie skrzydlaty —  
i tym odczyta brzoza — tam płacząca  
nienapisane — nasze poematy. . .

## FAŁSZYWI PROROCY

Uzbrojeni w skalpele i błyszczące noże,  
w szkła, okulary, lornety i lupy —  
chodzą, badają, krają — tajemnice boże  
i mówią nam — żeśmy trupy. . .

Wyniosli — jak wieże mądrości,  
wszystko wiedzą — choć dotąd, jak noc byli ciemni,  
ryzykanckie rzucają kości —  
strategowie, dyplomaci i wieszczce podziemni!

Wiedzą co było i jak być powinno;  
a chociaż pluli na Piotrową Skałę —  
dziś piorunują: — czemu cud nie spłynął  
i nie uderzył ich w głowy cymbałem. . .

Podmawiają, kibicują, szczują  
ludzi, podluków — rano w dzień i w nocy,  
jarmark robią na serca z każdym byleszują —  
fałszywi — z pod ciemnej gwiazdy prorocy!

I pytają: „W jakiego to wierzyliśmy Boga,  
że tak nas bezlitośnie i straszliwie schłostał“. . .  
I chcą nas wieść po krętych, dymem zawianych drogach,  
choć droga nasza jasna — jak chleb razowy prosta.

I każą nam obalać krzyże — z takim trudem  
wzniesione na gotyckich wież podniebne szczyty,  
by na miejsce ich zatknąć insygnja zatrute: —  
płachty czerwone — młotem i sierpem przebite.

I chcą w nas przenieć prastłowiańską duszę,  
rozjaśniona dziejami w znak Czerwono-Biały,  
zatrzeć przeszłość i przyszłość azjatyckim tuszem  
i wieść na bój w poszumie internacjonału.

---

Nie tędy droga — nie tędy!  
albowiem Ta co była — jest i nie zginęła —  
przetrwa cyklony wieków — błędy i legendy,  
gdyż cel Jej — w Pramądrości Wszechobecnej dziełach.

A chociaż dzisiaj w strzepy jest rozdarta  
i zdruzgotana ręką mściwą —  
stoi i czuwa nad Nią duchów warta,  
aby przyszłość Jej była tembardziej przedziwną.

Gdy przeminą gromy i burze —  
Ona podejmie znów cel swój olbrzymi,  
aby ludzkość prowadzić drogami nowemi,  
ku Prawdom ogłoszonych w Kazaniu na Górze.

---

### *Przyśpiew*

Bracia: —  
w tej godzinie dziejów tragicznej,  
płonącej ponad nami zemstą i chaosem —  
kórzmy się i czekajmy z pochyłonom obliczem  
na Dzień — co idzie ku nam — wołać wielkim głosem...



# SEN O MORZU

## 1

Nigdy nie byłem ja nad Polskiem Morzem,  
nie spoglądałem w jego szumny tren —  
lecz dzisiaj w nocy — (dopuszczeniem bożem) —  
śnił mi się dziwny o tem morzu sen: —

---

Nad błękitami kryształowej fali,  
nad lasem żagli, kominów i maszt —  
przedziwna zjawia miasta błysła w dali,  
w splotach załamów, wind, gmachów i baszt.

A pod nad miastem, spowitem w woale —  
rycerz olbrzymi stał na mieczu wspart,  
otoczony hufem zbrojnym . . . Lśniły fale  
i grzmiąły hasła patroli i wart.

## 2

Padły rozkazy. Ruszyły szalupy  
w rozbełkotaną — bursztynową dal.  
To Duch Chrobrego bił graniczne słupy,  
skuwał granicę prasłowiańską w stal.

A skoro ciężki słup zapadł się w głębie —  
zjeżonej fali uderzał weń prąd  
i pieśń bojową grał — w wichrów rozkłębie,  
wzywając wieki — na odwetów sąd. . .

A rycerz, stojąc na swym mieczu wsparty,  
nad błyskiem kopij, puklerzy i głów —  
rozkaz gromowy — na historii karty  
rzucał rytmicznie — piorunami słów.

*Głos Rycerza: —*

Tam — wdluż tych słupów nakreślam granice  
i pokoleniom powierzę ich straż —  
i rozkaz wydám — by jak błyskawice —  
bił piorunami burzycieli w twarz.

A którzy dzisiaj są i kiedyś będą,  
w Szczerbca mojego zasłuchani szczęk: —  
niech bronią morza — zbrojni tą legendą,  
w niej wam otucha — a wrogowi lęk.

Bo w morzu owem żyje treść narodu,  
która rozjaśni nowych dziejów świt —  
i — pośród ludów słowiańskich pochodó —  
powiedzie Polskę na królewski szczyt.

A gdyby kiedy zabrakło wam siły  
i przed grabieżcą ogarnął was strach: —  
ja hufce duchów wywiodę z mogiły  
i Szczerbiec błysnie — jak w prastarych dniach.

Duch mój przyleci tu na skrzydłach burzy  
i taki stoczy bój — przy graniu trąb —  
że krwią się fala szumna rozpurpurzy  
i rozbursztyni mórz bezdenne głąb.

Przeto powiadam wam: — choćby skonanie  
pożarło żywych i duch spłonął w krwi —  
to z trupów ducha — Duch Mściciel powstanie  
zwycięzać . . . **BO W NAS NIEŚMIERTELNOŚĆ TKWI!**

I zniknął rycerz w złocistym pancerzu,  
rozbełkotany zamilkł morza tren —  
tylko się fale kładły na wybrzeżu,  
śnić o przyszłości Polski — wielki sen.

XIX.

Płonące Złoto.



# PŁONĄCE ZŁOTO

(*Poemat sceniczny — w jednej odśtonie*)

Scena przedstawia luksusową komnatę, urządzoną z przepychem i kunsztem wspaniałym.

Na ścianach, wśród obić złocistych i egzotycznych arabesków, zarysowanych fantastycznemi kołami oraz trójkątami w łagodnych półcieniach — widnieją rzędy portretów ludzi wielkich, których sława, potęga i władza zabłyśły jasnością wspaniałą na przestrzeni dziejów ludzkości.

W różnych częściach komnaty stoją masywne fotele, kanapy wybijane bezcennym, importowanym pluszem i tkaniną złocistą.

U wylotu komnaty — lśni w rozprysku elektrycznych świateł zimna, ponura ściana stalowej kasy.

Przy biurze, bogato zdobionem rzeźbami, zawalonem stosami depesz i cennych dokumentów — siedzi człowiek średniego wzrostu, szczupły, z głową mocno już siwiejącą i oczami, które błyskają jak w gorączce. Przegląda niepokojnie tabelę giełdową, kreśląc na niej jakieś sobie tylko wiadome znaki — ręką, która drży ze wzruszenia i wielkiego napięcia nerwów.

W odległym kącie komnaty, przy teletypie giełdowym — siedzi drugi człowiek — wysoki i chudy jak śmierć, z twarzą blado-zieloną i długimi palcami chudej kościastej ręki podtrzymuje cieniutką taśmę papieru, wypływająca nieustannie z maszynki, śledząc ją nerwowym wzrokiem — z taką uwagą, jakby od biegu owej taśmy zależały jego śmierć i życie.

W półmroku wielkiej komnaty — człowiek ten zarysowuje się z daleka — jak automat lub maszyna jakaś groteskowa, będąca lichą imitacją istoty ludzkiej.

Mechaniczne, monotonne stukanie aparatu — napełnia nudnym szmerem półciemne kąty komnaty, wżera się w mózg tych dziwnych ludzi, wbija się klinem w handlo-

we ich serca, wsiąka nieustannie w ostateczne głębie ich myśli, w jestestwo całe.

Pozatem panuje tu jakaś maszynowa, zimna atmosfera, przygniatająca ciężarem ponurym wszelkie przedmioty, nasycona dziwnym niepokojem i oczekiwaniem ciężkiem — jak przed burzą wielką i straszliwą.

#### MILJONER

*(Podnosząc głowę z wolna i wzrokiem pełnym gorączkowych przebłysków patrząc przed siebie, jakby przez ściany chciał ujrzeć najdalsze granice świata)*

Po latach konkurencji, walk i zabiegów nadludzkich — nadchodzi wreszcie mój dzień decydujący. Chwila jeszcze, a stanę się potęgą, przed którą świat cały drżeć i pełzać na kolach będzie. Po trupach konkurentów moich — jak po drabinie — wstępuje oto na szczyty potęgi i władzy. *(Z większym zapętem)* Gotów jestem . . . Wszystkie atuty mam w ręku . . . Obsadziłem doskonale strategiczne placówki i czekam . . . Dziś jeszcze lub jutro najpóźniej — imię moje załśni ponad światem jak błyskawica — i jak grom nad głowami ludzkości zaszumi . . . Na pierwszych stronach dzienników — ogromnemi zgłoskami — zabłyśnie rozgłos mój i sława . . .

#### SEKRETARZ

*(Głosem suchym i drżącym)* Mam już — mam . . . panie szefie . . .

#### MILJONER

*(Zrywając się z siedzenia)* Co masz? Mów prędzej — prędzej!

#### SEKRETARZ

Raport — panie szefie.

#### MILJONER

*(Biegając w kierunku sekretarza)* Co mówi — na Boga! — co mówi?

#### SEKRETARZ

W tej chwili odbieram zakończenie depešy.

MILJONER

Prędzej, prędzej . . .

SEKRETARZ

Gugenheim, Forgan, Kruger i Spółka . . . ulegli . . .  
poddali się . . .

MILJONER

Mów prędzej, prędzej — jakie warunki? . . .

SEKRETARZ

Przyjęli nasze warunki. Podpisali umowę. Kapitu-  
lują . . .

MILJONER

Gdzie chcą mnie spotkać?

SEKRETARZ

Tutaj!

MILJONER

Kiedy?

SEKRETARZ

Jutro o godzinie dziesiątej rano . . .

*(Sekretarz podaje miljonerowi taśmę papieru z depe-  
szą i, pochyliwszy się nad biurkiem — poczyna układać  
dokumenty)*

MILJONER

*(Czytając depezę) Gugenheim, Forgan, Kruger  
i Spółka . . . ulegli . . . poddali się . . . (Poczyna cho-  
dzić przyspieszonym krokiem po całym obszarze komnaty,  
wymachuje rękami i bełkoce niezrozumiałe, urywane  
zdania — jak człowiek, który z nadmiaru radości dostał  
nagle obłądu. Rzuca depezę na podłogę i mówi): —  
A — więc zwyciężyłem . . . pokonałem największych  
moich wrogów i współzawodników! (głośniej) Tak!  
Teraz przyjdą do mnie z pochylonemi głowami i słuchać  
będą rozkazów moich . . . Ha-ha-ha-ha! . . . (do sekre-  
tarza) Możesz odejść. Ja teraz chcę być sam — sam ze  
swą radością . . . napawać się tryumfem . . . nasycać się  
potęgą władzy . . . rozkoszować się szczęściem . . .*

krzycheć z radości, szaleć z rozkoszy . . . (*Sekretarz gasi światło do tego stopnia, iż większa część komnaty pogrąża się jakoby w półmroku i — ukłoniwszy się nisko — wychodzi*)

### MILJONER

Zmiażdżyłem ich, stratowałem! Upadli przede mną i są dziś podobni do żebraków. I oto jutro przyjdą do mnie prosić o łaskę, o względy ekonomiczne. Ale ja im pokażę względy, ja im dam koncesje! Zapłacą mi stokrotnie za lata trudów i walki! (*Otwiera kasę*) Ja im rzucę w oczy oto tem . . . Tak rzucę im w twarz, zasypię ich po ramiona, po szyje akcjami, banknotami i złotem. . . (*Tu poczyna wynosić i układać na biurku stosy akcji, banknotów i ustawia puzdra ze złotem. Przez kilka sekund słychać tylko szelest papierów i brzęk złocistej monety. Wreszcie staje przy biurku, poczyna patrzeć na stos swych skarbów i mówi głosem drżącym, niespokojnym i gorączkowym*): —

Dolary złote, brzęczące, błyszczące  
dolarów stosy, miljardy, tysiące —  
leżą przede mną — a ja wśród nich stoję  
i drżę z rozkoszy . . . Wsuwam ręce moje  
w stosy banknotów, w piramidy złota  
tarzam się w złocie . . . Niech patrzy hołota!  
Nurzam się, pływam w powodzi pieniędzy,  
jak jedwabniczy kokon w złotej przędzy,  
jak Midas drugi . . . Każdy ruch mój — praca  
ręką mą tknięta — w złoto się obraca . . .  
i rosnę ciągle w bezmiary olbrzymia.  
Mej konkurencji — piekło nie wytrzyma! . . .

(*Rozczulając się*)

Pieniądze moje brzęczące —  
kocham was ponad słońce . . .  
Kłękam przed wami  
jak przed bogami —  
biję pokłony . . .  
Niechaj będzie na wieki brzęk wasz pochwalony!



*(Prostuje się i poczyna mówić z dumą, jak człowiek, który wie, że jest mocny i może mieć wszystko, czego zapraśnie)*

Ja — milioner . . . sam stoję na zrębie  
świata — jak Stwórca . . . W mych działaniach obrębnie  
wszystko rozkruszę —  
majątki świata wchłonę,  
zakupię ludzkie dusze . . .  
Jak niewolniczy handlarz na jarmarku  
postawię stopę na ludzkości karku,  
na gardła dyszące włożę  
stalowy łańcuch i ciasne obroże . . .  
opatentuję słońce i powietrze,  
rozstawie czułe metrów aparaty —  
krew nawet będę sprzedawał na raty,  
tlen na miesięczne spłaty . . .  
Na wyobraźni i myśli kontakty  
zyskowe zawrę kontrakty,  
a w pochylone w proch przede mną karki  
wtłoczę bandrolę swej fabrycznej marki,  
której i śmierć nie zetrze! . . .

*(Drżące ręce zanurza w złocie, przesypuje przez palce monety błyszczące i kosztowności — nabiera pełne ramiona akcyj i banknotów i do piersi dyszącej przyciska)*

Pieniądze moje  
przed wami stoję  
i drżę i biję pokłony —  
niechaj będzie na wieki brzęk wasz pochwalony! . . .

*(Podnosi dumnie głowę)*

Finanse świata dzierzę w moim ręku,  
już kontroluję giełdy, banki bursy —  
na odgłos złota mojego pobrzęku  
rosną — lub na dół upadają kursy —  
w strach lub nadzieję wtrącam świata lądy,  
wywracam stare, wznoszę nowe rządy . . .

*(Krzyząc)*

Ja pan . . .  
ja bóg bogów —  
ja król nad króle . . .  
u świata czterech rogów  
stoję  
i kręcę . . .  
spróchniałą ziemi kulę!

*(Począyna chodzić po pokoju coraz bardziej przyspieszonym krokiem)*

Ja mistrz — nadcłowiek, genjusz machinacji  
fortuny kruszę w trybach spekulacji,  
ziemią potrząsam w giełdowych arkanach,  
na sercach ludzi gram jak na organach . . .  
Z pobrzęków złota taką pieśń wywodzę,  
aż ludzkość staje na dziejowej drodze,  
wyciąga ręce do mojego złota . . .

*(Zatrzymuje się i mówi dalej głosem pełnym pogardy)*

To już nie ludzkość . . . to nędzna hołota,  
to już bankrutów zrujnowanych tłumy!  
Przyjdą zastawić u mnie swe rozumy,  
sprzedać mi swoje istoty i żądze —  
za moje złoto, za moje pieniądze . . .

*(Podbiega do okna — a otwartwszy je, opiera się o futrynę i wyteżę wzrok dziki w bezdenną przestrzeń nocy, jakby tam ujrzał nagle jakąś wizję dziwaczną, majaczącą w oddali)*

Widzę ich . . . idą ku mnie —  
jak niewolników banda . . . szarlatani,  
złamani  
zbankrutowani . . .  
A idą tłumnie!  
Słyszę ich krzyki i dudniące kroki . . .  
na plecach niosą ogromne tłumoki,  
ciężkie jak ołów bagaże . . .

A w prochu wloką twarze,  
niosą mi w darze  
na hipoteczną zastawę —  
majątki swe niemrawe . . .  
szachrajskie dusze,  
chydrości pełne żądze  
i swoje serca zachłanne, zazdrosne . . .  
Wszystko mi niosą — sprzedać za pieniądze!  
A ja — jak kolos stoję w zawierusze  
złota — i rosnę . . . rosnę . . . ciągle rosnę . . .

*(Cofa się o pare kroków i — patrząc ciągle w okno poczyna krzyczeć — jak człowiek, który dostaje stopniowo pomieszania zmysłów)*

Precz stąd, nędzarze . . . zgrajo niewolnicza!  
Ja wam trzydzieści srebrników wyliczę  
za wasze skarby i za waszą wiarę  
i za nazwiska, tytuły prastare! . . .  
Majątki wasze rzuciłem do błota —  
nie dam pieniędzy . . . precz od mego złota!!!

*(Odwraca się od okna i krokiem chwiejnym poczyna posuwać się bardzo wolno w stronę biura, na którym leżą kosztowności, banknoty i akcje; a wyciągając przed siebie ramiona, jakby chciał całą ziemię ogarnąć — mówi dalej — głosem nieco spokojniejszym)*

Ja kontroluję kulę ziemską całą!  
Wchłonałem w siebie wszystko co jest cenne,  
wszystko co wartość złota przedstawiało —  
lecz tego jeszcze mi mało . . . zamało . . .

*(Chwyta się rękami za gardło — to znowu za głowę, jakby czuł, że go coś w krtani dusi i że gorączka skronie mu przepala)*

Palą mnie żądze bogactwa płomienne —  
w pożarach żądy rozkładam się . . . duszę . . .  
Ja więcej, więcej żądam i mieć muszę! . . .

*(Bierze garściami z biura pieniądze i kosztowne dokumenty, ogląda je z rozkoszą i rozczuleniem, rzuca na środek komnaty, bierze nowe i czyni jak poprzednio)*

Pieniądze moje — pieniądze  
brzęczące — śpiewające . . .  
zasięg potęgi waszej nieskończony!  
Niechaj będzie na wieki brzęk wasz pochwalony! . . .

*(Nagle — jakby sobie coś przypominając — podnosi oczy gorączką płonące w kierunku portretów, porozwieszanych rzędami na ścianach, podchodzi ku nim i mówi głosem pełnym pogardy, wyzywającym)*

Ej, astronomy — ej, mędracy — uczeni! . . .  
przestrzeni dajcie mi więcej — przestrzeni!  
Wskażcie mi nowych spekulacyj mety —  
zakupię gwiazdy, słońce i planety!  
Nie pytam miary, wagi ani ceny  
dajcie mi nowe działania tereny! . . .

*(Stoi w milczeniu, jakby oczekując odpowiedzi od martwych malowideł. Wreszcie, jakby odkrywszy swój straszliwy zawód — poczyna zrywać ze ścian drogocenne ramy, rzucając je na podłogę z impetem wielkim, jak człowiek, który wywiera zemstę i wylewa z serca swego wstyd doznanego zawodu)*

Co więc milczycie? . . . Nikt nie odpowiada? . . .  
Precz stąd oszusty i sprawcy szantażu!  
szachraje złudy i twórcy mirażów!  
Biada wam wieczna . . . i mnie wieczna biada . . .

*(Zwolna jednak pasja mija. Miejsce jej zastępuje sentymentalna refleksja. Opada więc całym ciężarem ciała na pluszową kanapę i — jakby przypominając coś bardzo, bardzo dawnego, coś zastyszane gdzieś w pierwszych dniach budzącej się świadomości — poczyna mazać)*

Słyszałem kiedyś — zgrzybiałe dewotki

opowiadały legendy — czy plotki,  
że tam gdzieś — pośród złotych gwiazd zamieci  
od niepamiętnych prawieczy, stuleci  
ponad wszechświatem — u krańców eteru —  
Bóg jakiś stoi u eonów steru,  
a — dzierżąc w ręku odwieczną klepsydrę —  
wykreśla biegi gwiazd, komet i słońca,  
rodzi żywoty ludzi i aniołów  
i od początku wieków — aż do końca —  
On jest największą potęgą żywiołów . . .

*(Jakby sobie cos postanawiając . . .)*

Do niego ruszam — a jeśli nie wydrę  
mu jego bogactw w giełdowym ordynku —  
to je zakupię na otwartym rynku . . .  
Zabrzączę takim pieniądzy łoskotem,  
tak sypnę złotem,  
że aż samemu Stwórcy serce skruszę . . .

*(Chwyta się za gardło, jak człowiek, który odczuwa  
brak powietrza)*

Przestrzeni . . . światła . . . ciasno . . . ja się duszę . . .

*(Zrywa się z kanapy i poczyną biegać po komnacie.  
Potrąca przy tem o przedmioty, wymachuje rękami, jak-  
by chciał kogoś usunąć z drogi, i krzyczy z coraz większą  
siłą, podobną tej, jaką odznaczają się ludzie opętani)*

Na bok mi z drogi — bo oto już lecę!  
Wchłonałem tyle potęgi,  
że jak kometa — kreślę wstęgi, kręgi  
i jak kometa świecę! . . .

I jak zeppelin, u którego steru  
duch stoi — pruję bezkresy eteru  
i lecę . . .

i mknę do góry!

Ogniste rozdarłem chmury,  
pierzchły przede mną błyskawic warkocze,  
a ja w przezrocze,

wygonem gwiazd zamglonym —  
pędzę jak piorun czerwony,  
mknę jak szalony! . . .

*(Chwyta oburącz krawędź masywnego fotelu i obsuwa się na podłogę, mówiąc z coraz większym wysiłkiem)*

Po gwiazdnym szlaku płynę,  
w bezkresy lecę . . .  
w etery sine.  
Na wiatr puściłem wodze  
i mknę po mlecznej drodze —  
i świecę . . .

*(Krzycząc)*

Gdzie jest ten Bóg? . . .  
U kresu jakich On zawrotnych dróg?  
Ja — milioner . . . szukam Boga,  
po zaświatowych drogach błędzę . . .  
chcę kupić wszechświat — mam pieniądze!

Gdzie On — gdzie On?  
gdzie piorunowy Jego tron —  
Gdzie jest ten Bóg?! . . .

*(Podnosi się ciężko, siada przy biurku, i patrząc szklanymi oczyma w przestrzeń, jakby już zgoła nie widział otaczających go przedmiotów — mówi dalej — mającąc ciągle)*

Zda się już lecę wieki . . . wieki . . .  
straciłem liczbę czasu — drogi —  
przejrzałem krwawe słońc pożogi,  
przebyłem bezkres gwiazd daleki,  
minąłem deszcze mgławic  
płomiennych zjaw roztopy —  
ogniste wieńce piorunów, błyskawic . . .  
Pierzchły przede mną płonące komety,  
runęły w gruzy planetarne stopy,  
rozprysły w ogniach stada meteorów —

a ja wciąż pędzę wzdłuż kosmicznych torów  
do jakiejś najdalszej mety . . .

*(Z rozpaczą)*

Gdzie jest ten Bóg?! . . .

Gdzie ludzie? . . .

*(Z coraz większym wyrazem rozpacz)*

Sam jestem, sam — w bezkresie . . .

sam — tylko żądza moja

w zawrotną dal mnie niesie . . .

*(Z krzykiem przerażającym)*

Gdzie On — gdzie On?

Gdzie piorunowy Jego tron! . . .

*(Rozgląda się po komnacie — jakby nastuchując)*

Ha cisza — pustka . . . tylko gwiazdy w dali . . .

i złoto świeci i jak ogień pali . . .

Czerwony jestem cały od pożaru

złota — topnieje od słońca udaru —

płonę, goreję — jak żywa pochodnia . . .

Gdzie Bóg . . . gdzie ludzie?!

*(Po chwili oczekiwania)*

Ha — to może zbrodnia,

że złoto mam! . . .

*(Ciężkim i szerokim rozmachem ręki zmiata resztę  
złota i kosztowności z biurka)*

Precz — do piekielnych bram!

Przeklęte złoto . . .

pali się — pali,

płynie czerwony, gorejący potok . . .

*(Tu myśli płacząc mu się już zupełnie, a głos staje się  
coraz bardziej gorączkowy i dziki)*

Dolary krwawe, błyszczące — brzęczące —

dolarów bagna — miliony — tysiące —

i złota stosy —

stosy czerwone — płonące . . .

*(Z siłą)*

Dajcie mi jedno serce kochające.

Niech zabrzmiały czartów czy aniołów głosy . . .

*(Patrzy na kosztowności z przerażeniem wielkim, jak człowiek, który ujrzał nagle rzecz straszną)*

Przekłęte złoto — stopniało

i płynie lawą

krwawą . . .

z daleka —

czerwona, złota rzeka . . .

Hahahaha . . .

Dajcie mi Boga . . . czarta . . . lub człowieka! . . .

*(Ogarnia go przerażenie i obłąd coraz większy. Podnosi się chwiejnie, bierze krzesło i poczyna uderzać o drzwi wiodące do poczekalni)*

Hej, ludzie — obywatele!

wspólnicy — przyjaciele . . .

gdziekolwiek jesteście —

na jakim posterunku . . .

wzywam was

obywatele,

przyjaciele . . .

ratunku . . . ratunku . . . ratunku! . . .

*(Stania się i upada na strzępy banknotów i monety złote, połyskujące na kosztownym dywanie. Przez chwilę panuje cisza, jak w domu, nad którym przeleciało czarne widmo śmierci. W przedpokoju powstaje wrzawa, słychać jakieś przerażone głosy, ogólne zamieszanie i dobijanie się do drzwi gwałtowne)*

#### GŁOS PIERWSZY

Panowie — służba — bywaj tu, bywaj! . . .

#### GŁOS DRUGI

Słyszałem wołanie o pomoc i trzask jakoby łamanych sprzętów!



### GŁOS PIERWSZY

Drzwi na klucz zamknięte. Nie podobna otworzyć. . .

### KILKA GŁOSÓW NARAZ

Wysadzić drzwi! Wywalić drzwi! . . .

### GŁOS PIERWSZY

Wołać policję . . . doktora! . . .

### WIELE GŁOSÓW

Wyłamać drzwi — wyłamać drzwi!

### MILJONER

*(Podnosi się do połowy korpusu, a wsparty się na rękach — mówi słabym majaczącym głosem. Uderzenie do drzwi na chwilę ustaje)*

Pieniądze moje —  
złoto — miliony . . .  
niechaj będzie na wieki brzęk wasz potępiony!  
Przeklęty brzęk . . .  
w uszach mi dzwoni,  
w głowie łomota . . .  
Świat cały pełen złota —  
świat szalony —  
cały w złocie — czerwony —  
goreje . . . płonie . . .  
spod nóg — spod rąk mi — sprzed oczu ucieka . . .

*(Mówiąc to — z trudnością podnosi się i poczyna iść w kierunku kosztownego biura, potykając się o przedmioty i chwiejąc się na nogach)*

wije się, kręci, ślizga się jak żmije . . .  
O ludzie — ludzie . . . wołam was — kto żyje —  
dajcie mi Boga . . . czarta . . . lub człowieka! . . .

*(W przedpokoju wrzawa wzrasta i dają się słyszeć ożywione głosy. W ogólnym zamieszaniu — ktoś poczyna uderzać w ramę drzwi tępym narzędziem żelaznym. Miljoner otwiera szufladę, wydobywa z niej rewolwer i kieruje błyszczącą lufę ku skroni . . . Pada strzał . . .*

*Równocześnie z trzaskiem wielkim tłum naciera z przedpokoju i wylamuje drzwi)*

SEKRETARZ

Przebóg! Morderstwo — zbrodnia . . . Ratunku!

KILKA GŁOSÓW

Szukać zabójców . . . ścigać, chwycić łotrów! . . .

CZŁOWIEK WYSOKI Z BRODĄ

Morderstwo — ale z własnej ręki. Czyż nie widzicie, że człowiek ten zaciska w ręku kolbę rewolweru, z którego lufy dymi oto jeszcze gorączka świeżo wypuszczonego naboju?

DOKTÓR

*(Przedziera się przez tłum, i pochyla się nad drgającą w kurczach przedśmiertnych postacią milionera)*

Człowiek ten umiera i nic go już nie uratuje . . . Kula rewolwerowa, jakoby cięciem siekiery, rozłupała mu czaszkę na dwoje . . .

SEKRETARZ

*(Pochylając się nad zwłokami)*

Krew jego czarna jak atrament, gorąca — jak metal ognisty . . .

CZŁOWIEK KULAWY

Patrzcie — mózg wypłynął mu z czaszki i rozlewa się na dywan i banknoty.

CZŁOWIEK WYSOKI Z BRODĄ

Jaki on ma brzydki czerwony mózg! . . .

DOKTÓR

*(Bierze mózg zmieszany z krwią do ręki i bada przez szkiełko)*

Zaprawdę — człowiek ten był już dawno obłąkany . . .

SEKRETARZ

*(Wstaje nagle, przybiera minę urzędową, rozkazującą)*

Hej, ludzie! A wynieść no trupa stąd czempędzej!  
Silny to był człowiek i krwisty. Krwi miał dużo . . .  
Krew jego chlupoce pod nogami . . . rozlewa się po całym pokoju . . . gotowa zniszczyć dywan drogocenny i splamić banknoty . . .

## KURTYNA

# SPIS RZECZY

## DEDYKACJA

I	HEROIKA	11
II	CZARNA WIOSNA	15
	Złowróźbna Legenda	17
	Potwór	19
	Alarm	21
	Powrót Ptaków	23
	Orka	25
	Siejba	27
	Kwiecień	29
	Zapach Czarnej Wiosny	31
	Plon	33
	Pobojowisko	35
	Cmentarz	37
	Żołnierski Pacierz	39
	Tu Było Miasto	41
	Wygnańcy	43
	Modlitwa Dziecka	45
	Suplikacje	47
	Rozmowa Z Ziemią	49
	Przyjdzie Taka Wiosna	51
III	RAPSODJA TRAGICZNA	55
IV	OJCZE NASZ	59
	Braterstwo	61
	Poszukiwania	62
	Walka	63
	Niech Się Stanie	64
	Trzy Ziarna	65
	Niech Rzuca Kamieniem	66
	Pokusa	67
	Wiedza	68
	Bezradność	69
	Słoneczny Znak	70
	Przepaść	71
	Pielgrzymi	72
	Żniwo Radości	73
	Nadzieja	74

V	ODWIECZNE PIEŚNI O PRAWDZIE .....	75
	Z Boga Poczęta .....	77
	Na Rozdrożu .....	79
	Orszak Zatracony .....	80
	Obługa .....	81
	Szukali Ludzie Prawdy .....	83
	Jarmark Prawdy .....	85
	Widzieli Ją Nad Ranem .....	87
VI	W KLASZTORNYM OGRODZIE .....	89
	Modlitwa Sadu .....	91
	Najmilszy Zakątek .....	92
	Sekret Klonowy .....	93
	Kasztanowa Katedra .....	94
	Lipy Kwitną .....	95
	Altana .....	96
	Brat Idzi — Ogrodnik .....	97
	Brat Modestus — Pszczelarz .....	98
	Brat Iwo — Stolarz .....	99
	Brat Kamil — Księgarz .....	100
	Brat Kustosz — Anastazy .....	101
	Brat Dzwonnik — Sylwester .....	102
	Ławeczka .....	103
	Ogród W Nocy .....	104
	Okno Na Świat .....	105
	Siesta Dnia Letniego .....	106
	Owocowanie .....	107
	Sen O Braterstwie .....	108
VII	PRELUDJA PORANNE .....	109
	O Wieczystem Oczekiwaniu .....	111
	O Siejbiarzu Niebieskim .....	112
	O Muzyce Z Zaświatów .....	114
	O Gościu Nieproszonym .....	116
	O Poranku Deszczowym .....	118
	O Człowieku, Który Zaspał .....	120
	O Czyhaniu Na Anioła .....	122
	Chłop I Słońce .....	124
	O Życiu Codziennym .....	126
	Ślepiec .....	128
	O Wągabundzie Słonecznym .....	129
	O Zamkach Na Łodzie .....	131
	O Smutnym Pocię .....	133

O Rusałce I Kosiarzu .....	135
Człowiek I Ptak .....	137
Pszczelarz I Szczęście .....	140
Uczta Z Aniołem .....	142
O Dniu Oczekiwany Przez Boga .....	144
<b>VIII O POETACH, STRACHACH I SŁONECZNIKACH .....</b>	<b>147</b>
Modlitwa Poety .....	149
Łódź Zapomniana .....	150
Czarny Poemat .....	151
Strachy .....	152
Poeci .....	153
Codziennosc Poety .....	154
Wielki Bogacz .....	155
Poeta Cnotliwy .....	156
Śmieszny Dyplomata .....	157
Czarnoksiężnicy .....	158
Handlarze Śmiechu .....	159
Gracz Słowa .....	160
Dziennikarz Nienajęty .....	161
Poetoreador .....	162
Napad Radości .....	163
Wszechpiewność .....	164
Słowo .....	165
Pieśń Kwitnąca .....	166
<b>IX NA KLAWIKORDZIE .....</b>	<b>169</b>
Życie .....	170
Fabryka .....	171
Wiara .....	172
Drogowskazy .....	173
Młyny Boże .....	174
Na Jasnym Brzegu .....	175
Na Plaży .....	176
Potęga Ziemi .....	177
Pogoń .....	178
Życia Krzyż .....	179
Poszukiwanie .....	180
Świt .....	181
Antyfona .....	182
Tylko Taka .....	183
Śnieg .....	184
Prośba O Ciszę .....	185
Sen Niedośniony .....	186

	O Pięciu Pocałunkach .....	187
	Połów Wiatru .....	188
	Rozpacz .....	189
	O Chlebie Na Gwiazdach .....	190
X	ALBUM NAJMILSZYCH PAMIĄTEK .....	193
	Dom Pod Słońcem .....	195
	Rachunek Serdeczny .....	196
	Zegar .....	197
	Fotel .....	198
	Więźniowie .....	199
	Goście .....	200
	Przyjaciele .....	201
	Klon .....	202
	Człowiek Z Cierniem W Nodze .....	203
	Jałmużna .....	204
	Krzyż .....	205
	Niedziela .....	206
	Okręty .....	207
	Muzyczność .....	208
	Koncert .....	209
	Listy .....	210
	Maski .....	211
	Rozmowa .....	212
	Melancholja .....	213
	Pokusa .....	214
	Oczekiwanie .....	215
	Przedwiośnie .....	216
	Park .....	217
	Gniazdo .....	218
	Pieśń Poranna .....	219
	Podróż .....	220
	Depesza .....	221
	Wieczór .....	222
	Sen .....	223
	Droga Do Szczęścia .....	224
XI	KANTYCZKA SENTYMENTALNA .....	225
	Romantyzm .....	227
	Uśmiech Przez Łzy .....	229
	Spotkanie .....	230
	Zosia I Kwiaty .....	232
	Dziewica I Chatka .....	234
	Miłość Szampańska .....	236

Szczęście W Czóźnie .....	238
Rozczarowanie .....	240
Miłość Pisząca .....	242
Miłość Tańcząca .....	244
"Dolce Far Niente" .....	246
O Miłości Muzykalnej .....	248
Stiletto I Miłość .....	250
Miraże .....	252
Rezygnacja .....	254
<b>XII KWIECIEŃ .....</b>	<b>257</b>
Przebudzenie .....	259
Śpiewający Poranek .....	261
Oracze .....	263
Dziwna Rozmowa .....	265
Zasiew .....	267
Kiełkowanie .....	269
Tajemne Szepty .....	271
Pnącze .....	273
Potok .....	275
W Ogrodzie .....	277
Deszcz .....	279
Odejście .....	281
<b>XIII SEN NOCY LETNIEJ .....</b>	<b>283</b>
Uczta Marzenia .....	285
Pieśń Wieczorna .....	286
Tęsknota .....	287
Notkurn Rosisty .....	288
Duch Nocy .....	289
Księżyc W Sadzie .....	290
Opad Gwiazd .....	291
Gwiazda W Życie .....	292
Bunt W Sadzie .....	293
Problem .....	294
Kwiat Paproci .....	295
Śmierć Na Łące .....	296
Senna Mara .....	297
Najmilsze Zajęcie .....	298
Odwieczny Koncert .....	299
Melodja Nieznana .....	300
Pieśń O Szczęściu .....	301
Świt .....	302



XIV	ZŁODZIEJE SŁOŃCA .....	303
	Spisek .....	305
	Straszne Odkrycie Astronoma .....	307
	Filozof .....	309
	Poeta .....	310
	Muzykant .....	312
	Malarz .....	314
	Lotnik .....	316
	Złodzieje Kieszonkowi .....	318
	Odznaczenie Złodzieja .....	320
	Klub Złodziei Słońca .....	322
XV	POWRÓT RADOŚCI .....	325
	Wieczna Tęsknota .....	327
	O Radości Zbłąkanej .....	329
	Gość Upragniony .....	331
	Dziwne Odwiedziny .....	332
	Twórczość Radosna .....	333
	Na Tęczowym Moście .....	335
	Flirt Z Radością .....	337
XVI	METROPOLIS .....	339
	Miasto .....	341
	Prasa .....	343
	Konkwistadorom .....	345
	Parada .....	347
XVII	MELODJE JESIENNE .....	349
	Preludjum .....	351
	Adagio .....	352
	Allegro .....	353
	Andante .....	354
	Lento .....	355
	Largo .....	357
	Maestoso .....	359
	Allegretto .....	360
	Finale .....	361
XVIII	PATRIA .....	363
	Polonez Militarny .....	365
	Fanfara .....	368
	Wyrosłeś Ponad Nami .....	372
	Improwizacja .....	375

Msza Polowa .....	378
Patria .....	381
Manifest Gorzki .....	383
Słowa Zmartwychwstań .....	385
Fałszywi Prorocy .....	387
Sen O Morzu .....	389
 XIX PŁONAĆCE ZŁOTO .....	 393

**ZGODA**  
Edward C. Rozanski, Editor.  
(Polish Section)  
6100 N. Cicero Ave.  
Chicago, IL 60646



Pragnę wyrazić niniejszem najwyższą cześć, uznanie i podziękowanie organizacjom patriotycznym, które — stosownie do skali swych środków materialnych i umiłowania literatury polskiej — umożliwiły wydanie książki niniejszej, zamawiając odpowiednią ilość egzemplarzy przed oddaniem maszynopisów do druku:

Związek Polek w Ameryce.....	150 egzemplarzy
OO. Zmartwychwstańcy, wydawcy "Dziennika Chicagoskiego" .....	100 egzemplarzy
Związek Narodowy Polski.....	50 egzemplarzy
Macierz Polska.....	25 egzemplarzy
Związek Klubów Małopolskich.....	25 egzemplarzy
Polski Klub Artystyczny.....	25 egzemplarzy

Równocześnie składam — z głębi serca — wyrazy wdzięczności wybitnym artystom, mianowicie — Władysławowi Krawcowi, za wykonanie rysunku do strony tytułowej i godła "Żarn Niebieskich," oraz Józefowi Rusieckiemu, za wykonanie portretu.

—Mieczysław A. Niedźwiecki



